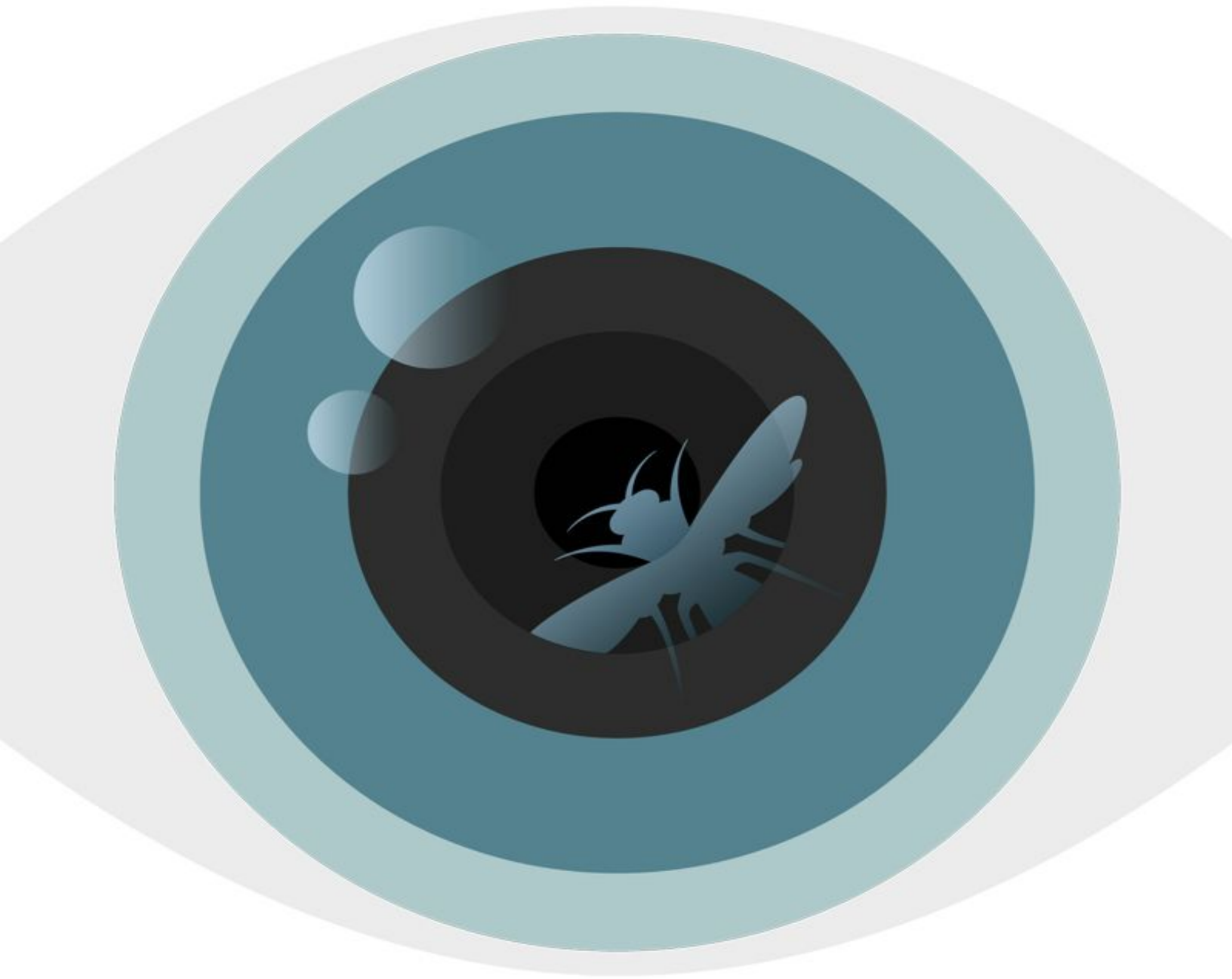


korporacja ha!art



Ernst Jünger



Szklane pszczoły

przełożył Lech Czyżewski

Ernst Jünger

Szklane pszczoły

Powieść

przełożył Lech Czyżewski

Spis treści

Karta redakcyjna

ERNST JÜNGER, *SZKLANE PSZCZOŁY*

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Epilog

Wojciech Kunicki, *Szklane pszczoły. Nanotechnologia czy królestwo szatana?*

Przypisy

Redaktor prowadzący *Jakub Baran*
Koordynacja *Jakub Baran*
Posłowie *Wojciech Kunicki*
Redakcja *Filip Fierek*
Korekta i korekta poskładowa *Adam Ladziński*
Projekt okładki *Justyna Plec*
Projekt typograficzny *Natalia Rodzińska*
Skład i łamanie *Natalia Rodzińska*

Podstawa przekładu: Ernst Jünger, *Gläserne Bienen. Sämtliche Werke* (PB), t. 18, s. 421–559,
Klett-Cotta, Stuttgart 2015

Fotografia Ernst Jüngera na okładce autorstwa Wenera Schwarzedzięki uprzejmości wy-
dawnictwa Klett-Cotta

Wydanie I

Copyright © 1957 Klett-Cotta – J.G. Cotta'sche BuchhandlungNachfolger GmbH, Stuttgart
Copyright © for this edition by Korporacja Ha!art, 2017
Copyright © for the Polish translation by Lech Czyżewski, 2017

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Fundacja Korporacja Ha!art prowadzi księgarnię w Bunkrze Sztuki



ISBN 978-83-65739-26-1

Wydawnictwo i księgarnia *Korporacja Ha!art*
pl. Szczepański 3a, 31-011 Kraków
tel. 12 426 46 03 (księgarnia),
12 422 25 28 (biuro)

e-mail: korporacja@ha.art.pl

Księgarnia internetowa: www.ha.art.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Ernst Jünger

SZKLANE PSZCZOŁY

Kiedy źle nam się wiodło, z pomocą musiał przychodzić Twinnings. Siedziałem u niego przy stole. Tym razem czekałem zbyt długo; już dawno powinienem był zdecydować się go odwiedzić, ale bieda pozbawia nas siły woli. Człowiek wysiaduje po kawiarniach, dopóki są jeszcze jakieś drobne, a potem ślęczy beczynnym, wpatrując się w pustkę. Zła passa nie chciała się skończyć. Miałem jeszcze jedno ubranie, w którym mogłem się pokazać, ale kiedy szedłem do ludzi, nie śmiałem założyć nogi na nogę, bo miałem zdarte podeszwy. W takiej sytuacji człowiek woli samotność.

Twinnings, z którym służyłem wcześniej w lekkiej kawalerii, był urodzonym pośrednikiem, uczynnym człowiekiem. Już nieraz wyciągał mnie z opresji, podobnie jak innych towarzyszy. Miał dobre koneksje. Wysłuchawszy mnie, dał mi jasno do zrozumienia, że mogę liczyć już tylko na posady odpowiadające mojemu położeniu, to znaczy takie, w których tkwi jakiś haczyk. Było to aż nazbyt słuszne; nie mogłem wybrzydzać.

Przyjaźniliśmy się, co niewiele znaczyło, gdyż Twinnings przyjaźnił się niemal ze wszystkimi, których znał i z którymi nie był akurat poróżniony. Taki był jego fach. To, że mówił ze mną bez ogródek, nie sprawiało mi przykrości; miało się raczej uczucie, że jest się u lekarza, który dokładnie osłuchuje i nie wygłasza frazesów. Chwycił mnie za klapę marynarki, której materiał obmacał. Zobaczyłem na niej plamy, jakby wyostrzył mi się wzrok.

Następnie zajął się szczegółowo moją sytuacją. Byłem już dość sterany i wprawdzie dużo widziałem, ale dokonałem niewielu rzeczy, na które mógłbym się powołać – musiałem to przyznać. Najlepszymi posadami były te, z których czerpie się duży dochód, nie pracując, i których wszyscy człowiekowi zazdroszczą. Czy jednak miałem krewnych mogących rozdzielać zaszczyty i zlecenia, jak choćby Pawełek Domann, którego teść budował lo-

komotywy i który przy śniadaniu zarabiał więcej, niż inni ludzie, harujący w świętek i piątek, zarabiają przez cały rok? Im większe są obiekty, przy których sprzedaży się pośredniczy, tym mniej przysparzają kłopotu; łatwiej jest sprzedać lokomotywę niż odkurzacz.

Miałem stryja, który był kiedyś senatorem. Ale on od dawna nie żył; nikt go już nie znał. Mój ojciec wiódł spokojne życie urzędnika; mały spadek dawno został przejezdzony. Ożeniłem się z biedną kobietą. Nie można zadawać szyku zmarłym senatorom i żoną, która sama otwiera drzwi, gdy zabrzączy dzwonek.

Ponadto były posady, które wymagają wiele pracy i zdecydowanie nic nie przynoszą. Musiałeś oferować na sprzedaż lodówki albo pralki, chodząc od domu do domu, aż w końcu ogarniał cię strach przed naciśnięciem kolejnej klamki. Musiałeś wprawiać w irytację starych towarzyszy, odwiedzając ich i podstępnie wciskając im wino mozelskie albo polisę ubezpieczeniową na życie. Twinnings pomiął te zajęcia z uśmiechem i byłem mu za to wdzięczny. Mógł mnie zapytać, czy nauczyłem się czegoś lepszego. Wiedział wprawdzie, że pracowałem przy odbiorze technicznym czołgów, lecz wiedział również, że figuruję tam na czarnej liście. Wrócę jeszcze do tego.

Pozostawały zajęcia, którym towarzyszyło ryzyko. Miało się wygodne życie i wystarczające zarobki, ale niespokojny sen. Twinnings dokonał przeglądu kilku z nich, chodziło o posady typu policyjnego. Kto dzisiaj nie miał swojej policji? Czasy były niepewne. Trzeba było ochraniać życie i własność, nadzorować tereny i transporty, dawać odpór szantażom i napaściom. Bezczelność narastała proporcjonalnie do filantropii. Osiągnąwszy pewną pozycję społeczną, nie można się już było zdawać na publiczną ochronę, lecz należało trzymać w domu pałkę.

Jednak również tutaj podaż znacznie przewyższała popyt. Dobre miejsca były już zajęte. Twinnings miał wielu przyjaciół, a czasy były złe dla starych żołnierzy. Była lady Bosten, niezwykle bogata i jeszcze młoda wdowa, która wciąż drżała o swoje dzieci, zwłaszcza od kiedy zniesiono karę śmierci za kidnaping. Twinnings już ją jednak obsłużył.

Był poza tym Preston, magnat naftowy, którego ogarnęła mania na punkcie koni. Był zakochany w swojej stajni wyścigowej jak dawny Bizantyńczyk, hipoman, który nie szczędził wydatków na zaspokojenie swej namiętności. Konie były u niego traktowane niczym półbogowie. Każdy chce się w jakiś sposób wyróżnić i Preston uznał, że konie nadają się do tego lepiej niż floty tankowców i lasy wież wiertniczych. Sprowadzały mu książąt do domu. Wiązało się z tym jednak również wiele kłopotów. W stajni, podczas transportu i na hipodromie trzeba było wszystkim uważnie patrzeć na ręce. Groziły tam zmywy dżokejów, zazdrość innych koniarzy, namiętności związane z wysokimi zakładami. Nie ma diwy, której trzeba tak pilnować jak konia wyścigowego mającego wygrać Wielką Nagrodę. Była to posiadłość dla starych kawalerzystów, dla człowieka, który ma parę dobrych oczu i serce do koni. Ale tam siedział już Tommy Gilbert, który załatwił na dodatek pracę połowie swego szwadronu. Był oczkiem w głowie Prestona.

Pewna bogata Szwedka mieszkająca przy Rond Point poszukiwała ochroniarza. Miała ich już wcześniej kilku, gdyż ciągle drżała o swoją cnotę. Im sumienniej jednak sprawowało się tę funkcję, tym pewniej dochodziło do ohydnych skandalu. Poza tym nie było to zajęcie dla żonatego mężczyzny.

Twinnings wyliczał te i inne posady, jak szef kuchni wylicza smakowite potrawy, które skreślono z karty dań. Wszyscy pośrednicy mają to w zwyczaju. Chciał mi zaostrzyć apetyt. W końcu przedstawił dostępne oferty – można było iść o zakład, że będzie w nich więcej niż jedna łyżka dziegciu.

Był Giacomo Zapparoni, również jeden z tych, którzy nie mogą zliczyć swoich pieniędzy, choć jeszcze ich ojciec zaledwie z kijem w ręku przywdędował przez Alpy. Nie można było otworzyć żadnej gazety, żadnego czasopisma, usiąść przed żadnym ekranem, by nie natknąć się na jego nazwisko. Jego zakłady znajdowały się całkiem blisko; dzięki wykorzystaniu cudzych, ale także i własnych wynalazków osiągnął pozycję monopolisty.

Dziennikarze opowiadali bajeczne historie o rzeczach, które tam wytwarzała. Kto ma, temu będzie dodane: prawdopodobnie puszczali jeszcze wodze fantazji. Zakłady Zapparonego budowały roboty do wszelkich możli-

wych przeznaczeń. Dostarczały je na specjalne zamówienie oraz w modelach standardowych, które widywało się w każdym gospodarstwie domowym. Nie chodziło przy tym o wielkie automaty, które najpierw przychodzą do głowy na dźwięk tego słowa. Specjalnością Zapparonego były roboty lilipucie. Jeśli pominąć pewne wyjątki, górną granicę ich wielkości wyznaczała objętość arbuza, podczas gdy w dole skali osiągały miniaturowe rozmiary i przypominały chińskie osobliwości. Sprawiały wówczas wrażenie inteligentnych mrówek, ale zawsze występowały w postaci układów pracujących jako mechanizmy, nie zaś, powiedzmy, na zasadzie molekularnej. Stanowiło to jedną z maksym biznesowych Zapparonego, czy też, jak kto woli, jedną z jego reguł gry. Często wydawało się, że spośród dwóch rozwiązań za wszelką cenę stara się wybrać bardziej wyrafinowane. Odpowiadało to jednak duchowi czasów i źle na tym nie wychodził.

Zapparoni zaczął od maleńkich żółwi, które nazywał selektorami i które były szczególnie opłacalne przy precyzyjnych procesach doboru. Liczyły, ważyły i sortowały kamienie szlachetne albo banknoty, eliminując falsyfikaty. Zastosowanie to rozciągnęło się wkrótce na pracę w niebezpiecznych pomieszczeniach i neutralizację materiałów wybuchowych oraz substancji zakaźnych lub radioaktywnych. Były gromady selektorów, które nie tylko wykrywały małe ogniska pożaru, lecz również gasiły je w załączku, były inne, które naprawiały uszkodzenia w przewodach, i jeszcze inne, które żywiły się brudem i były niezbędne przy wszelkich procesach wymagających bezwzględnej czystości. Mój stryj senator, cierpiący przez całe życie na katar sienny, mógł oszczędzić sobie podróży w wysokie góry, gdy Zapparoni wypuścił na rynek selektory wytresowane do pochłaniania pyłku.

Wkrótce jego aparaty stały się niezastąpione, nie tylko dla przemysłu i nauki, lecz również dla gospodarstw domowych. Oszczędzały siłę roboczą i sprowadzały do pomieszczeń technicznych pełną życia atmosferę, jakiej tam dotąd nie znano. Zmysłna głowa odkryła lukę, której nikt przed nią nie dojrzał, i wypełniła ją. W taki sposób robi się najlepsze, wielkie interesy.

Twinnings dał do zrozumienia, co gryzie Zapparonego. Nie wiedział tego dokładnie; można to było sobie jednak w przybliżeniu wykalkulować.

Chodziło o kłopoty z pracownikami. Kiedy ma się ambicję nakłonić materię do myślenia, nie można się obejść bez oryginalnych umysłów. W dodatku chodziło o miniaturową skalę. Przynajmniej na początku łatwiej było stworzyć wieloryba niż kolibra.

Zapparoni dysponował kadrą znakomitych fachowców. Zależało mu na tym, by wynalazcy, którzy przynosili mu modele, zatrudniali się u niego na stałe. Reprodukowali swoje wynalazki albo modyfikowali je. Było to konieczne szczególnie w działach podlegających modzie, jak w przypadku zabawek. Nigdy nie widziano w tej dziedzinie tak wspaniałych rzeczy jak po nastaniu ery Zapparonego – stworzył on lilipucie królestwo, żywy karzełkowaty świat, który nie tylko dzieciom, ale i dorosłym pozwalał w marzyielskim zachwycie zapomnieć o czasie. Prześcigało to fantazję. Ale ten karłowaty teatrzyk musiał co roku w Boże Narodzenie być przystrajany w nowe dekoracje i zaludniany nowymi postaciami.

Zapparoni zatrudniał pracowników, którym przyznawał profesorskie, a nawet ministerialne uposażenia. Wynagradzali mu to z nawiązką. Wypowiedzenie oznaczałoby dla niego niepowetowaną stratę, a nawet katastrofę, gdyby składano je po to, by kontynuować pracę w innym miejscu, czy to w kraju, czy co gorsza za granicą. Bogactwo Zapparonego i jego monopolistyczna potęga zasadały się nie tylko na tajemnicy biznesowej, lecz również na technice pracy, którą można było sobie przyswoić dopiero w ciągu dziesięcioleci, i to nie w przypadku każdego. A technika ta osadzona była w pracowniku, w jego rękach, w jego głowie.

Występowała jednak niewielka skłonność do opuszczania miejsca pracy, na którym było się traktowanym i opłacanym po królewsku. Ale zdarzały się wyjątki. To stara prawda, że człowieka nie sposób zadowolić. Poza tym Zapparoni miał nadzwyczaj trudny personel. Było to związane ze specyfiką pracy; obcowanie z maleńkimi i często skomplikowanymi obiektami wytwarzało z czasem ekscentryczną, nadmiernie skrupulatną naturę, tworzyło charakter, które potykały się o słoneczne pyłki i zawsze znajdowały dziurę w całym. Byli to artyści, którzy przymierzali pchłom podkowy i przykręcali je. Ocierało się to o czystą fantazję. Świat automatów Zappa-

roniego, już sam w sobie dostatecznie osobliwy, zaludniony był przez istoty oddające się najbardziej niezwykłym dziwactwom. Podobno w jego prywatnym biurze często działy się takie rzeczy, jak u dyrektora zakładu dla obłąkanych. Niestety nie istniały jeszcze roboty wytwarzające roboty. Byłby to kamień filozoficzny, kwadratura koła.

Zapparoni musiał się pogodzić z faktami. Wynikały one z charakteru jego działalności. Zabrał się do rzeczy całkiem zręcznie. W swej modelowej fabryce zastrzegł dla siebie zarządzanie ludźmi, ujawniając przy tym cały czar i obrotność południowego impresaria. Posuwał się przy tym do granicy możliwego. Być kiedyś tak wyzyskiwanym, jak czynił to Zapparoni, było marzeniem wszystkich młodych ludzi o technicznych skłonnościach. Rzadko zdarzało się, by stracił panowanie nad sobą czy stał się nieuprzejmy. Dochodziło wówczas do straszliwych scen.

Naturalnie w umowach o pracę usiłował się zabezpieczyć, chociaż w możliwie najmiłszy sposób. Były zawierane dożywotnio, przewidywały rosnące płace, premie, ubezpieczenia i kary konwencjonalne w przypadku naruszeń kontraktu. Kto zawarł umowę z Zapparonim i mógł w niej występować jako mistrz albo autor, był dobrze sytuowanym człowiekiem. Miał dom, samochód, opłacone wakacje na Teneryfie albo w Norwegii.

Istniały oczywiście pewne ograniczenia. Były one jednak ledwie zauważalne i polegały, by nazwać rzecz po imieniu, na dostosowaniu się do przemyślanego systemu nadzoru. Służyły do tego rozmaite organy noszące niewinne nazwy, pod którymi skrywa się obecnie służbę bezpieczeństwa – jeden z nich nazywał się, jak mi się zdaje, biurem rozrachunkowym. Karty prowadzone tam na temat każdego pracownika zakładów Zapparonego przypominały akta policyjne, tyle że były znacznie bardziej szczegółowe. Dzisiaj trzeba człowieka dość dokładnie prześwietlić, by wiedzieć, czego można się po nim spodziewać, gdyż pokusy są wielkie.

Nie było w tym nic niestosownego. Zapobieganie nadużyciom zaufania należy do obowiązków każdego szefa wielkiego zakładu. Pomagając Zapparoniemu strzec jego tajemnicy handlowej, stało się po stronie prawa.

Co się jednak działo, gdy jeden z tych fachowców legalnie wypowiadał pracę? Albo kiedy po prostu odchodził, uiszczając karę umowną? Był to słaby punkt w systemie Zapparonego. W końcu nie mógł ich uwiązać do miejsca. Stanowiło to dla niego wielkie zagrożenie. W jego interesie leżało zademonstrowanie, że ta forma odejścia jest dla pracownika niekorzystna. Istnieje wszak wiele sposobów na uprzykrzenie komuś życia, zwłaszcza gdy pieniądze nie odgrywają roli.

Na początek można mu było wytoczyć proces. To niejednego nauczyło moresu. Istniały jednak luki w prawie, które już od dawna nie nadążało za rozwojem techniki. Co oznaczało tu na przykład autorstwo? Było wszak raczej blaskiem, jakim promieniuje szpica kolektywu, aniżeli osobistą zasługą i nie dawało się po prostu oderwać i zabrać ze sobą. A podobnie rzecz miała się z biegłością nabytą w ciągu trzydziestu, czterdziestu lat z pomocą i na koszt zakładu. Nie było to jedynie indywidualną własnością. Indywidualum stanowiło jednak niepodzielną całość – a może nie? Były to pytania, na które toporny policyjny umysł nie potrafił udzielić odpowiedzi. Istnieją posady oparte na zaufaniu, wymagające samodzielności. Istotę rzeczy trzeba odgadnąć; nie wspomina się o niej ani pisemnie, ani ustnie. Musi zostać pojęta intuicyjnie.

Tyle mniej więcej wywnioskowałem z aluzji Twinningsa. Były to domysły, przypuszczenia. Być może wiedział więcej, a może mniej. W takich wypadkach lepiej jest mówić za mało niż nazbyt wiele. Zrozumiałem już wystarczająco dużo; potrzebny był człowiek od brudnej roboty.

To nie była posada dla mnie. Nie chcę mówić o moralności, byłoby to śmieszne. Brałem udział w asturyjskiej wojnie domowej. W takich awanturach nikt nie zachowuje czystych rąk, czy stoi na górze, czy na dole, po prawej czy po lewej stronie. Zostaje dotknięty również wówczas, gdy usiłuje trzymać się pośrodku, a nawet zwłaszcza wtedy. Byli tam goście z rejestrem grzechów, który przeraziłby nawet zahartowanego spowiednika. Oczywiście nawet nie śniło im się spowiadać; przeciwnie, kiedy przebywali razem, tryskali humorem, a nawet, jak jest powiedziane w Biblii, chełpili się swymi występkami. Ludzie o słabych nerwach nie byli tam lubiani. Ale

mieli swój kodeks postępowania. Takiej posady, jaką proponował Twinings, żaden z nich by nie przyjął, jeśli chciał zachować przyjaźń pozostałych, choćby miał niejedno na sumieniu. To wykluczyłoby go z ich towarzystwa, ze wspólnych pijatyk, z żołnierskiego obozowiska. Nie ufano by mu już wcale, trzymano by w jego obecności język za zębami i nie oczekiwano by, że przyjdzie z pomocą, kiedy ktoś wpadnie w tarapaty. Nawet więźniowie i galernicy są na tym punkcie wyczuleni.

Mógłbym więc od razu wstać, usłyszawszy opowieść o Zapparonom i jego utyskiwaczach, gdyby w domu nie czekała na mnie Teresa. To była ostatnia szansa i wiązała ona z tą wizytą wielkie nadzieje.

Nie jestem stworzony do wszystkiego tego, co wiąże się z pieniędzmi i ich zarabianiem. Muszę się znajdować pod złym wpływem Merkurego. Z biegiem lat stawało się to coraz wyraźniejsze. Najpierw żyliśmy z mojej odprawy, a potem sprzedawaliśmy różne przedmioty, lecz teraz to również się skończyło. W każdym domostwie jest kątek, gdzie stały wcześniej lary i penaty i gdzie przechowuje się dzisiaj rzeczy nieprzeznaczone na sprzedaż. U nas było to kilka nagród jeździeckich oraz inne grawerowane przedmioty, po części pozostawione przez ojca. Niedawno zaniósłem je do złotnika. Teresa sądziła, że ich utrata mnie zabolą. Nie było tak; byłem zadowolony, że pozbyłem się tych rzeczy. Dobrze, że nie miałem syna i że raz na zawsze się z tym skończyło.

Teresa uważała, że jest dla mnie ciężarem; była to jej obsesja. W istocie to ja już dawno powinienem był wziąć się do roboty – cała ta bieda brała się z mojego wygodnictwa. Brała się stąd, że miałem wstręt do interesów.

Jeśli czegoś nie mogę znieść, to roli męczennika. Doprowadza mnie do pasji, gdy ktoś uważa mnie za dobrego człowieka. Właśnie takiego zwyczaju nabrała Teresa, chodziła koło mnie jak koło świętego. Widziała mnie w fałszywym świetle. Powinna mi była wymyślać, wściekać się, tłuc wazy, ale niestety nie leżało to w jej charakterze.

Już jako uczeń nie lubiłem pracować. Kiedy miałem nóż na gardle, wychodziłem z opresji, nabawiając się gorączki. Miałem na to sposób. Kiedy leżałem w łóżku, przychodziła matka z syropami i okładami. Moje oszu-

stwo nie przeszkadzało mi przy tym wcale, sprawiało mi nawet radość. Złe w tym jednak było, że jako chorego biedaka rozpieszczano mnie. Próbowałem wtedy stawać się nie do wytrzymania, ale im lepiej mi się to udawało, tym większe wzbudzałem zatroskanie.

Podobny problem miałem z Teresą; nieznośna była dla mnie myśl o mnie, jaką zrobi, kiedy wrócę bez żadnej nadziei do domu. Pozna to po mnie, gdy tylko otworzy drzwi.

Być może jednak widziałem sprawę w zbyt czarnych barwach. Byłem jeszcze pełen staromodnych przesądów, które nic mi nie dawały. Okrywały się w moim wnętrzu kurzem jak tamte srebrne nagrody w moim domu, którego pustkę oświeślały.

Od kiedy wszystko miało być oparte na umowie, która nie była ugruntowana ani na przysiędze, ani na pokucie, ani na człowieku, nie istniała już ani wierność, ani wiara. Brakowało na tym świecie dyscypliny. Jej miejsce zajęła katastrofa. Żyło się w permanentnym niepokoju, w którym jeden drugiemu nie mógł ufać – czy byłem za to odpowiedzialny? Nie chciałem być pod tym względem gorszy, ale także nie lepszy od wszystkich innych.

Twinnings, który widział, jak siedzę niezdecydowany, zdawał się znać mój słaby punkt, bo powiedział:

– Teresa ucieszyłaby się, gdybyś przyszedł z czymś konkretnym.

Przypomniało mi to nasze kadeckie czasy; było to dawno temu. Twinnings siedział obok mnie. Już wtedy miał w sobie coś z pośrednika i ze wszystkimi żył dobrze. Były to ciężkie czasy; nie cackano się z nami. Monteron był naszym wychowawcą; siedzieliśmy przed nim zawsze z duszą na ramieniu.

W poniedziałki rzeczy miały się szczególnie źle. Był to dzień rozrachunku, dzień sądu. O szóstej byliśmy w ujeżdżalni, z ciężkimi głowami. Przypominam sobie, że często miałem ochotę spaść z konia, żeby trafić do lazaretu, ale dopóki kości były całe, nie mogło być o tym mowy. Tu nie było lekkiej gorączki jak w domu. Monteron uważał upadki za zdrowe. Sprzyjały wyszkoleniu i dopiero one nadawały kolanom właściwą sprężystość.

Druga godzina zajęć odbywała się przy piaskownicy, ale rzadko do niej dochodziło. Z reguły Monteron, który był majorem, wkraczał do sali jak archanioł z groźnym marsem na czole. Oczywiście są jeszcze dzisiaj ludzie, przed którymi odczuwa się lęk, ale nie ma już tego autorytetu. Dzisiaj człowiek po prostu się boi, wtedy dochodziło do tego jeszcze poczucie nieczystego sumienia.

Szkoła wojskowa znajdowała się w pobliżu stolicy i każdy, komu akurat nie cofnięto przepustki i kto nie siedział w pace, wyruszał tam w sobotę podmiejskim pociągami, tramwajem konnym lub powozem. Inni jechali wierzchem i pozostawiali konie u krewnych, bo w mieście znajdowały się jeszcze liczne stajnie. Wszyscy byliśmy w znakomitej formie, mieliśmy także pieniądze w kieszeni, bo na placu ćwiczeń nie można było nic wydać. Nie było więc piękniejszej chwili od tej, gdy otwierała się brama koszar.

W poniedziałek rano wyglądało to inaczej. Kiedy Monteron przychodził do swojego biura, na stole leżała już paczka nieprzyjemnych listów, donosów i raportów. Do tego dochodził niezawodnie meldunek obozowej war-

towni o tym, że dwóch albo trzech przekroczyło termin przepustki, a czwarty jeszcze nie dotarł. Dalej były drobiazgi – ten został spisany, ponieważ palił przed posterunkiem warty zamkowej, a tamten dlatego, że niedbale zsalutował komendantowi miasta. Zwykle nie brakowało jednak również jakiejś perełki. Dwóch zostało w jakimś barze wciągniętych w awanturę i zdemolowało lokal, inny stawiał opór i dobył szabli, kiedy zatrzymał go patrol. Siedzieli gdzieś jeszcze i trzeba ich było sprowadzić. Dwaj bracia, urlopowani na pogrzeb, przegrali w Homburgu wszystkie pieniądze.

Każdej soboty Monteron raz jeszcze szczegółowo przeglądał na apelu mundur. Kiedy się upewnił, że nikt nie pojawił się w „fantazyjnym uniformie”, przez co rozumiał najdrobniejsze odstępstwa od regulaminu, zwalniał nas, wygłaszając parę słów na pożegnanie. Ostrzegał nas przed pokusami. I za każdym razem rozpierzchaliśmy się z najlepszymi intencjami i w przekonaniu, że nam nic takiego się nie przydarzy.

Ale miasto było zaczarowane, było labiryntem. To niesamowite, z jaką przebiegłością zastawiało swoje sidła. Taki dzień urlopu dzielił się na dwie połowy dość dokładnie rozgraniczone kolacją, na jasną i mroczną. Przypominał pewne książki z obrazkami, w których po jednej stronie przedstawieni są grzeczni, a po drugiej niegrzeczni chłopcy – z tą tylko różnicą, że tutaj obaj chłopcy łączyli się w jednej osobie. Po południu odwiedzaliśmy krewnych, siedzieliśmy na słońcu przed kawiarniami albo przechadzaliśmy się po Tiergarten. Niektórych widywało się na koncertach albo nawet na odczytach. Przedstawiali widok, jaki pojawiał się w wyobrażeniach Monterona: dziarscy, dobrze wychowani i ubrani jak z igły. To była czysta rozkosz.

Potem nadchodził wieczór z jego nieodłącznymi schadzkami. Spotykano się sam na sam z przyjaciółką, spotykano się w większym gronie. Zaczynało się pić; atmosfera była coraz swobodniejsza. Potem rozchodzono się i spotykano ponownie o północy, u Bolsa albo w Angielskim Bufecie. Miało to dalszy ciąg i lokale stawały się coraz bardziej podejrzane albo nawet zaliczały się do stanowczo zakazanych. Kawiarnię Wiedeńską odwiedzały roje

dam z półświatka i łatwo wchodziło się w konflikt z bezczelnymi kelnerami. W wielkich piwiarniach natykano się na studentów szukających zwady. W końcu otwarte były już tylko nieliczne przybytki, takie jak Pod Niegasnącą Lampą, i poczekalnie dworcowe. Tutaj przeważali pijani. Dochodziło do burd, które nikomu nie przynosiły chluby. Komendantura знаła te miejsca i nie przypadkiem jej patrole zawsze przybywały akurat wówczas, gdy człowiek uwikłany był w awanturę. W ciżbie ukazywały się szpice hełmów i padało hasło: „Ratuj się kto może!”. Często było za późno. Trzeba było iść z żandarmami i dowódca patrolu cieszył się, że znowu przyskrzypił kadeta.

Szczegóły Monteron znajdował w poniedziałek na swoim biurku. Przyjeżdżały wczesnym pociągiem albo były przekazywane telefonicznie. Monteron należał do przełożonych, którzy rano są w szczególnie podłym nastroju. Krew łatwo uderzała mu do głowy. Rozpinał wtedy kołnierzyk munduru. Był to zły znak. Słyszało się, jak mruczy: „To nie do uwierzenia, gdzie oni się szwendają”.

Nam samym wydawało się to nie do uwierzenia. Nie ma większej różnicy aniżeli ta pomiędzy ciężką, bolącą głową rano i jej rozbrykanym odpowiednikiem poprzedniego wieczora. A jednak jest to jedna i ta sama głowa. Wiadomość, że byliśmy tu czy tam, mówiliśmy albo nawet robiliśmy to czy owo, sprawiała na nas wrażenie, jakby opowiadano nam o kimś innym. To po prostu nie mogło być prawdą.

Pomimo to, kiedy instruktor jazdy konnej pędził nas wkoło po maneżu, mieliśmy mroczne przeczucie, że coś jest nie w porządku. Kiedy przeskakuje się ponad przeszkodami ze ściągniętą uzdą i łokciami wspartymi o biodra, trzeba zachować przytomność umysłu. Zdarzało się jednak, że galopowaliśmy jak we śnie, podczas gdy nasza głowa zaprzątnięta była mrocznym rebusem, jakim jawiła się nam miniona noc.

Potem Monteron rozwiązywał go nam przy piaskownicy w sposób przerastający wszelkie nasze obawy. Wypadki, które pozostały nam w pamięci w szczątkowej i zamglonej formie, ukazywały się tam jako nadzwyczaj nieprzyjemna całość w nadmiernie ostrym świetle. Twinnings, który już wtedy miewał bardzo ładne pomysły, powiedział kiedyś, że właściwie nieprzy-

zwoicie jest kazać trzeźwym patrolom polować na podochoconych urlopowiczów – należałoby wyrównać ich szanse.

Jakkolwiek by było – prawie żaden tydzień nie rozpoczynał się bez burzy. Monteron mógł jeszcze otworzyć wszystkie śluzy autorytetu; to także jest sztuka, która dzisiaj zaginęła. Mógł jeszcze wzbudzić świadomość występku. Nie dopuściliśmy się po prostu tego czy owego. Przyłożyliśmy topór do korzeni państwa, naraziliśmy monarchię na niebezpieczeństwo. Było to zresztą o tyle słuszne, że niemal cały świat robił, co chciał, i nikt nie podnosił wokół tego wrzawy, ponieważ wolność była wielka i powszechna. Kiedy jednak kadet w najmniejszym stopniu zboczył z prostej drogi, wówczas ten sam świat, to samo społeczeństwo jednomyślnie rzucało się na niego. Była to już zapowiedź wielkich zmian, które nastąpiły wkrótce potem. Monteron prawdopodobnie je przewidział. My jednak byliśmy po prostu lekko-myślni.

Gdy sięgam pamięcią wstecz, wydaje mi się, że karano nas łagodniej, niż oczekiwaliśmy. Żyliśmy w bojaźni bożej. Kiedy po lekcji jazdy konnej przebieraliśmy się w wielkim pośpiechu i dyżurny popędzał nas: „Możecie się przygotować na coś niemiłego – stary rozpiął już kołnierzyk”, to było gorzej niż później, gdy padała komenda: „Gotuj się do boju!”.

W gruncie rzeczy stary miał złote serce. I w gruncie rzeczy wszyscy to wiedzieli; tłumaczy to, dlaczego mieliśmy przed nim takiego pietra. Kiedy mówił: „Wolałbym pilnować worka pcheł niż rocznika kadetów” albo „Kiedy król wyśle mnie wreszcie na łaskawy chleb, będę wiedział, że uczciwie na niego zapracowałem”, to miał rację, bo funkcja, którą sprawował, nie była łatwa. Są przełożeni, którzy cieszą się, gdy człowiek napyta sobie kłopotów; mogą wtedy pokazać swoją władzę. Monteronowi sprawiało to ból. A ponieważ wiedzieliśmy o tym, mogło się zdarzyć, że ktoś, kto tkwił po uszy w tarapatach, szedł do niego wieczorem i spowiadał się. Kiedy Gronau przegrał dużo pieniędzy, stary jeszcze tej samej nocy pojechał do miasta, żeby zająć się tą sprawą, lecz kiedy wrócił w południe, było już jednak za późno.

No cóż, chciał nas zahartować. Ale nie kaleczył nam przy tym duszy. W poniedziałek rano zwykle przechodziło gradobicie – areszt, cofnięcie przepustki, warta w stajni, meldowanie się w mundurze ordynansowym. Ale w południe było już po burzy; my także na służbie dawaliśmy z siebie więcej niż zazwyczaj.

W każdym roczniku miały miejsce dwa albo trzy przypadki, kiedy odbywało się to inaczej. Wydarzało się coś, czego nie dawało się naprawić aresztem. A jednak zdumiewające było, jak wielu rzeczom stary potrafił zaradzić, wsadzając nas do paki. W przypadkach tych nie rozpętywała się również nawałnica. Panowała raczej przygaszona atmosfera, jakby wydarzyło się coś, o czym nie można mówić, o czym jedynie przebąkiwano. Wchodzono i wychodzono, coś działo się za zamkniętymi drzwiami, a potem delikwent znikał. Jego nazwiska więcej nie wymieniano, albo gdy kiedyś padło, to działo się to przez nieuwagę i wszyscy udawali, że go nie słyszeli.

W takie dni stary, którego skądinąd cechowała bezwzględna przytomność umysłu, mógł być roztargniony, zatopiony w myślach. Mógł podczas zajęć przerwać sobie w środku zdania i wpatrywać się w ścianę. Słyszało się fragmenty monologu, który wbrew woli dobywał się z jego ust, jak na przykład:

– Mogę przysiąc, że kiedy zdarza się jakieś bezceństwo, stoi za tym kobieta.

Przypomniało mi się to, kiedy Twinnings czekał na moją odpowiedź. Oczywiście jedno z drugim miało dość odległy związek i Monteron, wypowiadając to zdanie, z pewnością nie pomyślałby nigdy o takiej kobiecie jak Teresa. Pewne jest jednak również, że mężczyzna robi dla kobiety rzeczy, których nigdy nie zrobiłby dla siebie.

Coś takiego Zapparoni miał do zaoferowania. Nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego tak było. W stosunku do podejrzanych rzeczy ma się przecucie, które rzadko zawodzi. Istnieje bez wątpienia różnica między tym, czy ma się do dochowania tajemnice państwowe, czy sekrety prywatnej osoby, nawet w naszych czasach, gdy większość państw, przynajmniej tych porządných, zesła na psy. Taka posada jak ta u Zapparonego musiała prę-

dziej czy później doprowadzić do wypadku samochodowego. Podczas oględzin wraku znajdowano w tylnym siedzeniu dwadzieścia do trzydziestu dziur po kulach. Nie była to sprawa dla policji drogowej. A o pogrzebie czytało się nie w nekrologach, ale w przeglądzie wiadomości. Teresa nie ujrzałaby przy otwartym grobie najlepszego towarzystwa, a już na pewno nikogo z naszych dobrych czasów. Nawet Zapparoni nie byłby obecny. Jakiś nieznajomy przyniósłby jej o zmroku kopertę.

Kiedy chowano mego ojca, wyglądało to jeszcze inaczej. Prowadził spokojne życie, ale pod koniec nie czuł się już zbyt dobrze. Gdy leżał złożony chorobą, powiedział mi jeszcze: „Chłopcze, umieram dokładnie w odpowiednim momencie”. Spojrzał przy tym na mnie z z troskaniem. Niejedno już chyba przewidział.

To i jeszcze inne rzeczy przyszły mi do głowy, gdy Twinnings wciąż czekał na moją odpowiedź. To nie do wiary, jaka lawina myśli może się przetoczyć w takiej minucie. Należałoby przelać to na płótno, jak malarz.

Ale ja widziałem nasze ogołoczone mieszkanie, nasze wygasłe ognisko domowe, jeśli wolno mi użyć tego poetyckiego sformułowania na opisanie faktu, że od wielu dni mieliśmy wyłączony prąd. Listonosz przynosił ponaglenia, a kiedy rozlegał się dzwonek u drzwi, Teresa nie śmiała otworzyć ze strachu przed nachalnymi wierzycielami. Nie miałem specjalnie podstaw, żeby grymasić.

Towarzyszyło mi przy tym jeszcze poczucie śmieszności, wrażenie, że jestem staroświeckim typem, jednym z tych, którzy zajmują się nadal takimi głupstwami, podczas gdy wszyscy inni korzystają z każdej okazji do osiągnięcia zysku, jaka się nadarzy, a przy tym spoglądają na mnie z góry. Dwukrotnie wraz z niezliczonymi innymi zapłaciłem za błędy nieudolnych rządów. Nie przyniosło nam to ani nagrody, ani chwały, wręcz przeciwnie.

Była najwyższa pora, bym wyzbył się przedpotopowych poglądów. Niedawno jeszcze ktoś zwrócił mi uwagę na to, że moje wypowiedzi roją się od przestarzałych wyrażen, takich jak „starzy towarzysze” albo „kłać się na honor”. Robiło to komiczne wrażenie w naszych czasach, niczym krygowanie

się starej panny, która jeszcze coś sobie obiecuje po swej zwietrzałej cnocie. Do diabła, to musiało się skończyć.

Miałem nieprzyjemne uczucie w żołądku, był to po prostu głód i do krwi przelała mi się żółć. Jednocześnie czułem, jak rodzi się we mnie sympatia dla Zapparonego. Był więc jeszcze ktoś, kto się o mnie troszczył. Prawdopodobnie, pomimo całej różnicy dostępnych środków, był w podobnym położeniu: musiał płacić za nie swoje grzechy, a na dodatek prawiono mu morały. Oskubywano go i okradano, a jednak to on był wyzyskiwaczem. Rząd zaś, niezmiennie służalczy wobec większości, ściągał z niego podatki i pozwalał odzierać go ze skóry.

Ponadto jeśli „starzy towarzysze” brzmiało komicznie, to czemu miałyby się jeszcze poważnie brać takie słowa jak „rząd”? Czy ci faceci mieli monopol na niebycie komicznymi? Czy w dobie dewaluacji słów stanowili wyjątek? Czy w ogóle istniał jeszcze ktoś, kto mógłby innych uczyć, czym jest przyzwoitość? Stary żołnierz nie był już również starym żołnierzem, ale miało to także swoje zalety. Nadszedł czas, by w końcu pomyśleć również o sobie.

Jak widać, zacząłem się już utwierdzać w poczuciu własnej racji – co jest pierwszą rzeczą, jaką człowiek robi, gdy zamierza wdać się w jakieś podejrzanе przedsięwzięcie. To osobliwe, że nie można po prostu pójść i wyrządzić komuś krzywdy. Trzeba sobie najpierw wmówić, że na to zasłużył. Nawet zbój, który chce obrabować nieznanego, wszczyna z nim najpierw sprzeczkę, by wzbudzić w sobie gniew.

Nie przyszło mi to z trudem, ponieważ byłem w takim nastroju, że niemal każdy wydawał mi się odpowiedni do tego, żeby się na nim wyładować, choćby był nawet niewinny. Doszło już nawet do tego, że swoimi humorami zadreczałem Teresę.

Chociaż byłem już prawie zdecydowany, to jednak podjąłem jeszcze próbę wywinięcia się, mówiąc do Twinningsa:

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Zapparoni czekał właśnie na mnie. Może przecież chyba przebierać do woli.

Twinnings skinął głową.

– To prawda, ma wiele ofert. Ale chodzi o posadę, którą trudno obsadzić. Większość kandydatów chce przedobrzyć.

Uśmiechnął się i dodał:

– Wszystko to ludzie z takimi kartotekami.

Rozłożył przy tym ramiona, jakby otwierał rejestr, a potem powtórzył ten gest niczym wędkarz, który w spokojnych wodach złowił szczupaka. Znowu dotknął wrażliwego miejsca. Czułem, jak znika ostatnia resztką mojego humoru.

– Kto dzisiaj nie ma jakichś wyroków na koncie? Może ty, bo zawsze byłeś kuty na cztery nogi. Poza tym jednak tylko tacy, którzy dekowali się podczas wojny i pokoju.

Twinnings zaśmiał się.

– Nie denerwuj się, Richard – wiemy przecież wszyscy, że masz parę skaz na urodzie. Ale różnica jest taka, że twoje poprzednie kary są właściwe.

Musiał to wiedzieć, brał przecież wtedy udział w sądzie honorowym nade mną – nie w tamtym pierwszym, gdy zostałem zdymisjonowany za przygotowania do zdrady stanu, po skazaniu mnie już wcześniej przez sąd wojenny. O obu tych wyrokach dowiedziałem się dopiero w Asturii, gdzie wyszło mi to na korzyść. Nie, mam na myśli drugi sąd honorowy, który przywrócił mi moją rangę. Czym jednak są sądy honorowe, skoro również słowo „honor” należy do tych, które stały się wielce podejrzane.

Zostałem więc zrehabilitowany przez ludzi takich jak Twinnings, który nader roztropnie zaszył się był u swoich angielskich krewnych. Na dobrą sprawę to przecież on powinien odpowiedzieć. I rzecz osobliwa: wyrok pozostał w moich papierach. Rządy zmieniają się, akta trwają niewzruszenie. Jest paradoksem, że w rejestrach państwa fakt, iż nadstawiałem za nie karku, został w sposób niezatarty odnotowany jako zdrada. Kiedy wymieniano moje nazwisko, kanceliści w urzędach, którzy dzięki mnie i takim jak ja wsiedli na swoje stołki, krzywili się z niesmakiem.

Poza tą dużą sprawą w moich papierach było jeszcze parę drobiazgów – gotów jestem to przyznać. Znajdował się wśród nich jeden z figli, które wymyślamy, kiedy za dobrze się nam powodzi; wydarzył się on jeszcze za czasów monarchii. Było tam również „wyzwanie na pojedynek”. Odnotowano poza tym zbezczeszczenie pomnika – jest to jedno z tych słów, które odwołują się do dawnego poczucia szacunku w czasach, gdy pomniki nie są już pomnikami. Obaliliśmy betonowy kloc, na którym wryte było nazwisko, nie wiem już jednak czyje. Po pierwsze dużo wypiliśmy, a po drugie niczego nie zapomina się dzisiaj szybciej niż nazwisk, które jeszcze wczoraj były na ustach wszystkich, oraz wielkich ludzi, których imiona nadaje się ulicom. Gorliwość, z jaką stawia się im pomniki, jest nadzwyczajna i nierzadko przemija jeszcze za ich życia.

To prawda, wszystko to nie tylko mi zaszkodziło, lecz również było zupełnie niepotrzebne. Nie myślałem już o tym chętnie. Ale inni mieli znakomitą pamięć do tych rzeczy.

Twinnings sądził zatem, że moje poprzednie kary były właściwe. Nie podobalo mi się jednak, że Zapparoni uważa je za takowe. Cóż to bowiem oznaczało? Oznaczało to, że szuka kogoś, kto ma dwa końce, nie tylko jeden solidny, za który można chwycić, ale jeszcze i drugi. Potrzebował kogoś, kto jest solidny, ale nie na wskroś solidny.

W języku ludowym o takim człowieku do wszystkiego, jakiego poszukiwano, mówi się, że można z nim konie kraść. Przysłowie to musi pochodzić z czasów, w których kradzież koni była wprawdzie niebezpiecznym, lecz nie haniebnym zajęciem. Jeśli się powiodła, był to powód do chwały, a jeśli nie, człowiek zawisał na wierzbie albo musiał pogodzić się z utratą uszu.

Przysłowie to dość dokładnie oddawało moją sytuację. Była jednak jeszcze pewna niewielka różnica: wprawdzie Zapparoni szukał najwyraźniej człowieka, z którym mógłby kraść konie, ale był zdecydowanie zbyt wielkim panem, żeby wraz z nim wyruszyć w drogę. Ale co to pomagało? Było jeszcze jedno powiedzenie, które pasowało do mojej sytuacji, a mianowicie to, że na bezrybiu i rak ryba. Powiedziałem więc do Twinningsa:

– No dobrze, spróbuję, jeśli uważasz, że powinienem. Może mnie przyjmie. Ale powiem ci między nami, starymi towarzyszami: nie wdam się w żadne podejrzone sprawy.

Twinnings uspokoił mnie. W końcu nie ubiegałem się o pracę u byle kogo, ale w firmie o światowym zasięgu. Jeszcze dzisiaj zatelefonuje i da mi znać. Mam szansę. Potem nacisnął na dzwonek i wszedł Fryderyk.

Fryderyk również się postarzał; chodził pochylony, a jego łysinę okalał wianuszek rzadkich, śnieżnobiałych włosów. Znałem go jeszcze z zamierzonych czasów, kiedy dbał o mundur Twinningsa. Gdy odwiedzało się Twinningsa, w przedpokoju spotykało się Fryderyka. Trzymał w rękach nadający się już dzisiaj tylko do muzeum przyrząd, który nazywano nożycami do guzików. Miał on zapobiegać poplamieniu materiału podczas ich czyszczenia. Można było zresztą myśleć o Twinningsie, co się chciało, ale jeśli służący wytrzymuje przy nim dziesiątki lat, to trzeba mu to zaliczyć na plus.

Kiedy wszedł Fryderyk, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Była to piękna chwila, chwila harmonii, która połączyła nas trzech. Powrócił blask beztrudnej młodości. Mój Boże, jakże świat się zmienił od tamtych czasów. Myślałem nieraz, że uczucie to jest po prostu zapowiedzią starości. W końcu każde pokolenie spogląda wstecz na dawne dobre czasy. Ale w naszym przypadku było to jednak coś innego, coś przerażająco innego. Istniała oczywiście różnica między służbą za Henryka IV, Ludwika XIII czy Ludwika XIV. Ale zawsze służyło się jednak na koniu. Teraz te wspaniałe zwierzęta miały wyginąć. Znikały z pól i ulic, ze wsi i miast i od dawna nie widziano ich w szarzy. Wszędzie zastąpiły je automaty. A odpowiadała temu również zmiana w ludziach; stawali się bardziej mechaniczni, przewidywalni i nieraz ledwie miało się jeszcze uczucie, że przebywa się wśród ludzi. Słyszałem jednak czasem echo przeszłości niczym dźwięk trąbki w pierwszych promieniach słońca i rzenie koni przyprawiające serca o drzenie. To bezpowrotnie minęło.

Twinnings zamówił śniadanie: grzanekę, jajka na szynce, herbatę, portwajn i coś jeszcze. Zawsze obficie śniadał, co często spotyka się wśród po-

zytywnych natur. Znacznie mniej ucierpiał z powodu dolegliwości czasów niż ja i wielu innych. Ludzi takich jak Twinnings potrzebuje każdy i nie muszą oni iść na szczególne ustępstwa; rządy spływają po nich jak woda. Biorą wszystko na tyle poważnie i na tyle się tym przejmują, na ile to konieczne; zmiany dotyczą ich tylko powierzchownie. Był jednym z sędziów w mojej sprawie. Taki był mój los, że przychodzili i sądzili mnie ludzie, dla których wcześniej narażałem skórę.

Nalał mi portwajnu. Spłukałem nim urazę:

– Za twoje zdrowie, stary merkurianinie.

Zaśmiał się.

– U Zapparonego ty również nie będziesz biedował. Zadzwonimy też zaraz do Teresy.

– To bardzo miłe, że o tym pomyślałeś – ale jest na zakupach.

Dlaczego nie powiedziałem mu, że podobnie jak wszystko inne odłączono mi również telefon? Prawdopodobnie nie była to dla niego żadna nowina. Wiedział też z pewnością, że z głodu robiło mi się niedobrze, przebiegły lis. Ale ze śniadaniem poczekał, aż się zgodzę.

Po wszystkim, co zostało powiedziane, nikomu chyba nie przyszło do głowy, że zadawał sobie dla mnie trud bezinteresownie. Jedynym wyjątkiem, jaki czynił w przypadku starych towarzyszy, było to, że nie brał od nich prowizji. Odbijał to sobie na kontrahentach. Ludziom takim jak Zapparoni nie zależało na paru funtach.

Twinnings miał dobrze prosperujący interes. Dobre w nim było to, że wcale nie wyglądał na interes. Polegał na tym, że Twinnings znał mnóstwo ludzi i czerpał z tego korzyści. Ja także znałem wielu ludzi, ale nie przekładało się to w żaden sposób na moją sytuację materialną. Przysparzało mi to raczej wydatków. Kiedy jednak Twinnings znał mnie i Zapparonego, oznaczało to dla niego interes. Na dodatek nie musiał się przy tym napracować; nie znałem nikogo, kto prowadziłby przyjemniejsze i bardziej unormowane życie. Robił interesy przy śniadaniu, przy obiedzie i wieczorem, kiedy szedł do teatru. Są ludzie, do których pieniądze płyną łatwo i w sposób nierzucający się w oczy; nieznane im są trudności, jakie ma większość

innych. Należał do nich Twinnings, nigdy nie było inaczej. Miał już bogatych rodziców.

Nie chcę go jednak ukazywać w niekorzystnym świetle. Każdy człowiek ma swoje wady i zalety. Twinnings na przykład nie musiałby robić tego, co mu teraz przyszło do głowy – a mianowicie pójść do pokoju obok i wrócić z pięćdziesięciofuntowym banknotem, który mi wręczył. Nie potrzebował mnie długo nakłaniać do jego przyjęcia.

Bez wątpienia nie chciał, żebym przychodził do Zapparonego całkowicie splukany. Ale było jeszcze coś innego: dawna wspólnota. Była to szkoła Monterona, której nie mógł się zaprzec nikt, kto przez nią przeszedł. Jakże często przeklinaliśmy go, leżąc śmiertelnie zmęczeni na łózkach po dniu, w którym odwalaliśmy jedną służbę za drugą: pieszo, konno, w stajni i na bezkresnych piaszczystych równinach. Monteron znał te chwile rozpacz; lubił wtedy czymś to ukoronować, na przykład alarmem wzywającym na nocne ćwiczenia.

Muszę przyznać, że gnuśnego ciała ubywało. Muskuly stawały się niczym stal oczyszczona na kowadle doświadczonego kowala z wszelakiej zgorzeli. Również twarze się zmieniały. Człowiek uczył się konnej jazdy, fechtunku, upadania i wielu innych rzeczy. Uczył się tego na całe życie.

Także w charakterach pozostawały ślady na całe życie. Monteron potrafił być szczególnie nieprzyjemny, gdy dowiedział się, że pozostawiono towarzysza samego sobie w niebezpiecznej sytuacji. Jeśli pijany kadet wpakował się w tarapaty, to pierwsze pytanie Monterona brzmiało, czy ktoś był przy nim. A wtedy niech Bóg zmiłuje się nad tym, który go opuścił albo nie zatroszczył się o niego jak o małe dziecko. To, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie można pozostawić kolegi samego w niebezpieczeństwie, ani w wielkim mieście, ani w boju, należało do podstawowych zasad Monterona, które nam wpałał, czy to przy piaskownicy, czy w polu, czy też w straszliwe poniedziałki.

Chociaż byliśmy szemraną kompanią, w tym względzie odnosił sukcesy, nie sposób temu zaprzeczyć. Kiedy wieczorem, przed powrotem do pułków, siedzieliśmy z nim i wokół niego – potrafił wtedy być bardzo pogodny

– nasza kolacja była czymś więcej niż pożegnalną ucztą. Mówił wówczas na przykład: „W tym roczniku nie ma żadnego specjalnego orła, a i z pozostałymi trzeba się było nieźle natrudzić. Ale nie ma też nikogo, na kim król nie mógłby polegać. A w końcu to jest najważniejsze”.

Tego wieczora żaden z nas nie wypił za dużo. Czuliśmy wyraźnie, że coś stoi za starym, coś więcej niż król, więcej niż jego urząd. To się udzielało; starczało tego na całe życie, a może i na dłużej. Wystarczało jeszcze, kiedy nikt już nie wiedział, kto był królem. Również Monteron dawno został zapomniany – tamten kurs był ostatnim, jaki prowadził. Potem poległ jako jeden z pierwszych, zdaje mi się, że nocą pod Liège. Również spośród jego uczniów żyło już niewiele.

Wciąż jednak widać było, że odcisnął na nich swe piętno. Spotykano się raz albo dwa razy w roku na tyłach małych lokali, w sercu miast, które tak osobiście się przeobraziły i spośród których niejedno tymczasem dwukrotnie zburzono i ponownie odbudowano. Wówczas nieodmiennie jak przez kurtyny płomieni padało nazwisko Monterona i znowu panował nastrój tamtej pożegnalnej uroczystości, naszego ostatniego wieczoru.

Jego oddziaływanie widoczne było nawet u takiego geszefciarza jak Twinnings, do którego kiedyś powiedział: „Twinnings, pan także jest bardziej lekki niż kawalerzysta” – gorzkie słowa. Jestem przekonany, że gdy Twinnings zobaczył mnie siedzącego przy stole niczym ubogi krewny i poszedł do sąsiedniego pokoju, żeby mi przynieść pieniądze na najpilniejsze wydatki, postępował wbrew własnej naturze. Nie mógł się jednak inaczej zachować, zmusiwszy mnie do połknięcia gorzkiej pigułki, gdyż przebudził się w nim Monteron. Twinnings rozpoznał jedną z podstawowych figur, jakie Monteron wbił nam do głowy – a mianowicie, że ja stałem na linii frontu, chociaż nie był to dobry front, a on był w odwodzie.

Doszliśmy więc do porozumienia i Twinnings odprowadził mnie do drzwi. Tam jeszcze coś przyszło mi do głowy:

- Kto do tej pory zajmował to stanowisko?
- Też taki jeden Włoch, Caretti, ale odszedł już trzy miesiące temu.
- Pewnie przeszedł na emeryturę?

– Coś w tym rodzaju. Zaginał, zniknął bez śladu i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

Było to w sobotę, a w poniedziałek rano siedziałem w taksówce i jechałem do zakładów. Twinning's jeszcze tego samego dnia przekazał mi pozytywną odpowiedź. U Zapparonego pracowało się oczywiście również w niedzielę.

Teresa doprowadziła moje rzeczy do porządku. Wiadomość wielce ją ucieszyła. Widziała mnie już na wysokim stanowisku w firmie o światowym zasięgu. Jeśli sprawa ta miała jakąś jasną stronę, to był nią jej entuzjizm. Teresa należała do kobiet, które przeceniają swoich mężów; coś sobie wykoncypowała. Miała o mnie zbyt dobre zdanie; być może było to jej potrzebne. Zniechęceniem napawało ją wszystko, co dotyczyło jej własnej osoby. Miała obsesję, że jest mi kulą u nogi, że mi zawadza, szkodzi. Było wręcz przeciwnie. Jeśli na tym coraz bardziej ponurym świecie miałem coś w rodzaju ojczyzny, to była ona u jej boku.

Kiedy źle nam się wiodło, co w ostatnich czasach było regułą, często wyzuwałem w nocy obok mnie to lekkie drżenie, jakie wstrząsa kobietą, która chce ukryć płacz. Dopytywałem ją wtedy o powód i słyszałem starą śpiewkę – że byłoby o wiele lepiej, gdyby się w ogóle nie urodziła, gdybym jej nigdy nie spotkał. Zniszczyła mi karierę, zrujnowała mnie. Mogłem do woli mówić, że przecież zawsze byłem w wystarczającym stopniu mężczyzną, żeby samemu i bez niczyjej pomocy się zrujnować, i że nic mi się tak nie udało jak właśnie to – nie dawała sobie wybić tych urojeń z głowy.

Z drugiej strony kiedy ktoś nas przecenia, zyskujemy pewne oparcie. Budzi to w nas dobre moce. Mówiłem już, że byłem do tego przyzwyczajony dzięki mojej matce, do której obrazu, jaki zachowałem w pamięci, Teresa zresztą niepostrzeżenie się upodabniała. Jakże często matka brała moją stronę wobec ojca, kiedy w domu po raz kolejny rozpętywała się burza. Mawiała wtedy: „Przecież chłopiec nie jest zły”, na co stary odpowiadał: „Jest

i pozostanie nicponiem”. Wtedy matka mówiła znowu: „Ale zły nie jest”, bo kobiety zawsze muszą mieć ostatnie słowo.

Zakłady Zapparonego leżały na dość odległych peryferiach. W każdym mieście miały większe albo mniejsze filie, oddziały, firmy siostrzane i licencyjne, magazyny, składy części zamiennych i warsztaty naprawcze. Tutaj znajdowała się centrala, wielka kuźnia modeli, z której rok w rok niczym z rogu obfitości wypływały w świat nowe i cudowne niespodzianki. Tutaj również mieszkał Zapparoni, gdy nie przebywał akurat w podróży.

W sobotę zatem przyszedł telegram od Twinninga: miałem się stawić na rozmowę. W niedzielę udało mi się jeszcze znaleźć lekarza domowego Carettiego, bo nie dawało mi spokoju to, co Twinning powiedział mi na odchodnym. Rozmowa uspokoiła mnie. Lekarz uważał, że nie zdradza żadnej tajemnicy, komunikując mi, co stało się z Carettim. Było to powszechnie wiadome. Jak wielu skrupulantów Zapparonego Caretti stopniowo dziwaczał, w końcu ponad dopuszczalną miarę. Fiksacja określana przez lekarzy jako „obsesja dokładności” połączyła się z manią prześladowczą, dla której pożywkę stanowiły techniczne wizje. W takich przypadkach pacjentom wydaje się, że zagrażają im wymyślnie skonstruowane maszyny, i ich świat przeobraża się stopniowo w fantasmagorię podobną do tych, jakie wymyślali średniowieczni malarze. Caretti uroił sobie, że latają wokół niego maleńkie samoloty, które robią mu coś złego.

Nierzadko się zdarza, że chorzy tacy znikają, by nie pojawić się nigdy więcej. Ów lekarz, niski, nerwowy psychiatra, przypominał sobie pacjenta, którego szczątki znaleziono po latach w borsuczej norze; wpełził tam i się zabił. Inny powiesił się na wierzchołku świerka w puszczy. Zwłoki odkryto dopiero po długim czasie. Doktor był rozmowny i opisywał objawy z tak pełną rozkoszy pedanterią, że w drodze powrotnej wyobrażałem sobie, iż jestem zagrożony podobnymi urojeniami. W gruncie rzeczy uspokoił mnie jednak.

Zakłady widać było już z oddali: niskie białe wieże i liczne pracownie o płaskich dachach, bez masztów i kominów. Tonęły w pstrokatych barwach, bo mur obwodowy oklejony był niezliczonymi plakatami. Uboczną

działalnością, uprawianą przez Zapparonego ze szczególnym zamiłowaniem, była produkcja filmowa, której dzięki swym robotom i automatom zapewniał niemal bajeczną doskonałość.

Istnieją prognozy mówiące, że nasza technika przeobrazi się pewnego dnia w czystą magię. Oznaczałoby to, że wszystko, w czym uczestniczymy, jest jedynie rozbiegiem i mechanika udoskonali się tak bardzo, że nie będzie już potrzebowała prymitywnych wyzwalaczy. Wystarczą światła, słowa, a nawet same myśli. Świat zaleje system impulsów.

Filmy Zapparonego wyraźnie zbliżały się do takich prognoz. To, co wymyślili dawni utopiści, było w porównaniu z tym toporne. Automaty zyskiwały wolność i taneczną elegancję, stwarzając własne królestwo. Urzeczywistniało się tu poniekąd coś, co niekiedy zdajemy się pojmować we śnie: że materia myśli. Dlatego też filmy te miały ogromną siłę przyciągania. Zwłaszcza dzieci były nimi urzeczone. Zapparoni zdetronizował dawne postacie z bajek. Niczym jeden z opowiadaczy, którzy zasiadają na dywanie w arabskich kawiarniach i zaczarowują przestrzeń, snuł swoje baśnie. Tworzył powieści, które można było nie tylko czytać, słyszeć i oglądać, ale do których wchodziło się tak, jak wchodzi się do ogrodu. Był zdania, że natura wykazuje braki zarówno pod względem piękna, jak i logiki, i że trzeba ją udoskonalić. I rzeczywiście opracował styl, do którego dostosowywali się również aktorzy ludzie i który był dla nich wzorem. Spotykało się u niego najbardziej czarowne lalki, olśniewające twory wyobraźni.

Filmy przysporzyły Zapparoniemu popularności na jeszcze jeden, szczególny sposób. Był dobrym dziadkiem, który opowiada historie. Wyobrażano go sobie z białą brodą, jak wcześniej Świętego Mikołaja. Rodzice skarżyli się nawet, że za bardzo absorbuje dzieci. Nadmiernie podniecone, nie mogły zasnąć i miały niespokojne sny. Ale w końcu życie wszędzie było stresujące. To kształtowało rasę i należało się z tym pogodzić.

Zapowiedzi takich filmów okrywały zatem mur okalający zakłady, który na całej swej długości otoczony był ulicą, tak szeroką, że przypominała raczej przedpole. Bez kolorowych plakatów wyglądałby niewątpliwie zbyt surowo, za bardzo przywodziłby na myśl twierdzą, tym bardziej że w rów-

nych odstępach górowały nad nim blade wieże. Ponad kompleksem unosił się żółty balon.

Błyszczące znaki wzdłuż drogi obwieszczały, że skręcamy na teren zamknięty. Kierowca zwrócił mi na to uwagę. Musieliśmy jechać wolno i nie mogliśmy mieć z sobą broni ani liczników Geigera, ani sprzętu optycznego. Również płaszcze gumowe i okulary przeciwsłoneczne nie były dozwolone. Zarówno na szosie, jak i wokół muru obwodowego panował intensywny ruch, natomiast boczne drogi były wymarłe.

Stopniowo plakaty stawały się wyraźniejsze. Przedstawiały wizytę Heinza-Otto u Królowej Termitów: Tannhäuser na Górze Wenus zaadaptowany dla dziecięcej umysłowości. Roboty Zapparonego występowały tu jako bogate i potężne karły. Cudowności podziemnych pałaców nie nosiły już żadnego śladu technicznego trudu. Filmy ciągnęły się w dwunastu częściach przez rok kalendarzowy i dzieci umierały z ciekawości w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Ta zbiorowa zabawa kształtowała ich mody i upodobania. Widywało się je na placach zabaw już to jako astronautów, już to jako speleologów, już to znowu jako marynarzy z łodzi podwodnych albo traperów. Tymi zabarwionymi technicznie bajkami i przygodowymi opowieściami Zapparoni wzbudzał nie tylko wielki, lecz również chroniczny entuzjazm. Dzieci żyły w jego świecie. Wśród rodziców i nauczycieli natomiast zdania były podzielone. Jedni uważali, że dzieci tym sposobem uczą się przez zabawę, podczas gdy inni obawiali się, że stają się nadmiernie pobudzone. Rzeczywiście często można było zaobserwować osobliwe i niepokojące następstwa. Ale pochodu czasu nie sposób zatrzymać. Poza tym można było zapytać, czy realny świat nie jest jeszcze bardziej fantastyczny. Gdzie dzieci nie byłyby nadmiernie pobudzone?

Skręciliśmy na parking dla pracowników. Moja taksówka wyglądała przy ich limuzynach jak wrona, która zabłąkała się do bażanciarńi. Zapłaciłem kierowcy i udałem się do biura.

Chociaż słońce stało już wysoko na niebie, przy wejściu panował ożywiony ruch. Żadna okoliczność nie świadczyła lepiej o tym, że pracownicy Zapparonego są panami, niż brak wyznaczonego czasu pracy. Przychodzili

i wychodzili, jak im odpowiadało, pod warunkiem, że akurat nie pracowali w zespole. W modelowni zdarzało się to jedynie wyjątkowo. Muszę wprawdzie dodać, że przepis ten, czy raczej jego brak, był korzystny dla Zapparonego. Etos pracy w jego zakładach nie pozostawiał nic do życzenia; pracowano i tworzono tam na sposób artystów, którzy są opętani swoim dziełem. Nie było czasu pracy – oznaczało to raczej, że pracowało się niemal zawsze. Pracownicy śnili o swoich dziełach sztuki. To, że byli panami, można było poznać również po tym, że mieli czas. Nie oznaczało to jednak, że go trwonili. Mieli ten czas raczej tak, jak bogacze mają pieniądze w trzosie. Ich bogactwo zasadza się na posiadaniu, a nie na wydawaniu. Wyczuwa się je jednak w ich sposobie bycia.

Wchodzący i wychodzący byli ubrani w białe albo kolorowe kitle i przechodzili bez przeszkód. Musieli więc być dobrze znani, bo brama wejściowa, w której znajdowało się również biuro, była strzeżona. Widziałem stojące tam grupki ludzi, podobne do tych, jakie przyjmują pasażera wchodzącego po trapie na statek. Natrafia on tam na marynarzy, stewardów i inny personel, który równie dyskretnie, jak uważnie obserwuje wchodzących. Brama wejściowa była szeroka i głęboka. W murach umieszczone były wejścia – przeczytałem: „Przyjęcia”, „Dozorca”, „Wartownia” i inne napisy.

W biurze przyjęto mnie jak kogoś oczekiwanego. Ledwie wymieniłem swoje nazwisko, a już zameldował się goniec. Wyczekiwał na mnie.

Ku swemu zdumieniu zauważyłem, że nie wprowadza mnie on do wnętrza zakładu, lecz ponownie wyprowadza przez bramę. Zabrał mnie do małej kolejki podziemnej, której wylot znajdował się obok parkingu. Po zejściu na dół weszliśmy do stojącego na szynach małego wagonu, który obsługiwało się podobnie do windy. Po dwóch minutach byliśmy u celu. Zatrzymaliśmy się przed staroświeckim budynkiem w obrębie muru parkowego. Stałem przed prywatnym mieszkaniem Zapparonego.

Oczekiwałem wcześniej, że w najlepszym wypadku zostanę zaprowadzony do oddziału biura zatrudnienia, a stamtąd, jeśli rozmowa kwalifikacyjna przebiegnie pomyślnie, być może do samego kierownika kadr, ponieważ polecił mnie Twinnings. Dlatego też zaparło mi dech w piersi, gdy na-

gle, wynurzając się spod ziemi, znalazłem się w Świętym Świętych, w sferze oddziaływania człowieka, o którym niejeden twierdził, iż w rzeczywistości nie istnieje, lecz jest być może najlepszym wynalazkiem zakładów Zapparonego. Widziałem już, jak po schodach schodzi służący, żeby przejąć mnie od gońca.

– Pan Zapparoni oczekuje pana.

Nie mogło być wątpliwości, znajdowałem się w rezydencji Zapparonego. Jego główna fabryka była wcześniej położona w innym miejscu, dopóki – znudzony wiecznym przebudowywaniem i dobudowywaniem – nie postanowił doprowadzić jej tutaj według nowego planu do doskonałości, jaka w wielkim i w małym wyróżniała jego wytwory. Podczas oględzin terenu budowy okazało się, że w pewnej odległości znajdował się klasztor cystersów. Już dawno przeszedł on na własność publiczną, lecz prawie nie był wykorzystywany. Kościół i główny budynek padły łupem czasu, lecz mur obwodowy i refektarz nie były zniszczone. Poza wielką salą jadalną mnichów budynek refektarza mieścił w sobie również pomieszczenia, które służyły wcześniej jako izby kuchenne, magazynowe i gościnne. W nich to właśnie Zapparoni urządził sobie mieszkanie. Posiadłość miała okazałe rozmiary. Czasem widywałem jej fotografie w czasopiśmie ilustrowanych.

Wielka brama w murze obwodowym była na stałe zamknięta; do przemierzania się domowników i gości do środka i na zewnątrz służyła mała kolejka podziemna. Rzuciło mi się w oczy, że nie wsiadłem na stacji końcowej. Prawdopodobnie kolejka nie kończyła biegu na parkingu, lecz wjeżdżała do wnętrza zakładu.

Takie rozwiązanie miało tę zaletę, że Zapparoni zawsze przebywał na własnym terenie i że możliwa była dokładna kontrola gości. W ten sposób pan domu chroniony był przed natarczywością reporterów i fotografów. Dbał o to, by wszystko, co dotyczyło jego osoby i zwyczajów, znajdowało się w półmroku. Zdawał sobie sprawę z wyniszczającej, trawiącej siły reklamy. Chciał wprawdzie, by wiele o nim mówiono, lecz jedynie w nieokreślony sposób i aluzyjnie. Podobnie o jego konstrukcjach miało powstać wrażenie,

że ich widoczna część jest jeszcze najmniej istotna. Wyboru fotografii i relacji, jakie ukazywały się o nim, dokonywali jego eksperci.

Kierownik jego biura prasowego opracował system pośrednich sprawozdań, które pobudzały ciekawość, ale nigdy jej nie zaspokajały. Człowieka, o którym słyszy się doniosłe rzeczy, lecz którego twarzy się nie zna, uważa się za pięknego, być może nawet majestatycznego. Człowieka, o którym wiele się mówi, ale o którym nie wiadomo, gdzie przebywa, podejrzewa się o to, że jest wszędzie; wydaje się on w cudowny sposób rozmnażać. Człowiek, który jest tak potężny, że nie ma się już odwagi o nim mówić, staje się wszechobecny, ponieważ panuje nad naszym wnętrzem. Sądzymy, że słyszy nasze rozmowy i że jego oczy spoczywają na nas, gdy jesteśmy w swoim pokoju. Nazwisko wypowiedane jedynie szeptem jest potężniejsze niż takie, które wykrzykuje się na publicznych placach. Zapparoni wiedział o tym. Z drugiej strony nie mógł zaniedbywać reklamy. To wprowadzało do niej zadziwiające niespodzianki. Był to nowy system.

Nie będę zaprzeczał, że ogarnął mnie strach, kiedy usłyszałem, jak służący mówi: „Pan Zapparoni oczekuje pana”. Odczuwałem jaskrawą dysproporcję między jednym z możliwych tego świata a kimś, kto ledwie ma pieniądze na jazdę powrotną do domu. Nagle dotarło do mojej świadomości, że nie jestem w stanie sprostać temu spotkaniu. Była to oznaka deklasacji, uczucie, którego wcześniej nie znałem. Lekki kawalerzysta w żadnych okolicznościach nie powinien żywić takiego uczucia. Monteron często nam to mówił. Mówił również: „Dopiero gdy kapitan opuści pokład, okręt jest zgubiony, jest bezpańskim mieniem. Ale prawdziwy kapitan idzie na dno ze swoim okrętem”. Miał przez to na myśli samoświadomość nienaruszalnej osoby.

Przyszło mi to do głowy, kiedy zatrzęsły mi się kolana. Myślałem również o bardzo dawnych czasach, gdy nie braliśmy poważnie tych gości od węgla i stali – o filmie i automatach nie było wówczas nawet mowy lub co najwyżej na jarmarkach. Drobnym właściciel ziemski na dwustu morgach, któremu długi nie dawały spać, miał wyższe notowania u lekkich kawalerzystów niż ci, którzy jeździli wówczas w pierwszych samochodach i pło-

szyli nimi konie. Konie wyczuwały, co nadchodzi. Od tamtego czasu świat zupełnie się zmienił.

To, że Zapparoni poświęcał czas, by mnie przyjąć, oznaczało, że jestem dla niego partnerem. Myśl ta znowu ukłuła mnie boleśnie. Czyż mogłem bowiem być partnerem w legalnych interesach? Jeśli na przykład biedna dziewczyna zostanie zatrudniona w wielkiej firmie do porządkowania akt, stenografowania albo pisania na maszynie, może nigdy nie ujrzeć szefa na oczy. Nie jest dla niego partnerką. Gdyby jednak pewnego dnia ujrzano ją w towarzystwie szefa, na przykład w kurorcie nadmorskim albo w nocnym lokalu, wówczas jej znaczenie by wzrosło, a jednocześnie szacunek dla niej by zmaleł. Stałaby się teraz partnerką i weszłaby tym samym w relację władzy. Po prawowitej stronie byłaby słaba, a po nieprawowitej silna.

Jeśli Zapparoni przyjmował mnie, biedaka i zdymisjonowanego kawalerzystę, w swoim domu, to działo się to z podobnych powodów. Nie mógł się mną popisywać. Nie mogłem być mu użyteczny ani w jego biurach, ani w technicznych zakładach. A nawet gdybym miał w tych zakładach błyszczec, to raczej nie zabiegałby o mnie osobiście. Musiał więc szukać we mnie czegoś innego, czegoś, czego nie można spodziewać się po każdym ani od każdego wymagać.

Rozmyślając o tym, miałem ochotę zawrócić, gdy stałem już na schodach. Była jednak Teresa, były moje długi, moja zagmatwana sytuacja. Prawdopodobnie szukano właśnie człowieka w takim położeniu. Gdybym teraz zawrócił, żałowałbym tego.

Dochodziło do tego coś jeszcze. Czemu miałbym udawać kogoś lepszego, niż jestem? Monteron prawie nigdy nie zajmował się filozofią, chyba że za filozofa zechce się uznać Clausewitza. Miał jednak ulubioną sentencję, która pochodziła od wielkiego filozofa i którą chętnie cytował, a mianowicie: „Są raz na zawsze rzeczy, których nie chcę wiedzieć”. Szczególne upodobanie do tej sentencji zdradzało prostolinijny, nieskomplikowany umysł, niełubiący wybiegów i kręctw. Nie było tu żadnego „Wszystko zrozumieć to wszystko wybaczyć”. W ograniczeniu znać nie tylko mistrza, ale i człowieka etycznego.

Chociaż wiele nauczyłem się i przejąłem od Monterona, pod tym względem nie poszedłem za jego przykładem. Przeciwnie, jest niestety niewiele rzeczy, w które nie wetknąłem nosa. Ale nie można radykalnie odmienić własnej natury. Już ojciec mnie za to ganił. Kiedy na przykład jedliśmy razem poza domem, miał zwyczaj mówić, podając mi kartę dań: „To doprawdy dziwne, że ten chłopiec zawsze zamawia sobie najbardziej osobliwą potrawę, chociaż menu jest znakomite”.

Była to prawda, u Kastena było dobre menu. Jadali tam kadeci kawalerii. Ale menu to było nudne. Studiowałem je uważnie w miejscu, gdzie figurowały kielki bambusa i indyjskie gniazda ptasie. Stary dawał za wygraną, mówiąc do matki:

– Po mnie nie mógł tego odziedziczyć.

To znowu była prawda, ale również matka miała dobry, prosty gust. W ogóle nie wiadomo, czy takie osobliwości się dziedziczy. Mam raczej wrażenie, że wyciąga się je jak pełne i puste losy na loterii.

Żeby pozostać przy karcie dań: potrawy, które wybierałem ze względu na ich nazwy, zwykle mniej lub bardziej mnie rozczarowywały. Później, w podróżach, to samo przydarzało mi się z egzotycznymi specjami, których rzadko sobie odmawiałem. Podejrzane domy i knajpy, cieszące się złą sławą dzielnice, antykwariaty z obscenicznymi książkami przyciągały mnie w podobny sposób. Frantowi, który na Montmartrze dał mi znak, bym wszedł za nim do sieni domu, małemu Arabowi, który chciał mnie zaprowadzić do swojej siostry, nie potrafiłem się oprzeć. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby jednocześnie nie powstrzymywało mnie gwałtowne obrzydzenie. Ale ciekawość przeważała. Nie czerpałem jednak z tego żadnej rozkoszy. Podobnie jak bez przyjemności i z trudem przełykałem potrawy o osobliwych nazwach, tak samo nie mógł mnie zadowolić widok ludzkiego poniżenia. Występek pozostawiał we mnie ponure wspomnienie, które się długo utrzymywało. To wyjaśnia, dlaczego nie mogłem w nim trwać, pozostaje jednak tajemnicą, dlaczego wciąż na nowo go szukałem. Dopiero kiedy pojawiła się Teresa, dowiedziałem się, że garść wody mocniejsza jest od wszystkich esencji.

Zresztą w lekkiej kawalerii ciekawość czasem nawet mi się przydawała, ponieważ głównym zadaniem tej formacji jest rozpoznanie. Na patrolach w niebezpiecznym terenie wykraczałem często podczas prowadzenia rekonnesansu poza powierzoną misję oraz taktyczną konieczność. Prowadziło to do niespodziewanych odkryć i robiło dobre wrażenie na dowódcach straży przedniej. Każda wada ma również swoje zalety i na odwrót.

Krótko mówiąc, czułem na schodach Zapparonego, że wdaję się w dwuznaczną przygodę, choć robiłem to w przymusowej sytuacji. Zarazem jednak obudziła się we mnie stara, uprzykrzona ciekawość i popychała mnie naprzód. Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co ten stary, potężny człowiek knuje i dlaczego raczy się mną zajmować. Ciekawość pobudzała mnie niemal mocniej niż widoki na zysk. Ostatecznie wyciągnąłem już szyję z niejednej pętli, spróbowałem niejednej przynęty, nie dając się złowić na haczyk.

Dlatego wszedłem za służącym do starego domu. Sprawiał on wrażenie wiejskiej rezydencji. Wejście prowadziło do sieni, w której nie tylko wisiały kapelusze i płaszcze, lecz trzymano również strzelby i sprzęt wędkarski. Dalej znajdował się wysoki na dwa piętra hol, z trofeami i sztuchami Ridingera przedstawiającymi szkołę jeździecką. Po nim następowały dwa albo trzy pomieszczenia, większe od pokoju, lecz mniejsze od sali.

Przemierzyliśmy skrzydło południowe; zaprowadzono mnie do biblioteki, słońce padało przez matowe szyby na dywany. Na pierwszy rzut oka żaden ze znajdujących się tutaj sprzętów nie zdawał się wykraczać ponad status materialny zamożnego rentiera, ich widok zawodził moje oczekiwania. Pod wpływem gazet przypuszczałem, że wejdę do czegoś w rodzaju gabinetu cesarzy, w którym automatyczne niespodzianki wprawiają gościa na wpół w zdumienie, na wpół w przerażenie. Od razu wiedziałem, że pomyliłem się w tym względzie. Mogłem być jednak odgadnąć, że cesarz i władca automatów nie lubi tego rodzaju rzeczy w swoim domowym zaciszu. Wszyscy przecież mamy zwyczaj wypoczywać w sposób możliwie daleko odbiegający od naszych zawodowych zatrudnień. Generał nie bawi się raczej ołowianymi żołnierzami, a listonosz nie odbywa w niedzielę for-

sownych marszów. Mówi się również, że klauni w swoich czterech ścianach są na ogół poważni, a nawet melancholijni.

W urządzeniu tego domu nie natrafiało się na przepych właściwy ludziom, którzy z dnia na dzień stali się bogaci. Nie było tu niczego trymalchionicznego. Zapparoni musiał nie tylko posiadać znakomitego architekta wnętrz, lecz również samemu mieć gust. Widać to było po wyposażeniu. Cechowała je harmonia, jakiej nie można dostarczyć na zamówienie, lecz którą może wytworzyć jedynie wewnętrzna potrzeba, jedynie dobry smak osiedlającego się człowieka. Nie panował tu zimny splendor, pusta chęć błyszczenia; te wnętrza zamieszkiwała inteligentna i kulturalna istota, która dobrze się w nich czuła.

Ci południowcy, nawet jeśli pochodzą z sycylijskiej wioski albo neapolitańskiego *basso*, obdarzeni są niezawodnym smakiem, jaki można osiąść tylko przez urodzenie. Mają nieomyłne ucho do melodii i oko potrafiące bezbłędnie rozpoznać rękę mistrza w sztukach plastycznych. Często to obserwowałem. Jedyne niebezpieczeństwo w tym względzie leży w ich próżności.

Całość cechowała się wytworną prostotą, była wyzbyta okazałości, lecz promieniowała życiem. Dotyczyło to zwłaszcza dzieł sztuki. Miałem nieraz sposobność oglądać słynne obrazy i posągi, jakie zna się jedynie z kalendarzy albo muzeów, w domach ludzi, którzy szybko stali się bogaci lub potężni. Widok ten rozczarowywał, bo utraciły one swój wyraz, swoją mowę tak jak ptaki, które tracą zdolność śpiewu i blask, gdy zamknie się je w klatce. Dzieło sztuki cierpi, blednie w pomieszczeniach, w których ma cenę, ale żadnej wartości. Może błyszczeć jedynie tam, gdzie otacza je miłość. Musi usychać w świecie, w którym bogaci nie mają czasu, a wykształceni pieniędzy. Nigdy jednak nie przystaje na zapożyczoną wielkość.

Zapparoni, widziałem to po drodze, musiał mieć czas. Pięć czy sześć obrazów, jakie wisiały na ścianie, robiło wrażenie rzeczy, na których codziennie i z miłością spoczywa oko właściciela. Żaden z nich nie mógł być namalowany po 1750 roku. Znajdował się wśród nich jeden Poussin. Wspólne im było to, że tchnęły spokojnym życiem i wyrzekały się efektu. Nie mam tu na

myśli dzisiejszych efektów, które sprowadzają się do przedstawiania rzeczy nigdy niewidzianych, lecz takie, jakie wytwarzają mistrzowie. Obrazy, które Zapparoni zgromadził tu wokół siebie, nie mogły nigdy, nawet przez współczesnych, być uznane za zaskakujące. Musiały od początku sprawiać wrażenie czegoś dobrze znanego.

Odczucie to przenosiło się na dom. Współgrało z innym, dotyczącym problemów czystej władzy, i było przez nie wzmacniane. Mówiłem już, że żyjemy w czasach, w których słowa zmieniły swój sens i stały się dwuznaczne. Odnosi się to także do słowa „dom”, będącego wcześniej synonimem czegoś solidnego i trwałego. Otóż od dawna stał się on czymś w rodzaju namiotu, z tą różnicą, że jego mieszkaniem nie cieszy się wolnością nomady. Domy równie szybko się wznosi, jak i tysiącami zmiata z powierzchni ziemi. Nie byłoby to jeszcze najgorsze, gdyby człowiek mógł przynajmniej na chwilę mieć uczucie, że znajduje się w czymś własnym i nienaruszalnym. Jest wręcz odwrotnie. Człowiek, który ma dzisiaj odwagę budować dom, tworzy miejsce spotkań dla ludzi nawiedzających go pieszo, samochodem lub przez telefon. Przychodzą pracownicy zakładów gazowniczych, energetycznych i wodociągowych, agenci od ubezpieczeń na życie i od pożaru, inspektorzy budowlani i poborcy abonamentu radiowego, wierzyciele hipoteczni i urzędnicy skarbowi, którzy ustalają wartość czynszu za mieszkanie we własnym domu. Kiedy klimat polityczny staje się nieco ostrzejszy, przychodzą jeszcze zupełnie inni ludzie, którzy od razu wiedzą, gdzie można człowieka znaleźć. Do tych plag dochodzi jeszcze i to, że na człowieka spada odium bycia posiadaczem.

We wcześniejszych czasach było to prostsze. Nie korzystało się wprawdzie z tylu udogodnień, ale miało się czyste sumienie, rozprostowując nogi pod własnym stołem. Właśnie to uczucie miałem u Zapparoniego: że w tym domu jeszcze jest pan. Mogłem się założyć, że nie ma tutaj ani liczników, ani przyłączy, przynajmniej takich, które prowadziłyby poza nieruchomości. Prawdopodobnie Zapparoni przeniósł na swoje domostwo wzór zamkniętego państwa handlowego z wcześniejszych czasów; jeśli tak, to umożliwiły mu to jego automaty. W automatach abstrakcyjna siła nabiera

konkretu, powraca do przedmiotu. Nie widziałem tu jednak nic podobnego, chodziło raczej o odczucie pewnej atmosfery. Na stołach stały nawet świece, a na kominku klepsydra.

Najwyraźniej mieszkał tu ktoś, kto nie pobierał dywidend, lecz raczej je rozdzielał. Tutaj nie mogła się wdrzeć policja, wszystko jedno, z jakim zadaniem czy pod jakim pretekstem. Zapparoni nie tylko utrzymywał własną policję, która wykonywała jego polecenia i żadnych innych, ale teren jego zakładu i jego drogi komunikacyjne były poza tym nadzorowane przez policjantów oraz państwowych i armijnych inżynierów, którzy musieli co do litery działać „w porozumieniu” z nim i nie mogli kierować się żadną wolą poza jego własną.

Nasuwa się oczywiście pytanie, dlaczego człowiek o takich prerogatywach był zdany akurat na moją pomoc, na pomoc człowieka, który miał nóż na gardle. Na tym właśnie polega tajemnica, o której już wspomniałem. To osobliwy fakt, i musi on mieć głębokie przyczyny, że człowiek rozporządzający jeszcze tyłoma prawnymi możliwościami działania jest jednak zdany w realizacji swoich planów na boczne wejścia. Przestrzeń prawa, niezależnie od tego, czy jest mała czy duża, zawsze graniczy z obszarem bezprawia. Granica rośnie wraz z prerogatywami. Dlatego u możliwych tego świata znajdujemy więcej niesprawiedliwości niż u maluczkich. Tam, gdzie prerogatywy stają się absolutne, dochodzi do stanu, w którym granice grożą rozmyciem i trudno jest odróżnić prawo od bezprawia. Wtedy potrzebni są ludzie, z którymi można konie kraść.

Zaprowadziwszy mnie do biblioteki, służący pozostawił mnie samego. Był nienagannie uprzejmy. Wspominam o tym, ponieważ spostrzeżenie to pokazuje, jak nieufny się stałem. Obserwowałem każdego, z kim się spotykałem, i o wiele łatwiej niż kiedyś było mnie urazić. Zachowanie służącego nie dawało w każdym razie podstaw do sądenia, że pan domu poczynił jakąś nieprzychylną uwagę o mojej wizycie. Cóż, wciąż jeszcze wątpiłem w to, że go zobaczę – prawdopodobnie zaraz miał wejść jeden z jego sekretarzy.

W bibliotece było cicho i przyjemnie. Książki emanowały spokojną godnością. Stały rzędami na regałach w oprawach z jasnego pergaminu, tłoczonych cielęcej skóry i brunatnego marokinu. Pergaminowe tomy były opisane ręcznie; skórzane grzbiety zaopatrzone były w czerwone i zielone naklejki tytułowe, zadrukowane złotymi czcionkami. Pomimo swej starości księgozbiór nie sprawiał wrażenia, że jest tutaj po to, by tworzyć dekorację, lecz że jest używany. Przeczytałem kilka tytułów, które niewiele mi mówiły: wczesna technika, kabała, różokrzyżowcy, alchemia. Być może jakiś umysł wypoczywał tutaj na dawno zarosłych bezdrożach.

Grube mury czyniłyby pokój mrocznym, gdyby przez okna, sięgające niemal podłogi, nie wlewało się do niego światło. Oszklone drzwi były otwarte; prowadziły na szeroki taras.

Spojrzenie padało na park niczym na stary obraz. Drzewa lśniły w świeżym blasku listowia; oko czuło, jak zwilżają w ziemi swe korzenie. Porastały brzeg potoku, który płynął leniwie obok, tworząc czasami rozlewiska, na których słabo połyskiwał zielony gorset wodnych mchów. Były to kiedyś stawy rybne mnichów; cystersi budowali na bagnach jak bobry.

Szcześliwym trafem mur się zachował. Na ogół, a zwłaszcza w pobliżu miast, te kamienne pierścienie są zburzone; służyły za kamieniołomy. Tu-

taj jednak od czasu do czasu przez listowie drzew widziało się szary kamień. Mur zdawał się zamykać w sobie nawet pola uprawne, bo w oddali ujrzałem chłopca idącego za pługiem. Powietrze było przejrzyste; słońce lśniło na skórze koni i na skibie, która odwracała się pod lemieszem. Obrazek był idylliczny, chociaż mógł dziwić w posiadłości człowieka sprzedającego również traktory dla ogrodników, które spulchniały grządki niczym krety i rozdrabniały ziemię. Tymczasem wszystko w jego domostwie wskazywało na muzealne zamiłowania. Zapewne nie chciał widzieć żadnych maszyn, gdy z tarasu przyglądał się swoim drzewom i stawom. Miało to ponadto tę zaletę, że na jego stół trafiały jedynie owoce wytwarzane starym sposobem. Również tutaj prawdziwe jest twierdzenie, że słowa się zmieniły, bo chleb nie jest już chlebem, a wino nie jest już winem. Są to podejrzane chemikalia. Trzeba być niezwykle bogatym, jeśli chce się dzisiaj uniknąć zatrucia. Ten Zapparoni był niewątpliwie przebiegłym lisem, potrafiącym żyć w swej kryjówce, i to na koszt głupców, niczym aptekarz, który każe sobie płacić złotem za swoje medykamenty i cudowne specyfiki, podczas gdy sam utrzymuje siebie i swoich bliskich w zdrowiu sposobami ojców.

To miejsce naprawdę było spokojne. Zgiełk zakładów, parkingów i dróg dojazdowych docierał przez liściaste korony drzew jedynie jako lekki poszum. Słychać było za to melodie szpaków i zięb, a na spróchniałych pniach stukał dzięcioł. Drozdy skakały i wysiadywały na trawnikach, a czasami od strony stawów dobiegał plusk wyskakującego z wody karpia. Na rabatach i gazonach przed tarasem, gdzie tłoczyły się kwiaty, krążyły pszczoły, dzieląc z motylami słodki łup. Był majowy dzień w swej pełnej krasie.

Obejrzawszy obrazy i książki o osobliwych tytułach, usiadłem przy małym stoliku, przed którym stały dwa krzesła, i spoglądałem przez szeroko otwarte drzwi. Powietrze było czystsze niż w mieście, niemal odurzające. Oko spoczywało na starych drzewach, zielonych stawach i na brunatnym polu w oddali, na którym chłop drążył bruzdy w ziemi, odpoczywając przy nawrotach.

Podobnie jak w ciepły wiosenny dzień czujemy jeszcze w kościach zimę, tak patrząc na ten obraz, odczuwałem niezadowolenie, jakie w tych latach

zmąciło moje życie. Zdymisjonowany kawalerzysta sprawiał smutne wrażenie pośród miast, w których nie rżał już żaden koń. Jakże się jednak wszystko zmieniło od czasów Monterona. Słowa utraciły swoje znaczenie, również wojna nie była już wojną. Monteron przewróciłby się w grobie, gdyby się dowiedział, co dzisiaj okreśłano mianem wojny. Zresztą pokój również nie był już pokojem.

Jeszcze dwa, trzy razy jeździliśmy konno po równinach, które od czasu wędrówki ludów wciąż na nowo przemierzali uzbrojeni jeźdźcy. Wkrótce mieliśmy się dowiedzieć, że nie jest to już możliwe. Nosiliśmy jeszcze piękny, kolorowy mundur, z którego byliśmy dumni i który błyszczał z daleka. Nie widzieliśmy już jednak żadnego nieprzyjaciela. Z wielkiej odległości byliśmy przez niewidocznych strzelców brani na muszkę i strącani z siodła. Gdy docieraliśmy do nich, znajdowaliśmy ich oplecionych drutami, które rozcinały koniom pęciny i przez które nie dawało się przeskoczyć. To był koniec kawalerii. Musieliśmy zsiąść na ziemię.

W czołgach było ciasno, gorąco i hałaśliwie, jakby człowiek siedział w kotle, w który wałą młotami kowale. Pachniało olejem, paliwem, gumą, przypaloną taśmą izolacyjną i azbestem, a kiedy dojechało się na odległość strzału, również prochem, który dymił z łusek. Czuło się wstrząsy w miękkim gruncie, potem ostrzejsze i bliższe uderzenia, a wkrótce także trafienia. Nie był to żaden z wielkich dni kawalerii, o których opowiadał nam Monteron. Była to gorąca praca maszynowa, niewidoczna, wyzbyta chwały i której zawsze towarzyszyła niedająca się odpędzić perspektywa śmierci w ogniu. Wydawało mi się obrzydliwe, że duch tak się ugina przed potęgą płomieni, lecz musi to być głęboko zakorzenione w naturze.

Poza tym rzemiosło to nabrało podejrzanego charakteru. Wkrótce przekonałem się, że również żołnierze nie są już żołnierzami. Nieufność była obustronna i odbijała się również na służbie. Wcześniej wystarczała przysięga na sztandar. Teraz trzeba było werbować niezliczonych policjantów. To była szokująca zmiana. Z dnia na dzień błędem, a nawet przestępstwem stało się to, co wcześniej było powinnością. Zauważyliśmy to, gdy po przegranej wojnie wróciliśmy do ojczyzny. Słowa utraciły swoje znaczenie – czy

teraz również ojczyzna nie była już ojczyzną? Za co więc wszyscy oddali życie, Monteron i jego ludzie?

Niechętnie wspominam tamte lata, w których wszystko się zmieniło, i chciałbym wymazać je z pamięci jak zły sen. Nie zdołaliśmy uporać się z faktami. Każdy w drugim widział winnego. Gdzie nienawiść ma udział w siewie, zniwem mogą być jedynie chwasty.

Pewne straszliwe wydarzenie zohydziło mi tę szarpaninę. Musiało ono przypaść na czas, gdy obaliliśmy pomnik; wzniesiono go na cześć jednego z nowych trybunów, który już znowu stał się niepopularny. To również jedno ze słów, które zawdzięczają swój żywot temu, że istniało kiedyś rzymskie imperium. Piliśmy wcześniej; było po północy i monument stał w ostrym świetle jakiegoś placu budowy. Robotnicy użyli nam swoich młotów i wykonaliśmy tak gruntowną robotę, że z cokołu sterczały w powietrze jedynie dwa ogromne betonowe buty. Ledwie jeszcze przypominam sobie miejsce i nazwiska związane z tamtym obskuranckim aktem obrazoburstwa; kogo to interesuje, jak Zapparonego, może to znaleźć w moich papierach.

Mieliśmy zwyczaj spotykać się u kolegi, który zamieszkiwał pokój na najwyższym piętrze czynszowej kamienicy, jakie budowano wówczas równie szybko, jak niesolidnie. Pokój miał szerokie okno wychodzące na głęboki szyb podwórza, które z tej wysokości wydawało się nie większe od karty do gry. Kolega ten nazywał się Lorenz; był szczupłym, nieco nerwowym chłopcem i również służył wcześniej w lekkiej kawalerii. Lubiliśmy go wszyscy; było w nim coś z dawnej wolności, z dawnej beztroski. Niemal każdy miał wtedy jakąś ideę; była to szczególna właściwość lat, które nastąpiły po tamtej wojnie. Jego idea zasadzała się na przekonaniu, że źródłem wszelkiego zła jest maszyna. Dlatego chciał wysadzić w powietrze fabryki, rozdzielić na nowo ziemię i przekształcić kraj w wielkie chłopskie królestwo. Wszyscy byliby wtedy pokojowo usposobieni, zdrowi i szczęśliwi. Aby poprzeć ten pogląd dowodami, zgromadził małą bibliotekę – dwa, trzy rzędy zaczytanych książek, przede wszystkim Tołstoja, który był jego świętym, a także wczesnych anarchistów w rodzaju Saint-Simona.

Biedny chłopiec nie wiedział, że dzisiaj istnieje tylko jeden rodzaj reformy rolnej: ekspropriacja. Sam był przy tym synem wywłaszczonego rolnika, który nie przeżył swojej straty. Szczególnie osobliwa wydawała się okoliczność, że bronił tych idei pod dachem czynszowego domu i w kręgu ludzi, którym wprawdzie nie zbywało na zagmatwanych planach, ale którzy pod względem wiedzy technicznej nie ustępowali nikomu.

Co za tym idzie, często przerywano mu wesołymi okrzykami, kiedy wyłuszczał swoje idee, jak na przykład: „Z powrotem do epoki kamienia łupanego” albo „Neandertal, tyś mą radością”. Nie dostrzegaliśmy jednak albo widzieliśmy nie dość wyraźnie, że jakiś święty, choć bezsilny gniew trawi naszego przyjaciela, bo życie w tych miastach, które tliły się jakby wypatroszone przez spizowe dzioby, było potworne. Lorenz nie powinien był się wówczas znajdować w naszej rozwydrzonej kompanii, lecz pod opieką rodziny, w rękach kochającej żony. Monteron szczególnie go lubił.

W ten straszny wieczór, było już raczej nad ranem, wiele pito i głowy rozgrzały się. Opróżnione butelki stały na stole i przy ścianach, a dym z popielniczek sączył się przez otwarte okno, przez które spojrzenie padało na niezdrowo wyglądające niebo. Było to bardzo odległe od spokoju wioski.

Niemal zasnąłem i tylko hałas rozmowy utrzymywał mnie w stanie jawy. Nagle ocknąłem się; czułem, że w pokoju dzieje się coś, co wymaga najwyższej uwagi. Tak odbiornik zaczyna wibrować, gdy ktoś nawiąże z nim łączność. Muzykę przerywają sygnały statku, który walczy z zagładą.

Koledzy umilkli; spojładali na Lorenza, który się podniósł i był w stanie najwyższego wzburzenia. Pewnie znowu mu dokuczali, żartowali sobie z czegoś, co właściwie wymagało pomocy doświadczonego lekarza. Za późno każdy z nas zauważył, jak niezwykle było to wszystko.

Lorenz, który zresztą nie pił wcześniej i nigdy nie miał zwyczaju pić, najwyraźniej wpadł w rodzaj transu; nie bronił już swojej idei. Zamiast tego uskarżał się, że brakuje mężczyzn, którzy pragną dobra; można by je wówczas łatwo urzeczywistnić. Ojcowie nam to pokazali. A przecież tak łatwo jest złożyć ofiarę, jakiej oczekują czasy. Wówczas zasklepiłaby się szczelina, która rozdarła ziemię.

Spoglądaliśmy na niego i nie wiedzieliśmy, do czego to ma zmierzać; czuliśmy się na wpół jak słuchacze bezsensownej tyrady, a na wpół jak świadkowie zaklęcia, przy którego wypowiedzeniu z głębi dobiega błysk czegoś niesamowitego.

Stał się teraz spokojniejszy, jakby rozmyślał nad jakimś szczególnie przekonującym sformułowaniem. Uśmiechnął się i powtórzył:

– Przecież to takie łatwe. Pokażę wam. – Potem zawołał: – Niech żyje... – I rzucił się przez okno.

Nie chcę powtarzać, na czyją cześć wzniósł okrzyk. Zdawało nam się, że śnimy, ale jednocześnie było tak, jakby podłączono nas do prądu; siedzieliśmy w opustoszałym pokoju ze zjeżonymi włosami niczym gromada upiórów.

Lorenz, choć najmłodszy z nas, był demonstratorem ćwiczeń gimnastycznych; dość często widywałem go, jak przewija się na drążku albo wykonuje skok przez konia. Tak samo zniknął z mansardy; ułożył dłoń lekko na parapecie i zwinnie się okręcił, tak że jego twarz raz jeszcze zajrzała do środka.

Czy nastąpiło teraz pięć, czy może siedem sekund nadzwyczajnej ciszy – tego nie wiem. W każdym razie chciałoby się, nawet we wspomnieniu, wbić w czas klin, aby utracił on swoją logikę, swoją nieodwracalność, klin w nieubłagany czas. Potem w głębi podwórza rozległo się straszliwe uderzenie, głuche, lecz jednocześnie twarde; nie ulegało wątpliwości, że było śmiertelne.

Rzuciliśmy się w dół po schodach i wybiegliśmy na wąskie, pogrążone w półmroku podwórze. Przemilczę, co za istota siedziała tam w kucki. Z takiej wysokości ciało spada zwykle głową w dół – to, że Lorenz zdołał wylądować na nogach, pokazuje, jak dobrym był gimnastykiem. Skok udałby się jeszcze z drugiego, może nawet z trzeciego piętra. Są jednak rzeczy, których nie sposób dokonać. Ujrzałem dwie jasne piszczele, z których zwisały strzępy ciała: kości przy uderzeniu przebiły biodra i białą w powietrzu.

Jeden wołał o lekarza, inny o pistolet, trzeci o morfinę. Ja poczułem, że grozi mi szaleństwo, i pobiegłem w noc. Nieszczęsny czyn głęboko mnie

poruszył i pozostawił po sobie nieusuwalny uraz; we mnie również coś zniszczył. Nie mogę go więc traktować jako epizodu, zbyć uwagą, że na świecie dzieje się wiele bezsensownych rzeczy.

Biedny chłopiec rzeczywiście dał nam przykład, choć inny, niż zamierzał. Potrafił w jednej chwili unaocznic i spełnić coś, do czego większość z naszego kręgu potrzebowałaby całego życia. Ukazał nam beznadziejność naszej sytuacji.

Pojąłem wtedy znaczenie straszliwego słowa „nadaremnie”. Przeszyło mnie ono na wskroś już po klęsce na widok nadludzkich dokonań, niezmiernego cierpienia, z którego sterczało ono w ognistoczerwoną noc niczym okryta sępami skała. Spowodowało to ranę, która nigdy się nie zblizni.

Wydawało się, że moi koledzy brali to mniej poważnie. Właśnie wśród uczestników tamtego wieczoru znajdował się szereg nieugiętych duchów, o których później wiele mówiono; można było odnieść wrażenie, że zgromadził ich jakiś demon. Następnego dnia spotkali się znowu i postanowili, że nazwisko Lorenza należy wykreślić z listy. Samobójstwo było dla nich niedopuszczalnym hołdem złożonym duchowi czasów.

Odbył się nędzny pogrzeb na jednym z podmiejskich cmentarzy. Kiedy uczestnicy się rozchodzili, dało się słyszeć pełne zakłopotania słowa: „Po pijanemu wyskoczył z okna” i tym podobne rzeczy.

Co się tyczy pozostałych, to rozwinęli oni wkrótce niezwykłą aktywność. Dochodziły o nich wieści z prowincji bałtyckich, potem z Asturii i z wielu innych miejsc, nawet bardzo odległych; nie było zawirowań, w których by się nie wynurzyli. Chociaż dokonywali zdumiewających rzeczy, nie można powiedzieć, że sprzyjały im czasy, a jeśli już, to tylko tam, gdzie wyłaniały z siebie przeciwne prądy.

Zacząłem wtedy zajmować się historią. Byłem ciekaw, czy już kiedyś wydarzyło się coś podobnego. Wśród postaci historycznych wrażenie zrobił na mnie młodszy Katon, któremu podobała się nie zwycięska, lecz przegrana sprawa. Mnie również w wielkim fresku świata cienie wydawały się bardziej przejmujące i głębokie, a smutek jawił mi się jako właściwe uświęcenie kontemplacji – Hektor i Hannibal, Indianie i Burowie, Montezuma i Maksymilian z Meksyku. Z pewnością leżała tu również jedna z przyczyn mego niepowodzenia; nieszczęście jest zaraźliwe.

Im bardziej obrotni stawali się moi przyjaciele i im większe uzyskiwali wpływy, tym bardziej starali się przyciągnąć mnie do siebie. Potrafili dokładnie ocenić, na co kogo stać. Mnie uważali za dobrego instruktora. I jest tak w istocie; miałem tę zaletę, że byłem specjalistą. Muszę jednak również i tutaj uczynić pewne zastrzeżenie, wyjaśniając, na ile zasługiwałem na ten tytuł, a na ile nie.

Bez wątpienia posiadałem wrodzony talent do przysposabiania – to jest do wprowadzania młodych ludzi w materię, której mają za zadanie się nauczyć, a następnie osiągnąć w niej biegłość. Opanowanie konia w ujeżdżalni, potem na torze przeszkód, a wreszcie w otwartym terenie, znajomość czołgu oraz jego części i ich współdziałania, kierowanie nim pod ostrzałem, zachowanie się na napromieniowanych albo w inny sposób zagrożonych obszarach – metodyczne przekazywanie takich rzeczy w teorii i prak-

tyce nie sprawiało mi trudu. Wspomniałem już, że w kwestiach technicznych byliśmy bliscy doskonałości. Gdy brałem udział w centralnym kursie poświęconym nowemu wynalazkowi, można było mieć pewność, że dobrze spożytkuję swoje zdolności. Zostałem również członkiem inspekcji czołgowej. Jeździliśmy do fabryk i targowaliśmy się z inżynierami o ich wynalazki.

Nawiasem mówiąc, wynalazki te stawały się coraz bardziej odpychające. Pod tym względem nie dawało się we mnie wykorzenić resztek prymitywnych ocen starego kawalerzysty. Przyznam, że we wczesnych czasach jeździec miał wielką przewagę nad piechurą. Musiał za to ponosić znacznie większe wydatki. Wyrównało się to wraz z pojawieniem się prochu strzelniczego, nad którego wynalazkiem Ariosto słusznie ubolewa. Oznaczało to koniec wspaniałych armii, jakimi dowodził jeszcze Karol Zuchwały. Zdarzały się jednak jeszcze piękne dni kawalerii i nie mogę poczytywać za niesprawiedliwe, że piechota miała czas dwu- albo trzykrotnie złożyć się do strzału, zanim dostała za swoje. Ale potem nastąpiła śmierć konnicy.

Stare centaury pokonał nowy tytan. Ujrzałem mojego pogromcę całkiem blisko przed sobą, gdy leżałem krwawiąc w trawie. Stracił mnie z siodła. Był to drobny, cherlawy facet, wągrowaty mieszkaniec przedmieścia, jakiś wytwórca sztucców z Sheffield albo tkacz z Manchesteru. Siedział przycupnięty za swoją kupą łajna, przymknąwszy jedno oko, a drugim celując ponad żelastwem, którym czynił całe zło. Tkał nikczemne sukno w czerwono-szare wzory. Był to nowy Polifem albo raczej jeden z jego najniższych pacholków, z żelazną protezą przed jednooką twarzą. Tak więc wyglądali obecni panowie. Minęło piękno lasów.

Przychodzi mi przy tym na myśl Wittgrewe, jeden z moich pierwszych instruktorów. Nauczyłem się u niego podstaw konnej jazdy, zanim jeszcze trafiłem do Monterona. Wittgrewe ujeżdżał remonty; żaden turniej jeździecki nie był do pomyślenia bez niego. Miał uda z żelaza i prowadził cugle ręką miękką jak aksamit. Nawet najtrudniejszy koń, najmniej ujeżdżony źrebak w ciągu sekundy rozpoznawał w nim pana. Pierwsze manewry odbyłem pod jego nadzorem. Wieczorem chętnie zachodziłem do stajni,

w której ulokował się z końmi, i czułem się tam dobrze, nawet wówczas, gdy cały długi dzionek spędziliśmy w siodle, od rana aż po komendę: „Od-
dział, stój!”.

W stajni było przytulnie; konie stały w głębokiej słomie, której źdźbła łechtały je w brzuch. Zawsze spotykało się u Wittgrewego dwóch, trzech in-
nych lekkich kawalerzystów, starszych kadetów z trzeciego roku. Nauczy-
łem się tam, jak pielęgnuje się konia po długiej jeździe, podsypuje mu się
siana, rozciera jego boki, obmacuje pęciny, przynosi mu się wodę, którą
oprószyło się wcześniej sieczką, żeby zbyt pośpiesznie nie pił, pieści się go
i hołubi, aż kładzie człowiekowi łeb na ramieniu i trąca go chrapami. Na-
uczyłem się również tajemnic wart stajennych na dworskiej albo chłopskiej
kwaterze, nauczyłem się pić wódkę, palić półdługie fajki z malowanym cy-
buchem, grać w karty oraz robić inne rzeczy stanowiące część przygoto-
wań do huzarskiej próby. Tam, gdzie pojawiał się Wittgrewe, gdzie w roz-
piętej kurtce szedł przez podwórze spacerowym, niedbałym krokiem,
wkrótce zjawiały się również dziewczęta, blondynki, szatynki i brunetki,
dziewczęta w spiczastych trzewikach i wysokich butach, dziewczęta
w chustkach na głowę i bez, dziewczęta z Pomorza i Śląska, z Polski i Li-
twy. Przyjmował to jako rzecz oczywistą i nie musiał nawet nic w tym celu
robić; dziewczęta przychodziły tak, jak przychodzą koty, gdy rozleje się wa-
lerianę. Przychodziły również do stajni, kiedy gospodarz i gospodyni albo
jaśniepaństwo poszli już spać. Wówczas sięgano po butelki i napoczynano
kielbasy, zadawano zagadki i losowano fanty, krótko mówiąc, Wittgrewe
znał się na wszystkim. Miał również wspaniały głos.

Moje pierwsze manewry były zresztą zarazem jego ostatnimi; jeszcze je-
sienią odszedł ze służby i otrzymał posadę. Po pewnym czasie ujrzałem go
znowu, jadąc tramwajem do Treptow. Kupiłem bilet i nie mogłem uwierzyć
oczom, gdy rozpoznałem go w konduktorze – ale nie mogło być wątpliwo-
ści: to był Wittgrewe. Nosił teraz sztywną zieloną czapkę, wyglądającą jak
spłonka, i skórzaną torbę, sprzedawał bilety po dziesięć fenigów, dzwonił
co trzy minuty, pociągając za ramię, i zapowiadał przystanki. Widok ten
skonsternował mnie; wprowadził mnie w przygnębienie, jakby żyjące na wol-

ności zwierzę siłą wsadzono do klatki i nauczono je dwóch albo trzech nędznych sztuczek. To był zatem wspaniały Wittgrewe.

Również Wittgrewe mnie rozpoznał. Jednakże powitał mnie niezbyt radośnie – zdawał się niechętnie wracać myślą do wspólnej przeszłości. Moje zdumienie wzrosło jeszcze, gdy zauważyłem, że wspomina czasy kawalerskie jako coś gorszego, mniej znaczącego, a swoje zajęcie w tym wagonie uważa za postęp i awans.

Choć najwyraźniej niezbyt mu na tym zależało, odwiedziłem go w jego mieszkaniu. Młodzi ludzie niechętnie tracą swoje wzory. A Wittgrewe był właśnie lekkim kawalerzystą z prawdziwego zdarzenia. Szybkie pokonywanie przeszkód, wykorzystywanie nadarzających się sposobności wymaga gorącej krwi, wymaga sangwicznego temperamentu. Trzeba się również pogodzić z pewną lekkomyślnością, jak robił to nawet Monteron, chociaż nie dawał tego po sobie poznać.

Mieszkanie Wittgrewego wyglądało niemal jeszcze smutniej. Znajdowało się w dzielnicy Stralau – w Berlinie, „co to śmieje się i płacze”. Zaprowadził mnie do pokoju, w którym stał kredens z kaukaskiego drzewa orzechowego, zwieńczony kryształową misą. Ożenił się. Przekonałem się wówczas po raz pierwszy, że mężczyźni, którzy przez lata byli ulubieńcami kobiet, mają najmniej powabne żony.

Szczególnie zdumiało mnie, że w całym mieszkaniu nie zobaczyłem żadnego konia, ani na sztychach, ani na fotografiach, ani też żadnej z nagród, które Wittgrewe zdobył na turniejach. Z dawnej dewizy „Wino, kobiety i śpiew” pozostało jedynie członkostwo związku śpiewaczego Stralau. Na tym wyczerpywały się jego towarzyskie ambicje.

A jakie żywił nadzieje na przyszłość? Chciał zostać kontrolerem, może nawet inspektorem, jego żona oczekiwała niewielkiego spadku i miał być może zostać kiedyś również wybrany do zarządu swego związku. Chuda żona dotrzymywała nam w milczeniu towarzystwa, gdy piliśmy jasne piwo, i opuściłem ich z uczuciem, że przyszedłem nie w porę. Być może powinienem był go zaprosić podczas święta kwitnienia drzew na kielicha do Werderu albo na wyścigi konne do Hoppegarten, bo gdzieś w głębi musia-

ło przecież chyba drzemać wspomnienie; nie mogło całkowicie zaginać. Wyobrażałem sobie, że nocą Wittgrewe znowu dosiada w snach konia i ze śpiewem na ustach galopuje po szerokich równinach, dopóki wieczorem wysoki żuraw studni na horyzoncie nie przyzwie go obietnicą sutej kwatery.

Gdy napomknąłem o Polifemie z Sheffield albo Manchesteru, przypomniałem sobie Wittgrewego. Ukorzył się przed nowymi bożyszczami i Taras Bulba przewracał się w grobie. Wkrótce miałem się dowiedzieć, że nie był to odosobniony przypadek. Podobnie działo się z innymi. Kiedy stacjonowaliśmy w jednej ze wschodnich prowincji, przychodzili do nas jedynie młodzi rekruci ze wsi, chłopscy synowie i parobkowie, od dziecka nawykli do obcowania z końmi. Lata w kawalerii były dla nich świętem. Potem coraz więcej z nich wchłaniały wielkie miasta i kończyli jak Wittgrewe. Zatrudniano ich przy pracy na akord, która była niegodna mężczyzny i mogłaby być równie dobrze wykonywana przez kobietę albo dziecko, albo nawet przez część maszynierii, przy której pracowali.

Tego, czym parali się w młodości i co od tysiącleci było powołaniem, rozkoszą i radością mężczyzny: jazdy na koniu, orki o poranku parującego pola pługiem zaprzężonym w byka, żęcia w skwarne lato żółtego zboża, podczas gdy po ogorzalej piersi spływają strużki potu, a zniwiarki ledwie mogą nadążyć z wiązaniem snopów, posiłku w cieniu zielonych drzew – wszystkiego tego, co poeci opiewali od prawieków, tego miało już więcej nie być. Rozkosz przeminęła.

Jak można w ogóle wytłumaczyć ten pociąg do bardziej bezbarwnego i płytkiego życia? Bez wątpienia, praca była lżejsza, chociaż również mniej zdrowa, i zapewniała więcej pieniędzy, więcej wolnego czasu i być może także więcej rozrywek. Dzień na wsi jest długi i ciężki. A jednak wszystko to było mniej warte niż wcześniej krągły talar, wolny czas po służbie, wiejska zabawa. To, że oddalili się od szczęścia, widać było wyraźnie po zniechęceniu oceniającym ich twarze. Niezadowolenie wkrótce brało górę nad wszelkimi innymi uczuciami, stawało się religią. Tam, gdzie wyły syreny, było strasznie.

Każdy musiał się z tym pogodzić. W przeciwnym razie, jeśli chciało się trwać w przestarzałych pojęciach, tak jak my w naszym kawaleryjskim życiu, przychodzili ludzie z Manchesteru. To naprawdę minęło. Teraz obowiązywała zasada „Wóz albo przewóz!”. Wittgrewe spostrzegł to wcześniej ode mnie. Tym bardziej daleki jestem od krytykowania jego i innych, że przecież byłem zmuszony do dokonania takiego samego zwrotu.

Wyglądało to wtedy mniej więcej tak: człowiek z Manchesteru nauczył nas rozumu. Musieliśmy pozbyć się koni. Teraz przybywaliśmy z czołgami, żeby go wykurzyć, na co on z kolei częstował nas nową niespodzianką. W gruncie rzeczy pchaliśmy ten sam wózek.

Muszę przyznać, że w tym następstwie wciąż nowych i coraz szybciej starzejących się modeli, w tej wyrafinowanej grze pytań i odpowiedzi uprawianej przez przerasowane mózgi był jakiś urok, który przez pewien czas mnie urzekał, zwłaszcza gdy pracowałem w inspekcji czołgowej. Walka o władzę weszła w nowe stadium; była prowadzona za pomocą naukowych formuł. Bronie tonęły w otchłani jak przelotne zjawiska, jak obrazy wrzucane do ognia. W proteuszowym następstwie powstawały nowe.

Widowisko było fascynujące, co do tego zgadzałem się z Wittgrewem. Kiedy podczas uroczystych parad, czy to na placu Czerwonym, czy w innych wielkich centrach, pokazywano masom nowe modele, panowało podniosłe milczenie, a potem wybuchały wiwaty. Cóż oznaczał ten zgiełk, gdy po ziemi przetaczały się stalowe żółwie i spiżowe węże, podczas gdy na niebie trójkąty, strzały i rakiety w kształcie ryb z szybkością myśli tworzyły zmieniające się figury? Chociaż demonstrowano zawsze nowe modele, w tym milczeniu i tych wiwatach wyrażało się jakieś odwieczne zło tkwiące w człowieku, który jest przebiegłą bestią i zastawiaczem pułapek. Tubal-Kain i Lamech przechodzili niewidzialni obok w pochodzie mamideł.

Byłem instruktorem bez określonej rangi, zatrudnionym przy odbiorze czołgów, specjalistą, jacy potrzebni są dzisiaj we wszystkich dziedzinach. Moja należała do tych, które – choć nieodzowne – nie cieszą się szczególnym poważaniem. Z drugiej strony ja również niezbyt poważałem zleceniodawców. Każdy pan ma parobka, na jakiego zasługuje. Ujemne strony bycia specjalistą są znane. Ma ono jednak również zalety, między innymi tę, że człowiek nie musi od razu udawać towarzysza. Można ograniczyć się do faktów.

Wolny czas poświęcałem głównie na swoje studia historyczne. Przy moim trybie życia nie bardzo mogłem wozić z sobą książki, poza małym żelaznym zapasem, często jednak bywałem w bibliotekach, a także na wykładach. Stworzyłem sobie również pewną teorię. Polegała ona na tym, że znajdujemy się w czasach przed Akcją, ciąży na nas przekleństwo światowej wojny domowej i że po tym okresie nastąpi inny, w którym obchodzone będą aktiady – szereg wspaniałych i spokojnych stuleci. My oczywiście aż do końca naszych dni mieliśmy oglądać jedynie nieszczęścia.

Jeśli chodzi o stanowisko instruktora, to podobnie jak większości moich przyjaciół strona techniczna nie sprawiała mi trudu. Miałem do niej nawet pewne zamiłowanie. Każdy, kto nauczał albo prowadził ćwiczenia, wie jednak, że nie to jest najważniejsze. Dla zgłębienia przedmiotu musi zaistnieć jeszcze erotyczny stosunek między nauczaniem i uczeniem się, wzajemne oddziaływanie dawania i otrzymywania, wzoru i naśladownictwa, miłość, z jaką dzikus ćwiczy swoich synów w strzelaniu z łuku albo zwierzę prowadzi swoje młode. Jedną z wielkich zasad porządkowych kosmosu jest pedagogiczna, jestem o tym przekonany.

Odczuwałem potrzebę obcowania z młodymi ludźmi. Musiałem przy tym polegać na swoich osobistych talentach; brakowało mi ponadosobiste-

go autorytetu Monterona. Na początku stałem z nimi na koleżeńskim stopniu, później relację tę pogłębiło ojcowskie przywiązanie. Nie dane mi było mieć synów, chociaż zawsze ich pragnąłem. Jak ci chłopcy poradzą sobie w życiu – pytanie to miało dla mnie w sobie coś ekscytującego. Urodzili się w atmosferze niepewności, nigdy nie znali mężczyzn cechujących się bezwzględnością pewnością Monterona. Wielu z nich nie miało ojca. Dlatego mogłem lepiej ocenić miarę ich zagrożenia, samotność na nieznanym morzu, straszliwą bliskość do przepaści.

Nie mam przez to na myśli fizycznego zagrożenia, chociaż również i ono mnie trapiło, gdy nadchodził pożegnalny wieczór. Chłopcy siedzieli tam, stłoczeni jak pisklęta w gnieździe. Wprawdzie wypowiedziano te co zwykle słowa: „Wkrótce będziemy mogli pokazać, czego się nauczyliśmy” i tym podobne, lecz towarzyszył temu strach, bardzo mroczny cień, który nie dawał się odegnąć. I myślałem, widząc ich tak siedzących: „Tak, wkrótce stąd wyjdziecie – tam, gdzie nie może za wami podążyć żaden nauczyciel. Ach, cóż was tam czeka?”.

Świadomość, że są tak samotni, stawała się dla mnie coraz bardziej nieznośna. Dwu- albo trzykrotnie udało mi się uzyskać pozwolenie, żeby im towarzyszyć, co nie było mile widziane, a także na niewiele się zdawało, jakże szybko bowiem nadchodzi moment, gdy musimy pozostawić bliźniego samemu sobie i nie możemy mu udzielić żadnej pomocy, jakby oddzielały nas od niego morza. Chętnie nadstawiałbym za nich karku – nie miałem już przecież specjalnie czego oczekiwać na tym świecie. Już się zamortyzowałem. Ale mnie kule omijały.

I znowu zdumiewała mnie ich odwaga, ich wytrzymałość. Gdzie polityków opuszczał rozum – i jakże szybko to się działo – tam musieli wkraczać oni, musieli ręczyć za długi ojców i praojców. Tu nie mogło już być mowy o wielkich dniach kawalerii. W jakie potworne opresje ich pakowano. A oni szli bez słowa wyrzutu. Pod tym względem widziałem coś więcej niż Monteron. Strefa głębokiego, nieprzynoszącego chwały cierpienia, rozpoczynająca się poza utrwalonymi porządkami, musiała pozostać przed nim ukryta.

O politycznych kwestiach nie rozmyślałem wiele. Miałem uczucie, że wszyscy wyskakujemy przez okno jak Lorenz. Wcześniej czy później musieliśmy uderzyć o ziemię. Jak to się mówi, trwaliśmy w zawieszaniu. O tym, że część moich przyjaciół awansowała na wysokie stanowiska, czy to polityczne, czy wojskowe, już wspomniałem. Ja podążałem skromnie za nimi. Do czegoś przecież trzeba było się przyłączyć. Czy tu, czy tam, to wychodziło na jedno.

Bez wątpienia wgląd w niektóre rzeczy przynosi nam niewiele pożytku, a nawet raczej szkodzi. Kto zbyt dokładnie przygląda się kuchni, psuje sobie apetyt. Tego, że nasza sprawa miała swoją ciemną stronę i że u przeciwnika nie wszystko było tak czarne, jak to przedstawiano – tego nie potrzebowałem wiedzieć ani o tym mówić. Czyniło mnie to podejrzanym zarówno tutaj, jak i tam oraz pozbawiało korzyści wynikających z opowiedzenia się po jednej ze stron.

Byłem skrupulantem i to, że brakowało mi bezkrytycyzmu stronnika, stanowiło moją słabość, która wkrótce została rozpoznana. Ściśle związane z tym było moje przychylne nastawienie do pokonanego, które sprawiało, że często dokonywałem osobliwych zwrotów. Wróć do tego przy omawianiu Spicherer Höhen.

Taka cecha charakteru, taka słabość nie może długo pozostać ukryta, i był to powód, dla którego pomimo dobrych wyników nie awansowałem. Zarzut sofistyki, dzielenia włosa na czworo oraz niezdecydowania towarzyszył mi w moich zapisach przebiegu służby. W każdym urzędzie, w każdym gremium znajdują się inteligentni ludzie, w stosunku do których wskazana jest ostrożność. Wszystkich zakasował pewien szef sztabu podczas kampanii asturyjskiej, który napisał w mojej karcie ewidencyjnej: „Odludek o defetystycznych skłonnościach”.

Był to również moment, od kiedy figurowałem już nie jako stronnik, lecz jako specjalista, co odpowiadało wprawdzie moim skłonnościom, lecz nie sprzyjało widokom na awans. Doszła do tego jeszcze jedna przeszkoda, która jedynie stopniowo stała się dla mnie wyraźna. Polegała ona na tym, że potrafiłem z powodzeniem oddziaływać na stu albo dwustu ludzi, ale

nie na tysiąc i więcej. Wydaje się to na pierwszy rzut oka osobliwe, ponieważ mogłoby się wydawać, że tam, gdzie oddziaływanie ma odpowiednią jakość, jego ilościowe rozszerzenie nie odgrywa roli. Tak jednak nie jest, choć wiele lat trwało, zanim to odkryłem.

Sprawy wyglądały tak, że z moją specjalistyczną wiedzą z jednej strony i osobistymi skłonnościami z drugiej dawałem sobie radę przed dwustoma uczniami, podczas gdy wobec większych zgromadzeń to nie wystarczało. W tym drugim przypadku musi bowiem dojść do tego jednoznaczna ocena czasów. Nie chodzi o to, czy jest ona słuszna, lecz musi być jednoznaczna. Monteron miał taką ocenę i dlatego był jako komendant szkoły wojskowej na właściwym miejscu. Mnie jej brakowało; miałem perspektywę człowieka, który rzuca się z okna. Choć byłem zbyt inteligentny na prostą pewność stronnika, nie potrafiłem wyrobić sobie stabilnych sądów. Z pewnością tą związana jest jakaś tajemnica, dla której wyrażenia trzeba by się uciec do wielkich słów; jest ona jak zbroja, która niezależnie od poziomu inteligencji uodparnia nas na świat. Jeśli mogę przywołać coś na swoje usprawiedliwienie, to być może fakt, że przynajmniej nie udawałem pewności.

Jeśli chodzi o szefa sztabu w Asturii, to doszedł on z mniejszym trudem do tego samego wniosku, zaopatrując moje papiery w kolejny dopisek: „Nie nadaje się na stanowiska kierownicze”. Nazywał się Lessner, należał do młodego pokolenia i dysponował zdumiewającą i zawsze obecną zdolnością osądu, która od dawna jest w coraz większym stopniu podziwiana, a nawet ubóstwiana.

Z tego powodu niewiele dokonałem. Przeżyłem te lata na zmieniających się teatrach zdarzeń, ale ze stałymi skłonnościami. Sami najmniej dostrzegamy, że sprawy nie posuwają się naprzód. Dowiadujemy się tego z zewnątrz. Niedzisiejsi uczniowie pojawiają się jako przełożeni. Czujemy, że szacunek do nas nie rośnie, lecz maleje, w miarę jak się starzejemy: dysproporcja między naszym wiekiem i naszym stanowiskiem staje się widoczna, najpierw dla innych, potem również dla nas. Jest to pora, żeby się wycofać.

Pomoc przychodzi często z nieoczekiwanej strony, przychodzi od słabych, i tak też przydarzyło się mnie, kiedy spotkałem Teresę i zawarłem z nią związek. Mój defetyzm rozkwitł, rozwinął się w pełni, doprowadzając do odwrócenia się przede mną od zmiennych kolei walk o władzę. Wydawały mi się bezsensowne i jałowe, roztrwoniony wysiłek, stracony czas. Chciałem wymazać je z pamięci. Stało się dla mnie oczywiste, że pojedynczy człowiek, uchwycony w swej głębi i czerpiący z niej, daje nam więcej i ofiarowuje nam większe bogactwo aniżeli to, które Cezar albo Aleksander mogliby kiedykolwiek zdobyć. Tam jest nasze królestwo, najlepsza monarchia, najlepsza republika. Tam jest nasz ogród, nasze szczęście.

Czułem, jak mój smak zwraca się z powrotem ku prostym, naturalnym rzeczom, ku zawsze dostępnym rozkoszom. Czy musiało tak być, że właśnie teraz powróciła przeszłość niczym fala, która pochwytywa i wciąga pływaka, gdy dotarł on już do swojej wyspy? I czy musiało się to wydarzyć w szpetnej, odrażającej formie? Czy była to odpłata za inteligencję roztrwonioną w zamęcie czasów? Czy też niezadowolenie brało się stąd, że mój wzrok uległ wyostreniu?

Wszystko to przygnębiało mnie, gdy patrzyłem na łąkę z potokiem, na skraju której chłop drążył swoje bruzdy. Brązowa płaszczyzna zaoranej ziemi stopniowo powiększała się. Był to lepszy bilans od mojego.

Obrazy nie nawiedzają nas tak, jak to opisałem. Umieszczamy je w kontekście, objaśniamy je sobie. Porządkujemy je w kolejności i sąsiedztwie, których nie mają, rodząc się w naszym umyśle. Świecą wtedy jak spadające gwiazdy na wewnętrznym firmamencie, to jako miejsca, to jako nazwy, to jako bezkształtne twory. Zmarli mieszają się wtedy z żywymi, sny z prawdziwymi przeżyciami. Co to są za znaki i dokąd wędrujemy nocą? Widziałem szlachetną twarz Lorenza, który wyskoczył przez okno. Czyż nie było to przeznaczeniem nas wszystkich, naszą rzeczywistością? Pewnego dnia mieliśmy uderzyć o ziemię. Bywały dawniej czasy, w których życie służyło niemal jedynie przygotowaniu na tę chwilę; być może były one mniej bezsensowne od naszych. Ale nie wybieramy sobie czasów.

Lekki szmer sprawił, że podskoczyłem. Ktoś musiał wejść. Zrywając się na nogi, stwierdziłem, że stoję naprzeciw starego mężczyzny, który mi się przygląda. Musiał przyjść z gabinetu, którego drzwi były otwarte. Zobaczyłem narożnik dużego stołu. Pomimo południowej pory oświetlała go jeszcze lampa. Był pokryty zapisanymi i zadrukowanymi papierami oraz otwartymi książkami.

Nieznajomy był stary i niski – lecz czyniąc te spostrzeżenia, czułem zarazem, że nic one nie mówią. Bo czy był nieznajomy? I czy był stary i niski? Z pewnością miał wiele lat, bo widziałem białe włosy połyskujące pod zieloną czapką z daszkiem, którą nosił, aby chronić oczy. Również rysy twarzy układały się we wzór, jaki kreśli i nadaje długie życie. Odnajdujemy coś podobnego u wielkich aktorów, którzy odzwierciedlali ducha epok. Lecz o ile

tam przeznaczenie pracuje poniekąd w pustej formie i wywłaszcza, tutaj działało w rdzeniu. To nie był odtwórca.

Ustalenie wieku było sprawą drugorzędną, bo duch nie zna wieku. Ten starzec łatwiej mógł podejmować ryzyko, czy to fizyczne, czy moralne, czy duchowe, niż niezliczeni młodzi ludzie i lepiej sobie z nim radzić, gdyż łączył w sobie siłę i przenikliwość, nabytą przebiegłość i wrodzoną godność. Jakie było jego zwierzę herbowe? Lis, lew, jeden z wielkich ptaków drapieżnych? Przychodziła mi raczej na myśl chimera, taka, jakie gnieźdzą się na naszych katedrach i z wszystkowiedzącym uśmiechem spoglądają w dół na miasto.

Tak samo jak wydawał się stary, a jednak nie stary, był również niski, a jednak nie niski; jego osobowość zacierała to wrażenie. Kilka razy w życiu spotykałem znaczących ludzi – to znaczy takich, którzy mają do czynienia z najgłębiej osadzonymi trybami naszej maszynierii, położonymi całkiem blisko niewidocznej osi. Mogą to być mężowie, których nazwiska znajdują się w każdej gazecie, ale również zupełnie nieznani ludzie, mogą być dobrzy albo źli, aktywni lub beczynni. Mają jednak coś wspólnego, imponującego, co dostrzegają wprawdzie nie wszyscy, lecz jednak wielu, i to raczej proste niż skomplikowane natury. Mamy na przykład uczucie: „To ten” albo „Ten tego dokona”, lub po prostu czujemy powiew niesamowitości.

Czegoś podobnego doświadczyłem z Zapparanim – miałem uczucie: „Ten posiada formułę” albo „Oto wtajemniczony, jeden z wybranych”. Pewne powiedzenie, które stało się jednym z naszych obiegowych frazesów: „Wiedza to potęga”, nabierało tutaj nowego, bezpośredniego, niebezpiecznego sensu.

Przede wszystkim oczy emanowały wielką mocą. Miały królewskie wejście, szeroki wykrój, który pozwala ujrzeć białko ponad tęczę i pod nią. Wrażenie było zarazem nieco sztuczne, jakby wywołane przez subtelną operację. Do tego dochodził bezruch właściwy mieszkańcom południa. Było to oko wielkiej niebieskiej papugi, liczącej sobie sto lat. Nie był to błękit nieba ani błękit morza, ani błękit kamieni – był to syntetyczny błękit, wymyślony w bardzo odległych stronach przez mistrza, który chciał prze-

ścignąć naturę. Rozbłyskiwał na skraju przedwiecznych rzek, przelatując nad polanami. Niekiedy z piór tryskała jaskrawa czerwień, niebywała żółć.

Oko tej niebieskiej papugi było bursztynowej barwy; gdy spoglądało w światło, miało odcień żółtego, a w cieniu brunatnego bursztynu z prastarymi inkluzjami. Oko to oglądało wielkie kopulacje w królestwach, w których prokreacyjna siła nie jest jeszcze odosobnionym zjawiskiem, gdzie ląd i morze zlewają się ze sobą, a skały wznoszą się fallicznie w delcie rzeki. Pozostało zimne i twarde niczym żółty krwawnik, nietknięte przez miłość. Jedynie gdy spoglądało w cień, ciemniało jak aksamit. Przesuwała się po nim migotka. Również dziób pozostał twardy i ostry, chociaż przez ponad sto lat rozłupywał orzechy twarde jak diament. Nie było problemu, który nie zostałby rozwiązany. Oko i problemy – były dopasowane do siebie jak zamek i klucz. Spojrzenie cięło niczym ostrze ze sprężystej stali. Przeszyło na chwilę moje wnętrze. Potem przedmioty wróciły na swoje miejsce.

Wcześniej sądziłem, że monopole Zapparonego zasadzają się na zręcznym wyzysku wynalazców – lecz wystarczył rzut oka, by dostrzec, że działa tu coś więcej niż merkuriańska inteligencja ciągnąca zyski z plutonicznych regionów. Jowisz, Uran i Neptun tworzyły potężną konstelację. Było chyba raczej tak, że ten niski starzec potrafił również wynajdować wynalazców – że znajdował ich, gdziekolwiek wymagała tego jego mozaika.

Dopiero później uderzyło mnie, że od razu wiedziałem, kogo mam przed sobą. Było to o tyle osobliwe, że wielki Zapparoni, taki, jakiego znało każde dziecko, nie był w najmniejszym stopniu podobny do człowieka, którego spotkałem w bibliotece. Postać, którą ukształtował zwłaszcza film, przypominała raczej łagodnego dziadka, Świętego Mikołaja, który w zaśnieżonych lasach ma swoje pracownie, gdzie zatrudnia krasnoludki i niestrużenie rozmyśla o tym, czym może sprawić radość dużym i małym dzieciom. „Każdego roku na nowo...” – na ten ton nastrojony był katalog zakładów Zapparonego, na który każdego października oczekiwano z napięciem, jakiego nie wzbudzała wcześniej żadna książka z bajkami ani żadna futurystyczna powieść.

Zapparoni musiał więc chyba mieć jakiegoś pełnomocnika, który przejmował tę część jego reprezentacji, być może aktora odgrywającego *père noble*, albo robota. Było nawet możliwe, że zatrudniał kilka takich cieniów, takich projekcji własnego „ja”. To stare marzenie człowieka, które dało początek szczególnym wyrażeniom, takim jak na przykład: „Nie mogę się rozcworzyć”. Zapparoni uznał to najwyraźniej nie tylko za rzecz możliwą, lecz za korzystne poszerzenie i spotęgowanie osobowości. Od kiedy możemy częściami naszej istoty, jak choćby głosem i wyglądem, wchodzić do aparatów i znowu z nich wychodzić, korzystamy z pewnych zalet antycznego systemu niewolniczego bez jego wad. Jeśli ktoś to zrozumiał, to właśnie Zapparoni, znawca i konstruktor automatów jako narzędzi zabawy, przyjemności i luksusu. Jeden z jego podniesionych do ideału wizerunków paradował w kronikach filmowych i na ekranach telewizorów z bardziej przekonującym głosem i łagodniejszą powierzchownością, niż użyczyła mu natura, inny wygłaszał w Sydney przemówienie, podczas gdy mistrz przebywał w swoim gabinecie, medytując błogo.

Odczuwałem pewne niezdecydowanie w obliczu tej odmienności. Sprawiała wrażenie optycznego złudzenia, rodziła wątpliwość co do tożsamości osoby. Skąd mogłem wiedzieć, czy stoję tutaj przed właściwym człowiekiem? Ale musiał nim być, a dobry dziadek był jego zastępcą. Głos był zresztą przyjemny.

– Rotmistrz Richard – powiedział – pan Twinnings polecił mi pana, przywiązuję wagę do jego opinii. Uważa, że chce się pan poświęcić lepszym, pokojowym interesom, jak on to uczynił na długo przed panem. No cóż, na to nigdy nie jest za późno.

Wypowiadając te słowa, wyszedł na taras i poprosił mnie, bym usiadł. Poszedłem za nim, oszołomiony jak u dentysty, który pierwszym ruchem trafił bolący nerw w głębi zęba i w ognisku zapalenia. Rzecz zaczęła się niepomyślnie.

Oczywiście byłem w jego oczach podejrzanym osobnikiem, podobnie zresztą jak we własnych. To zatem, że w życzliwej formie zapewnił mnie o swym braku szacunku, nie mogło mnie urazić, nie mówiąc już o tym, że odgrywanie wrażliwca było w mojej obecnej sytuacji niestosowne.

Pogardliwą aluzją do mojego zawodu dotknął starej i nigdy niezagojonej rany. Wiedziałem, że rzeczy, którymi się wcześniej parałem, dla tego typu wynalazców i konstruktorów, który w tym człowieku znalazł swe zwieńczenie, zajmowały miejsce zaraz po kradzieży koni i że należało się od nich dystansować; ale pod tym względem nie mogłem naśladować Twinningsa.

Człowiek taki jak Zapparoni mógł mówić, co chciał – brzmiało to dobrze. Było w porządku nie tylko dlatego, że mógł opłacić prasę, która oddawała mu hołd w artykule wstępnym, dodatku kulturalnym i reklamie, ale jeszcze bardziej w porządku, ponieważ uosabiał ducha czasów. Hołdy miały przeto tę przyjemną cechę, że były nie tylko opłacone, lecz zarazem głęboko odczuwane – że nie wymagały od inteligencji ani moralności publicystów niczego więcej jak ochoczej aprobaty.

Zapparoni mógł uchodzić za pokazowy przykład technicznego optymizmu, którym owładnięte są nasze czołowe umysły. Technika dokonywała

u niego zwrotu w stronę czystej przyjemności – stare pragnienie magików, by za pomocą samej myśli zmieniać świat, wydawało się niemal spełnione. Do tego dochodziło jeszcze potężne oddziaływanie jego portretu, którego mógł mu pozazdrościć każdy prezydent państwa i który zawsze otaczały gromady dzieci.

Wszystko, co nieustannie tam wymyślano, konstruowano i seryjnie produkowano, bardzo ułatwiało życie. Do dobrego tonu należało przemilczanie faktu, że jednocześnie stwarzało zagrożenie. Trudno jednak było temu zaprzeczyć. W czasach kryzysu stawało się wyraźne, że wszystkie te lilipucie roboty i luksusowe automaty mogą się przyczynić nie tylko do upiększenia, lecz również do skrócenia życia, bez potrzeby dokonywania wielkiej zmiany w ich konstrukcji. Wówczas ukazywały swoją mroczną stronę.

W sumie zakłady Zapparonego przypominały świątynię Janusa z jedną kolorową i jedną czarną bramą, i kiedy niebo się chmurzyło, z ciemnej bramy wypływał strumień wymyślnych narzędzi mordy, odznaczających się odrażającym sposobem wykonania. Ciemna brama stanowiła jednocześnie tabu; właściwie powinna w ogóle nie istnieć. Ale z biura konstrukcyjnego wciąż na nowo wyciekały niepokojące pogłoski i nie bez powodu modelownia znajdowała się w najbardziej wewnętrznym kręgu zabezpieczeń.

Nie jest bynajmniej moim zamiarem wnoszenie wkładu do dyskusji na jeden z naszych ulubionych tematów: „Dlaczego dzieje się coś, co nie powinno się dziać”. W końcu przecież się to dzieje. Chodzi mi raczej o pewną kwestię szczegółową, która zaprzętała mnie często w związku z tą sprawą i która znowu weszła w pole mojej świadomości wskutek upokarzającego powitania. A mianowicie: dlaczego tych umysłów, które w tak zatrwająco i nieobliczalny sposób naraziły nasze życie na niebezpieczeństwo i zmieniły je, nie zadowala rozpętywanie i opanowywanie ogromnych sił oraz sława, władza i bogactwo, które stają się ich udziałem? Dlaczego za wszelką cenę chcą jeszcze być świętymi?

Kiedy Zapparoni wynosił się ponad jakiegoś kawalerzystę i prawił mu morały, było to nie mniej absurdalne, niż gdyby rekin sprawował sąd nad swoimi zębami, które przecież są w nim najlepsze. Jeźdźcy istnieli przez

tysiąclecia i świat przetrwał pomimo Dżyngis-chana i innych władców – przychodzili i odchodzili jak odpływ i przyptyw. Ale odkąd istnieli święci tacy jak Zapparoni, ziemia była zagrożona. Spokój lasów, otchłań morskiej głębiny, najodleglejsza warstwa ziemskiej atmosfery znajdowały się w niebezpieczeństwie.

Jeśli wiedza ma być potęgą, to najpierw trzeba wiedzieć, czym jest wiedza. To, że Zapparoni o tym rozmyślał, zdradzało jego spojrzenie; był wtajemniczonym, wiedzącym. Zastanawiał się nad problemami, które daleko wykraczały poza kwestie techniczne. Widziałem to w jego oczach. Spoglądał jak chimera ponad szarymi dachami; w jasnoniebieskim upierzeniu ożywiał pierwotną dżunglę. Blask niematerialnej barwy odprysnął w naszych czasach. Jego plan, jego ambicja musiały mierzyć wyżej niż w zaspokajanie wciąż rosnącego głodu mas żądnych władzy i luksusu.

Jego oko zawierało przedwieczne inkluzje. Czy rozpoznawało ponadczasową inkluzję w nowej minucie świata, w złudzeniu mai z jej nieskończoną obfitością obrazów, które jak krople wody z fontanny opadają z powrotem do basenu? Czy odczuwało tęsknotę za wielkimi lasami nad rzeką Kongo, w których wzrastają nowe rasy? Być może po śmiałym wypadzie w wyższe światy mistrz miał tam powrócić. Czarni historycy wysnuwaliby wtedy swoje teorie o nim jak my o pałacu Montezumy.

Chętnie porozmawiałbym z nim o takich kwestiach. Wszystkich nas wszak nurtuje myśl, czy nie istnieje jednak jeszcze jakaś nadzieja. Wielki fizyk jest zawsze również metafizykiem. Ma wyższe wyobrażenie o swojej wiedzy, o swoim zadaniu. Chętnie rzuciłbym okiem na mapę sytuacyjną. Byłoby to dla mnie nawet cenniejsze niż spełnienie prośby, z którą przyszedłem.

Daleki jednak od tego, by zaprosić mnie do swego gabinetu, wielki człowiek przyjął mnie jak naczelny bramin, którego ktoś przed świątynią bogini Kali prosi o jałmużnę. Przyjął mnie komunałem, jaki można usłyszeć na ulicy.

Na chwilę zapomniałem, że przebywam tutaj jako starający się o posadę, ale tylko na chwilę. Gdyby coś mogło mnie wydźwignąć z niedoli, byłoby to słowo o naszym świecie i jego sensie z ust jednego z jego augurów – krótka wskazówka szefa.

To wielka rzecz, kiedy z ust kogoś wtajemniczonego dowiadujemy się, w jakie konflikty jesteśmy uwikłani i jaki sens mają ofiary, które każe nam się składać przed zasłoniętymi posągami. Nawet gdybyśmy usłyszeli coś złego, nadal byłoby szczęściem ujrzeć zadanie wykraczające poza tępe krążenie wkoło.

Jednakże nie do mnie należało zadawanie pytań – wręcz przeciwnie. Powitanie podziałało na mnie jak kubeł zimnej wody. Przez chwilę miałem ochotę się bronić. Byłoby to jednak niedorzeczne, powiedziałem więc tylko:

– To bardzo uprzejme, że przyjął mnie pan osobiście, ekscelencjo.

Tytuł ten przysługiwał mu jak wiele innych; zasięgnąłem informacji u Twinningsa.

– Niech pan po prostu zwraca się do mnie po nazwisku, jak robią to wszyscy pracownicy w naszych zakładach.

Nie powiedział „moje zakłady” ani „moi pracownicy”. Usiedliśmy na dwóch krzesłach ogrodowych i spoglądaliśmy na łąkę. Zapparoni założył nogę na nogę i spoglądał na mnie z uśmiechem. Na stopach miał safiano-we pantofle i w ogóle sprawiał wrażenie człowieka, który wygodnie spędza przedpołudnie w swoich czterech ścianach. Teraz wyglądał raczej jak artysta, jak wzięty powieściopisarz albo wielki kompozytor, który dawno już pozostawił materialne troski za sobą i pewien jest swoich środków i swego oddziaływania.

Z dala dobiegał szum zakładów. Miałem uczucie: zaraz zaczniesz cię wypytywać. Oczekiwałem tego, a jednak niczego sobie nie przygotowałem, jak robiłem we wcześniejszych czasach przed takimi spotkaniami. Nie wchodziło to tutaj w rachubę już choćby dlatego, że nie wiedziałem dokładnie, czego się ode mnie wymaga. Poza tym technika wypytywania poczyniła nadzwyczajne postępy. Choć prawie nigdy nie wykrywa ono, kim człowiek jest, to jednak z wielką precyzją ustala, kim nie jest i za kogo chce uchodzić. Dlatego zawsze najlepiej jest odpowiadać prosto z mostu.

– Przychodzi pan dokładnie w odpowiednim momencie – zaczął – żeby wyjaśnić mi pewien szczegół, który właśnie zwrócił moją uwagę podczas lektury.

Wskazał przy tym na swój gabinet.

– Zacząłem czytać pamiętniki Fillmora, którego prawdopodobnie pan zna. Musi pan być mniej więcej z tego samego rocznika.

Uwaga ta była trafniejsza, niż Zapparoni przypuszczał, jeśli nie została zamierzona jako przytyk. Fillmor był jednym z naszych marszałków. Znałem go dobrze; razem uczyliśmy się u Monterona. Został przysłany do szkoły wojskowej przez parchimskich dragonów. Podobnie jak Twinnings wielbił anglosaskie maniery; obaj pochodzili z Meklemburgii. W kraju tym dwór trzymał się angielskich wzorów i nadawało to wielu, którzy stamtąd przybywali, londyński sznyt.

Fillmor był człowiekiem tego samego pokroju, co Lessner, lecz znacznie nad nim górował, był typowym prymusem i już wówczas uważano za oczywiste, że ma przed sobą olśniewającą karierę. Monteron nie darzył go zbyt wielką sympatią, było jednak bezsporne, że ma się do czynienia ze znakomitą głową, z asem. Fillmor w ogóle nie miał przyjaciół; emanował od niego zimny prąd, w którym dobrze się czuł. Odróżniało go to od ciepłych charakterów takich jak Lorenz czy od bon vivantów w rodzaju Twinningsa, o których przyjaźń zabiegano. Co za tym idzie, Lorenza ciągnęło do jednostek liniowych, Twinningsa do adiutantury, a Fillmora do oddziałów dowódczych.

Zaczynaliśmy razem; on jako człowiek sukcesu, podczas gdy ja byłem człowiekiem klęski. Porównania nasuwały się więc same i często o tym myślałem. Czym można było wytłumaczyć ten spokojny, pewny awans, prowadzący jak po stopniach ku górze, nawet poprzez katastrofy? Przede wszystkim chyba zdumiewającą pamięcią. Był uczniem, który nie musiał się uczyć, bo to, co usłyszał, samo utrzymywało się w jego umyśle. Zapadało mu na zawsze w pamięć. Kiedy odczytało mu się powoli wiersz, powtarzał go z głowy, nie popełniając ani jednego błędu. Nie było nikogo, kto z większą łatwością przyswajałby sobie języki. Po wyuczeniu się na pamięć tysiąca słówek zaczynał czytać zagraniczne książki i gazety, rozwijając przy tym swoją historyczną i polityczną wiedzę. Raczej wskakiwał lekko w ducha języka, niż wdrażał się weń ciężką pracą. Podobnych rzeczy dokonywał w rachunkach; był w stanie wykonywać w pamięci działania na wielocyfrowych liczbach.

Prowadziło to do spięć z nauczycielami, kiedy nieprzygotowany tłumaczył prosto z książki albo oddawał prace klasowe, w których zanotowane było tylko zadanie i wynik. Podejrzewali niedozwolone pomoce, dopóki nie zorientowali się, z kim mają do czynienia. Długi ustęp trudnego autora, do którego się z mozołem przygotowywali i z którego rozwikłaniem miano się w mękach zmagać przez godzinę, Fillmor, jeśli nie ściągano mu cugli, tłumaczył w ciągu minuty. Takie natury stanowią postrach belfrów. Jako że nie mogli mu nic w tej sprawie zarzucić, usiłowali przechodzić do argumentów *ad hominem*. Było to o tyle trudne, że Fillmor również w swoim zachowaniu odznaczał się chłodnym poczuciem wyższości. Także później, w straszliwe poniedziałki Monterona, nigdy nie padł na niego cień. Kiedy spotkała go niesprawiedliwość, zwykł był mścić się w ten sposób, że wyczekiwał na rażący błąd, po czym grzecznie się zgłaszał i poprawiał go. Wychodziło wtedy na jaw, że bakałarzom zależało nie tyle na wiedzy, ile na wymądrzaniu się. Ale figiel był dobrze przygotowany. Fillmor zaczął w nich teraz budzić zgrozę. Musieli uznać jego wyższość, chyba że woleli go ignorować. W klasie można było wówczas oglądać prymusa, który przysłuchuje się w milczeniu i nigdy nie jest pytany. Odetchnęli z ulgą, kiedy się go pozbyli. Nie mogło być jednak wątpliwości co do *summa cum laude*.

Ten nadzwyczajny talent towarzyszył mu w pracy zawodowej. Pomagał mu także w dziedzinach, których znaczenie często się bagatelizuje, na przykład tam, gdzie rolę odgrywała pamięć do nazwisk. Z ilością ludzi, których znamy z nazwiska, wiąże się bezpośredni wpływ, osobista władza. Dotyczy to zwłaszcza rozległego obszaru działania. Ludzie przywiązują wagę do swego nazwiska. Jeśli o mnie chodzi, zawsze zbytnio kierowałem się w tym względzie uczuciami. Znałem nazwiska sympatycznych mi ludzi, ale także niesympatycznych, z którymi wszedłem w styczność, a zapomniałem inne albo myliłem je, co jest jeszcze bardziej krępujące. Fillmor zaskakiwał nawet osoby, których nigdy przedtem nie widział na oczy, na przykład telefonistki, witając je po nazwisku i wywołując w nich wrażenie, że należą z nim do jednego świata.

W odniesieniu do czasu, przestrzeni i faktów nie można było być lepiej zorientowanym od niego. Jego mózg musiał wyglądać jak tablica rozdzielcza. Panował nad wielką liczbą pozycji niczym szachista, który na ślepo rozgrywa pięćdziesiąt partii jednocześnie, przywołując z pamięci obraz jednej zastawionej szachownicy po drugiej. Dlatego też był w każdej chwili poinformowany o siłach i rezerwach. Wiedział, co jest możliwe, i znał najkrótszą drogę. Posiadał zatem dokładnie te zdolności, które określane są dzisiaj mianem geniuszu i mogą liczyć na powszechną aprobatę. Do tego dochodziło jeszcze, że był niemal wolny od namiętności, poza ambicją, która nie była nastawiona na błyszczenie. Chciał wprawiać siły w ruch, chciał posiadać decyzyjną władzę.

Jako że Fillmor zawsze wiedział, co jest możliwe, i nie miał osobistych sympatii, bez trudu przetrzymywał zmiany politycznych klimatów i przynoszonych przez nie rządów. Fale, które powalały innych, jego wynosiły ku górze. Ludzi takich jak on potrzebowano w każdych okolicznościach, w monarchiach, w republikach, we wszelkiego rodzaju dyktaturach. Podczas gdy ja uciekłem w specjalizację, żeby jeszcze być jakoś tolerowany, on był specjalistą nieodzownym dla władców. Takie świeżo doszłe do władzy typy często przypominają rozbójników, którzy zawładnęli lokomotywą, lecz nie umieją sobie poradzić z jej maszyną. Kiedy oni stoją bezradnie,

przychodzą fachowcy w rodzaju Fillmora i pokazują im, jak obsługuje się dźwignie. Jedno dmuchnięcie w gwizdek i koła, które stały nieruchomo, znowu zaczynają się obracać. Na takich ludziach opiera się zwykła ciągłość sprawowania władzy, jej dalsze funkcjonowanie, i bez nich rewolucje spełzałyby na niczym, pozostawałyby mieszaniną zbrodni i pustej gadaniny.

Rozumie się samo przez się, że Fillmor był uważany przez starych towarzyszy za renegata, podczas gdy on miał ich za głupców. Prawdopodobnie zachodziło tu poważne złudzenie optyczne, bo Fillmor trwał w miejscu; pozostawał sobie wierny jako prototyp ducha czasów, który wszystkich wprawiał w ruch, i zmiany nie miały na niego wpływu. Musiała na niego również oddziaływać szczególnie gwiazda wytrwałości. Myślałem niekiedy o Talleyrandzie, o Bernadocie. Ale brakowało mu ich uroku, ich radości życia. Nie prowadził nawet dobrej kuchni; mogę to ocenić, bo czasami, „dla podtrzymania tradycji”, wydawał bankiet dla starych towarzyszy. Spotykali się wtedy wszyscy, którzy akurat byli w tarapatach, i pozwalali mu się poić chrzconymi winami i faszerować amerykańskimi obrzydlistwami. Na tym się kończyło i kto naprawdę potrzebował pomocy, lepiej robił, idąc do Twinningsa.

Z tego wszystkiego można zapewne wysnuć wniosek, że Fillmor był człowiekiem zupełnie pozbawionym wyobraźni, bo kto zawsze wie, co jest możliwe, nie zajmuje się rzeczami absurdalnymi albo niemożliwymi. To był zawsze mój błąd, że już jako dziecko nie zadowalałem się jadłospisem, lecz rozglądałem za tym, co niemożliwe. Wszystkie systemy, które dokładnie wyjaśniają, dlaczego świat jest taki, jaki jest, i żadną miarą nie może być inny, od dawna wywoływały we mnie ten rodzaj dyskomfortu, z jakim w jaskrawo oświetlonej celi więziennej studiuje się regulamin. Gdyby nawet człowiek się tam urodził i nigdy nie widział ani gwiazd, ani mórz, ani lasów, miałby przecucie ponadczasowej wolności i nieograniczonej przestrzeni.

Moja psia gwiazda kazała mi się jednak urodzić w czasach, gdy w moim świecie było właśnie to, co wyraźnie odgraniczone i dające się dokładnie obliczyć. Nie tylko pod względem politycznym panował tutaj styl autorytarnej

i na ogół brutalnej pewności siebie. W tym górskim łańcuchu ciasnoty umysłowej Fillmor zajmował jeden z najwyższych punktów widokowych.

Przyznam, że przez długi czas należałem do wielbicieli tego rodzaju rozkazodawczej inteligencji i że wiele sobie po niej obiecywałem, zwłaszcza w latach, gdy pracowałem przy odbiorze czołgów. Moja opinia może również uchodzić za opinię człowieka, któremu z prawdziwym trudem przychodzi zdobycie dwuznacznej posady, a jednocześnie widzi swego kolegę otoczonego nimbem podziwu. Pozostawiam to ocenie innych. Fillmor zbierał laur za laurem i wydawał pamiętniki. Jako że wszystko u niego było wykalkulowane, publikacja ta miała niewątpliwie zapoczątkować nowy etap jego kariery. W naszych czasach na szczęśliwego generała, na marszałka, który triumfował po właściwej stronie, oczekuje najwyższe stanowisko czy to w gospodarce, czy w polityce. Jest to jeden z paradoksów epoki niechętniej żołnierzom.

Jeśli Zapparoni spędzał popołudnie na studiowaniu pamiętników tego człowieka, to z pewnością nie robił tego po prostu dla zabicia czasu. Jaki sąd miałem jednak wydać o jego lekturze? Chodziło o rzecz następującą:

Na samym początku uwagę Zapparonego zwrócił ustęp dotyczący nastania epoki wojen światowych. Fillmor wspominał o wielkich początkowych stratach, które tłumaczył częściowo brakiem doświadczenia armii. Dochodziło do nich między innymi dlatego, że nieprzyjaciel wywieszał białe flagi, po czym – gdy żołnierze porzucali środki ostrożności i zbliżali się bez osłony – wznawiał ogień. Zapparoni chciał się teraz ode mnie dowiedzieć, czy przeżyłem coś podobnego i czy chodzi tu o zwykły w takich sytuacjach fortel wojenny.

Pytanie to odpowiadało mi; zastanawiałem się nad tym wcześniej. Widać Zapparoni chciał po niefortunnym powitaniu skierować rozmowę na dziedzinę, w której przypisywał mi doświadczenie. Zaczynało się nie najgorzej.

Co się tyczy białych flag, to należą one do rekwizytów występujących w pogłoskach, jakie pojawiają się wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych. Po części są wymysłem dziennikarzy, których zadanie polega na tym, żeby zrobić z nieprzyjaciela czarnego luda; jest w nich jednak również ziarno prawdy.

Wśród zaatakowanej załogi wola oporu nie jest tak równomiernie rozłożona, jak napastnikowi się wydaje. Kiedy położenie staje się groźne, tworzą się gniazda – w jednych ludzie chcą się za wszelką cenę bronić, podczas gdy w innych sprawa jest uznawana za przegraną. Może więc dojść do sytuacji, w których atakujące oddziały najpierw nabierają poczucia bezpieczeństwa za sprawą oznak kapitulacji, a następnie są obsypywane pociskami. Cierpią skutki, nie rozpoznając różnorodności pobudek, i uznają za następstwo zdarzeń coś, co jest ich równoległym występowaniem. Siłą rzeczy dochodzą do wniosku, że zwabiono je w zasadzkę. Chodzi tu o nieodparte złudzenie optyczne. Patrząc na to obiektywnie, wdali się w niebezpieczne

przedsięwzięcie, nie zachowując ostrożności, jakiej ono wymaga. To samo nas spotyka, gdy kaleczymy się nożem o dwóch ostrzach, którym potem ciśkamy o ścianę. Działający jest odpowiedzialny za złośliwość przedmiotu, a nie na odwrót. Błąd leży po stronie napastnika. Dowódca, który pozwolił swoim ludziom na beztrudne podejście, nie opanował swego rzemiosła. Miał w głowie obrazy z manewrów.

Zapparoni przysłuchiwał się tym wywodom, od czasu do czasu przyjaźnie kiwając głową.

– Niezłe, aczkolwiek nazbyt ludzkie. Dobrze, że od razu znajduje pan również receptę. Niech Bóg chroni nas przed podobnymi kombinacjami. Marszałek nie wdaje się w tak szczegółowe rozważania.

Zaśmiał się z zadowoleniem, by po chwili bliżej zająć się tematem.

– Jeśli dobrze pana zrozumiałem, rzeczy mają się mniej więcej tak: prowadzę negocjacje z konkurentem, powiedzmy z jakimś koncernem. Przyciskam tych ludków do muru, składają mi korzystną ofertę. Czynię przygotowania, uruchamiam środki, zabezpieczam rezerwy. W chwili gdy umowa ma zostać podpisana, zostaję powiadomiony, że negocjowałem z podległym oddziałem i że druga strona nie jest do niczego zobowiązana. Oni tymczasem się podreperowali albo użyli mojej oferty jako karty przetargowej. Cały interes trzeba zaczynać od nowa.

Zrobił krótką przerwę, po czym kontynuował:

– Tego rodzaju manewr nie jest taki znowu rzadki. Możliwe, że miałem do czynienia z udziałowcami, którzy przekroczyli swoje uprawnienia, albo że odwlekano sprawę, żeby wyciągnąć ode mnie ofertę. Być może zresztą wszyscy zgadzali się w chwili składania oferty, kiedy mieli nóż na gardle. W międzyczasie koniunktura się poprawiła i szuka się wymówek.

Spojrzał na mnie zatroskany i potrząsnął głową.

– Czy mam obowiązek rozmyślać nad tym, co stało się za kulisami? Mogłem zakładać, że człowiek, z którym negocjuję, ma pełnomocnictwo. Odnotowałem straty, zmarnowałem czas, poniosłem wydatki. Teraz mam inne zmartwienia: kto jest zobowiązany do pokrycia roszczenia zwrotnego?

Nie wiedziałem, do czego to ma zmierzać, a Zapparoni, w którego głosie pojawiła się teraz groźna nuta, nie pozostawił mi nawet czasu na zastanowienie, bo zadawał mi jedno pytanie po drugim.

– Kogo obciążąłby pan odpowiedzialnością w moim przypadku?

– W pierwszym rzędzie koncern.

– A gdyby nic pan w ten sposób nie wskórał?

– Tego ze współników, który podpisał.

– Widzi pan, to całkiem oczywiste. Człowiek od razu jaśniej myśli, gdy w grę wchodzi pieniądze. To jest w nich dobre.

Odchylił się wygodnie w fotelu i spojrzał na mnie, mrugając okiem:

– A iluż to zuchów wyprawiliśmy na tamten świat, gdyśmy ich dopadli?

Do diabła, wydawało mi się raczej, że to on *mnie* dopadł. Obudziły się wspomnienia o minionych pieklach, o rzeczach, które wołałoby się zapomnieć.

Zapparoni nie poczekał na odpowiedź. Rzekł:

– Chciałbym mniemać, że niewielu się wywinęło. I należało im się. Tutaj jeden odpowiada za drugiego, i to głową.

Miałem wrażenie, że rozmowa coraz bardziej przeradza się w przesłuchanie.

– Założmy, że obciążąłby pan jednego z kontrahentów. Wówczas oberwać musieliby ci, którzy wywiesili białą flagę.

– To wydaje się zrozumiałe.

– Naprawdę tak pan sądzi? Byłoby przecież bardziej zrozumiałe, gdyby w pierwszej kolejności załatwiono tych, którzy mają jeszcze broń w ręku.

– Muszę się z tym zgodzić.

– W praktyce mogłoby to jednak chyba wyglądać tak, że w pierwszym porywie gniewu nie robi się w ogóle żadnych różnic ani wielkich ceregieli.

– Niestety ma pan tutaj rację.

Nastąpiła chwila przerwy. Gorące słońce oświetlało taras i słychać było brzęczenie pszczoł spijających nektar na rabatkach. Czułem, że za sprawą

tej gry w pytania i odpowiedzi zostałem zapędzony na płaszczyznę, której znaczenia nie ogarniam. Rojła się od wilczych dołów. Były one tego rodzaju, że nawet nie potrafiłem osądzić, czy w nie wpadam. Może jego sugestie miały odwrotne znaczenie, niż mi się zdawało. W końcu Zapparoni podjął wątek.

– Postawiłem pana przed trzema rozstrzygnięciami. Nie zdecydował się pan na żadne i w każdym przypadku odpowiedział pan niejasno.

– Myślałem, że chce pan omówić ze mną sytuację prawną.

– Czy jest pan zdania, że każda sytuacja jest sytuacją prawną?

– Nie, ale każda sytuacja jest *również* sytuacją prawną.

– Dobrze. Ale ta właściwość może się stać nieistotna. Dojrzy pan to wyraźnie, kiedy będzie pan miał do czynienia z utyskiwaczami. Poza tym każda sytuacja jest *również* sytuacją społeczną, *również* sytuacją wojenną, *również* czystą sytuacją wagową i wieloma innymi rzeczami. Ale zostawmy to. To zaprowadziłoby nas za daleko. Zresztą *również* pańska teoretyczna ocena przypadku jest niezadowolająca.

Zapparoni powiedział to bez zjadliwości, a nawet życzliwie. Następnie odniósł się do wywodów, które wygłosiłem na początku. Były one absurdalne, jeśli uwzględniło się ogólną sytuację, i wychodziły na dobre nieprzyjacielowi. Sugerowałem *również*, że w tym, co Fillmor napisał o podstępie wroga, chodziło o złudzenie optyczne. Napastnik miał raczej przed sobą pewną ilość grup, które działały wedle rozmaitych zasad, lecz bez przebiegłości, bez złośliwej zmywy. On, Zapparoni, pokaże mi, że istniała przynajmniej taka możliwość.

Co by było, gdyby moje natarcie w otwartym polu nie powiodło się? Czy wówczas owe grupy, które wywiesiły białą flagę, obstawałyby przy poddaniu się? Przeciwnie, nie zwlekając ani chwili, chwyciłyby znowu za broń i na całej linii wybuchłoby uczucie triumfu. Tutaj pokazałaby się jedność nieprzyjaciela, mogłem być tego pewien. Pokonana potęga rozdrabnia się, zwycięska czuje i działa jednorodnie. Nikt nie chce być przy zwyciężonym, ale każdy przy zwycięzcy.

Jedynie w kwestii postawy taktycznej, noża o dwóch ostrzach, Zapparoni był gotów się ze mną zgodzić. Po nieprzyjacielu trzeba spodziewać się wszystkiego. To, że należało do niego podchodzić ostrożnie, było oczywiste. Kiedy Fillmor przypisywał mu podstępność, było to pedagogiczne i nader celne uproszczenie. Żołnierze i publiczność natychmiast by to zrozumieli, podczas gdy moje ujęcie było akademickie.

– Czy śledził pan debatę nad projektem ustawy obronnej? Ogromne pieniądze mają nam znowu zostać zabrane na średniowieczne instytucje, na agencję ochrony życia i mienia, która nie nadąża za czasami. Nawet konie, psy i gołębie figurują w budżecie. Marszałek ma słuszość, rozglądając się za nowym zajęciem.

W ten sposób powrócił do początkowego tonu rozmowy. Nie śledziłem debaty parlamentarnej. Nie robiłem tego nawet w moich dobrych czasach. Wolałem już czytać Herodota – albo historie dworskie Vehsego, kiedy się nudziłem. Miałem zwyczaj przeglądać w gazetach nagłówki, kronikę towarzyską i dodatek kulturalny, darowując sobie resztę. Od kiedy żyłem pod presją, brakowało mi do tego pieniędzy i zamięłowania. Co najwyżej studiowałem oferty pracy w witrynach. Nie ma wszak nic starszego od wczorajszej gazety. Poza tym zaprzętały mnie bez reszty rozmyślenia o wybiegach, które pozwoliłyby mi się wymknąć moim wierzycielom. Było to dla mnie ważniejsze niż polityka.

Nie pragnąłem się również dowiedzieć, jak Zapparoni wyobraża sobie armię. Prawdopodobnie jako oddział swoich zakładów z kombinatami, w których profesorowie i inżynierowie pracowali w kombinezonach, towarzystwo niejeźdźców i witarianów ze sztucznymi szczękami, którzy za to chętnie naciskali na guziki. Matematyczny kretyn w jednej sekundzie wyrządzał więcej szkody niż stary Fritz w trzech kampaniach śląskich. Wówczas ludzie tacy jak Fillmor nie bywali też jeszcze marszałkami. Brało się raczej takiego półwariata jak Blücher, jeśli miał serce do walki. Głowa pełniła rolę pomocniczą. Ale ja na tym tarasie miałem inne zmartwienia niż historyczne retrospekcje.

Moja prezentacja nie była zadowalająca, nie mogło co do tego być wątpliwości. Zapparoni nakłonił mnie do wypowiedzi, a potem chodził wokół niej jak ogrodnik wokół drzewa, na którym widzi nagie miejsca. Poddał mnie inspekcji jak podstarzałego kapitana, podczas którego wystąpienia wszyscy zainteresowani oprócz niego z góry wiedzą, że nie uzyska awansu na majora. Odchodząc, człowiek zadaje sobie pytanie, po co w takim razie w ogóle robiono ten teatr. Zabawne w tym było, że Zapparoni powinien był właściwie bronić mojego poglądu, a ja jego. Zamiast tego zdemaskował mnie jako liberalnego gadułę.

Zapparoni podniósł się; zapewne chciał mnie teraz pożegnać. Ale ku mojemu zdumieniu dał mi jeszcze odroczenie. Wskazał kryty słomą dach, którego szczyt wystawał spośród zieleni na końcu łąki z potokiem.

– Mam jeszcze coś do załatwienia, panie Richard, może zaczeka pan tam na mnie. Nie będzie się pan nudził. To przyjemne miejsce.

Skinął mi przy tym przyjaźnie głową, jakbyśmy zakończyli zajmującą rozmowę, którą ma nadzieję później kontynuować. Zszedłem po schodach, zaskoczony i oszołomiony ilością czasu, jaki mi poświęcał. Prawdopodobnie był to jego kaprys. Wypytywanie zmęczyło mnie, wyczerpało. Byłem rad, że dobiegło końca. Wszedłem na ścieżkę ogrodową z uczuciem, z jakim podczas egzaminu słyszemy dzwonek oznajmiający przerwę.

Na pierwszym zakręcie obejrzałem się. Zapparoni stał ciągle na tarasie, spoglądając za mną. Pomachał mi ręką i zawołał:

– Niech pan się ma na bacności przed pszczołami!

W domu i na tarasie czas mijał powoli, jak u naszych przodków. Podobne uczucie ma się, idąc w lesie przez stare poręby. Nie było żadnych oznak tego, że nie znajdujemy się w pierwszej połowie dziewiętnastego lub jeszcze lepiej osiemnastego wieku. Mury, boazeria, tkaniny, obrazy i książki, wszystko świadczyło o solidnym rzemiośle. Czuło się dawne miary, stopy, łokcie, cale, linie. Czuło się, że światło i ogień, łóżko i stół wciąż są na dawny sposób pielęgnowane i cenione, czuło się luksus ludzkiej troski.

Tu na zewnątrz było inaczej, chociaż przyjemnie było iść po miękkim, złocistym piasku. Po uczynieniu przeze mnie dwóch albo trzech kroków ślady stóp zacierały się. Widziałem mały kłęb kurzu, jakby otrząsało się ukryte w piasku zwierzę. Potem ścieżka była gładka jak przedtem. Nie potrzebowałem jednak tego spostrzeżenia, by zauważyć, że czas biegnie tu szybciej i wskazana jest większa czujność. W dobrych starych czasach trafiało się w miejsca, gdzie „pachniało prochem”. Dzisiaj zagrożenie jest bardziej anonimowe, atmosferyczne; ale wyczuwa się je. Wkracza się na Obszary.

Droga oczarowywała; zapraszała do snucia marzeń. Potok czasami podpływał tak blisko, że niemal się z nią stykał. Na jego brzegach kwitły żółte irysy, a na ławicach piasku lepiężnik. Zimorodki muskały w locie powierzchnię wody, zwilżając pierś.

Stawy, w których zakonnicy hodowali niegdyś karpie, były porośnięte zielonym kobiercem, oblamowanym jasnym rąbkiem. Żółciła się tam rzęsa, bieleły muszle małży i zatoczków rogowych. Pachniało mułem, miętą i olchową korą, wilgotnym i gorącym bagnem. Myślałem o parnych dniach lata, w które jako chłopcy łowiliśmy małymi sieciami ryby w takich stawach. Potem z trudem wyciągaliśmy nogi z grząskiego trzęsawiska i te same wyziewy unosiły się z zagłębień po naszych stopach.

Wkrótce dotarłem do muru granicznego. Potok płynął dalej przez kratę. Po lewej wyłonił się również kryty słomą dach. Spoczywał na czerwonych palach bez bocznych ścian i wieńczył raczej altanę niż ogrodowy pawilon. Miał chyba zapewniać osobom przebywającym w tej części parku schronienie przed deszczem albo też słońcem, ale nie przed wiatrem i chłodem. Część dachu wystawała jak daszek czapki. Poniżej stały krzesła wplecione z trzciny i zielony stół ogrodowy. Tutaj zatem miałem oczekiwać na moje przeznaczenie.

Bardzo bogaci ludzie kochają prostotę. Pan domu zdawał się dobrze tutaj czuć, nietrudno to było zauważyć. Sprzęty oparte o słupy albo wiszące na nich wskazywały na przyjemny sposób spędzania czasu. Stały tam wędki, sieci, wiecierze, kosze do łapania raków, puszki na przynętę, ślepe latarki, krótko mówiąc: wyposażenie słodkowodnego rybaka do dziennych i nocnych połowów. Na jednym z filarów obok maski pszczelarskiej wisiała śrutówka, na innym torba z kijami, jakich używa się do gry w golfa. Na stole leżała lornetka polowa. Nie mogłem nie ulec urokowi tego widoku, chociaż pośród tej martwej natury utrzymywała się świadomość Obszaru. Altana okolona była tygrysimi liliami.

Pole, które wcześniej orał chłop, znajdowało się teraz całkiem blisko; było opustoszałe, bo praca dobiegła końca. Nastąpiło południe; zaorał klasyczną morgę. Z polem tym granoczyła łąka w najdelikatniejszym zielonym kolorze, jakby sprowadzono ją z hrabstwa Devon. Po lekkim mostku wiodła tam ścieżka. Musiało to być pole golfowe. Wziąłem do ręki lornetkę, żeby obejrzeć *fairway*, który był wystrzyżony niczym welur. Poza dołkami nie było widać żadnego nagiego miejsca, żadnego chwastka.

Lornetka była zresztą znakomita; nadzwyczajnie wyostrzała wzrok. Potrafiłem to ocenić, ponieważ w latach, gdy pracowałem przy odbiorze czołgów, do moich obowiązków należała również kontrola przyrządów optycznych. Ta lornetka polowa była przystosowana do obserwacji w ograniczonym promieniu, podobnie jak lornetka teatralna. Na małe i średnie odległości nie tylko przybliżała obiekty, lecz również je powiększała.

Po tej stronie potoku łąka ciągnęła się dalej, lecz była tutaj jeszcze nieskoszona i bardzo bujna. Dla zabawy brałem na celownik kwiaty, którymi była upstrzona. Dmuchawce miały już puchowe główki; widziałem każdą rzęskę na maleńkich spadochronach. Grunt był bagnisty; tu i ówdzie, i to nawet całkiem blisko, stała woda. Sádzawki były porośnięte wokół trzciną mającą jeszcze zeszłoroczne kolby. Sprawdzałem ostrość lornetki na miejscach, gdzie ich wełna była postrzępiona. Widoczne były najdrobniejsze włókienka. Na torfowym skraju lustra wody rosła rosiczka. Przynosiła chlubę swej nazwie; kropelki rosy lśniły w południowym świetle. Jeden z jej listków pochwycił komara i oplótł go czerwonymi włoskami. To była znakomita lornetka.

W bliskim tle moje pole widzenia ograniczał mur. Był porośnięty bluszczem i wydawał się łatwy do pokonania, ale Zapparoni mógłby się bez niego obejść. Nie potrzebował ani zamka, ani krat, ani groźnych psów, ponieważ w Strefie każdy trzymał się wytyczonych ścieżek, i dobrze robił.

Ule stały przy samym murze, w jego cieniu. Pomyślałem o przestrodze Zapparonego, chociaż nie zamierzałem oddalać się z miejsca, gdzie siedziałem w ciepłym słońcu. Nie wiem, czy pszczoły robią sobie przerwę obiadową, w każdym razie niewiele ich było widać.

To, że Zapparoni ostrzegł mnie przed owadami, przemawiało na jego korzyść, było miłe z jego strony. Pszczoły to pokojowo usposobione zwierzątka; nie ma powodu się ich obawiać, jeśli się ich rozmyślnie nie drażni.

Zdarzają się jednak wyjątki. Kiedy stacjonowaliśmy w Prusach Wschodnich, krainie, w której jeźdźcy i konie dobrze się czują i gdzie rozpowszechnione jest również pszczelarstwo, musieliśmy w czasie rojenia być ostrożni. Pszczoły są wówczas drażliwe i wyczulone na rozmaite zapachy, jak choćby woń rozgrzanych po długiej jeździe koni albo ludzi, którzy mocno sobie podpili.

Pewnego dnia jedliśmy śniadanie w sadzie. Musiała to być jakaś uroczysta okazja, być może czyjeś urodziny, bo na stole stało już wino i likier miodowy. Poranny rausz ma szczególny urok. Wróciliśmy z konnej przejażdżki i wkrótce rozkręciliśmy się na dobre. Wittgrewe również brał w tym

udział. Powietrze było cudowne, wypełnione wonią niezliczonych kwiatów. Wokół z brzękiem uwijały się pszczoły. Wkrótce zauważyliśmy, że są mniej pokojowo usposobione niż zwykle i że to ten, to ów z wesołej kompanii padał ofiarą użądlenia.

Kiedy jest się w tym wieku, wszystko daje pochop do żartu. Postanowiliśmy poczekać, kto zostanie pszczelim królem: temu, kto zaliczy najwięcej użądleń, miało przypaść w udziale uregulowanie rachunku. Jako że stół był suto zastawiony, wszyscy siedzieliśmy nieruchomo niczym manekiny, jedynie bardzo wolno unosząc kieliszki do ust. Mimo to pszczoły kontynuowały swoje ataki. To jeden z nas został ukąszony w czoło przez owada, który zaplątał mu się we włosy, to inny unosił dłoń do kołnierzyka, to trzeci wychodził z opresji z ognistoczerwonym uchem. Przerwaliśmy, gdy pewien gruby, rudy furazer, który już porządnie się poccił, otrzymał dwanaście użądleń i ledwie można go jeszcze było rozpoznać. Jego głowa wyglądała jak płowowłosa dynia, aż strach było patrzeć.

– Pan nigdy nie będzie mógł trzymać pszczół – powiedział do niego gospodarz.

Jako że inni zostali ukąszeni tylko raz albo dwa, albo nawet wcale, wydaje się w istocie, że pszczoły są wybredne. Mnie nie zrobiłyby krzywdy.

Wspomnienie to nastroiło mnie pogodnie jako anegdota z dawnych czasów. Żyliśmy bez trosk. Stacjonowaliśmy tuż przy granicy, za słupami stał pułk Kozaków. Wymieniano wizyty, zaproszenia na wyścigi albo polowania. Zbierali się wówczas jeźdźcy, jakich się już nie spotyka.

Jak to możliwe, że czasy tak szybko sposepniały – zbyt szybko jak na jedno krótkie życie, jedno pokolenie. Często wydaje mi się, jakbyśmy dopiero co siedzieli w pięknej sali, śmiejąc się i gawędząc; potem przechodzi się przez rząd trzech, czterech pokoi i wszystko staje się straszne. Któż podejrzewał wówczas, gdy biesiadowaliśmy z hetmanami, jak blisko za każdym z nas stoi śmierć. Potem walczyliśmy na pozór po różnych stronach, a jednak wykosiła nas jedna i ta sama maszyna. Gdzie się oni podzieli, wszyscy ci chłopcy, wprawieni jeszcze w fechtunku lancą i szablą, a wraz z nimi ich araby i trakeny, i konie stepowe, które z taką gracją, a jednak tak niestru-

dzenie dźwigały swoich panów. Koniec końców wszystko to tylko się wyśniło...

Zapparoni kazał na siebie czekać. Pomyślałem znowu o rozmowie na tarasie i dobry nastrój opuścił mnie. Z jaką łatwością dwoma, trzema pytaniami oświetlił tę część mego charakteru, na której mu zależało. Chciał wiedzieć, jaki jest mój stosunek do bezprawia. Zaprowadził mnie w tym celu na mój własny teren, na pole, gdzie jestem mocny. W ciągu niecałego kwadransa odnalazł mój słaby punkt, mój defetyzm – punkt, który sprawił, że nie stałem się wielkim człowiekiem jak Fillmor, lecz dymisjonowanym rotmistrzem bez widoków na przyszłość. Co się tyczy Fillmora, to nigdy nie uronił on łzy po koniach. Wprawdzie również konno dobrze się prezentował, przypominałem to sobie, lecz na zawsze pozostał jednym z tych pyszniących się panów, jak z obrazu Kobella. Nigdy nie zaznał wspaniałego, boskiego zjednoczenia z tym zwierzęciem.

Trwa długo, zanim człowiek zrozumie swoje błędy, a niektórzy nigdy ich nie dostrzegą. Mój polegał na odejściu od powszechnie przyjętych zwyczajów. W swoim sposobie oceniania, a często również postępowania, różniłem się od otoczenia; zaznaczyło się to już w dzieciństwie i trwało aż po wiek dojrzały. Już wówczas nie odpowiadało mi menu.

Uważa się, że dobrze jest, jeśli ktoś ma własne zdanie. Obowiązuje to jednak tylko w ograniczonym zakresie i dotyczy właściwie bardziej sposobu, w jaki ów ktoś swoje opinie wygłasza. Kiedy pojawia się wielki człowiek w rodzaju Fillmora, to prawi on w gruncie rzeczy jedynie komunały. Wygłasza je jednak z wielką stanowczością, apodyktycznie. Każdy czuje: „To mógłbym również ja powiedzieć”. Na tym polega władza. Mnie brakowało tej aprobaty.

Kiedy mamy własny pogląd na temat jakiejś legendy, jak ta o białych flagach, to dobrze robimy, zachowując go dla siebie, zwłaszcza gdy w grę wchodzi namiętność. Prawdopodobnie wzbudziłem w Zapparonom obawę, że zatrudniając mnie, przysporzy sobie tylko jeszcze jednego utyskiwacza. Tymczasem w domu siedziała Teresa i czekała.

Ptaki milczały. Znowu słyszałem szemranie potoku na upalnej łące. Nagle się poderwałem. Od wczesnego ranka byłem na nogach, trawiony niepoko-
jem człowieka goniącego za chlebem. Kiedy jesteśmy w takim nastroju, sen
zaskakuje nas niczym złodziej.

Widocznie tylko się zdrzemnąłem, bo słońce prawie się nie przesunęło.
Sen w oślepiającym świetle oszołomił mnie. Z trudem odzyskiwałem orien-
tację; to miejsce było nieprzyjazne.

Wydawało się, że również pszczoły zakończyły swój południowy sen; po-
wietrze było wypełnione ich brzęczeniem. Szukały nektaru na łące, przela-
tując nad nią chmurami i zgarniając białą pianę, która ją okrywała, albo za-
nurzały się w jej kolorową głębię. Wisiały gronami na jasnym jaśminie ro-
snącym wzdłuż ścieżki, a z kwitnącego klonu obok altany odgłosy ich roj-
nego lotu dobiegały niczym z wnętrza wielkiego dzwonu, który długo jesz-
cze rozbrzmiewa po wybiciu południa. Kwiecica nie brakowało; ten rok na-
leżał do tych, o których pszczelarze mówią, że nawet słupy ogrodzeniowe
rodzą miód.

W tym spokojnym zatrudnieniu było jednak coś dziwnego. Jeśli pomi-
nąć konie i zwierzynę łowną, znam niewiele zwierząt, bo nigdy nie znała-
złem nauczyciela, który wzbudziłby we mnie zainteresowanie dla nich.
Z roślinami rzecz ma się inaczej, bo mieliśmy zapalonego botanika, z któ-
rym chodziliśmy na wycieczki. Jak wiele w naszym rozwoju zależy od ta-
kich spotkań. Gdybym miał sporządzić spis zwierząt, jakie znam, wystar-
czyłaby mi mała karteczka. Dotyczy to zwłaszcza insektów, których jest
w naturze bez liku.

Niemniej jednak wiem w przybliżeniu, jak wygląda pszczoła, osa albo
szerszeń. Kiedy więc tak siedziałem, przyglądając się latającym rojom owa-
dów, wydawało mi się kilka razy, że przemykają obok mnie istoty dziwnie

różniące się od pozostałych. Na swoich oczach mogę polegać; wypróbowałem je, nie tylko polując na kuropatwy. Nie sprawiło mi trudności podążanie wzrokiem za jedną z tych istot do chwili, aż przysiadła na kwiecie. Wtedy wspomogłem się lornetką i stwierdziłem, że nie myliłem się.

Chociaż, jako się rzekło, znam niewiele owadów, natychmiast miałem tu wrażenie czegoś niespodziewanego, czegoś w najwyższym stopniu dziwnego, mniej więcej takie: owad z księżycy. Przy tej istocie mógł majstrować jakiś demiurg w odległych królestwach, który kiedyś usłyszał o pszczołach.

Istota dała mi wystarczająco dużo czasu na jej obserwację, a poza tym pojawiły się teraz wszędzie podobne jej osobniki, jak robotnicy pod bramą fabryki, kiedy zawyje syrena. W pszczołach tych uwagę zwracała przede wszystkim ich wielkość. Nie były wprawdzie tak duże jak tamte, które Guliwer spotkał w Brobdingnagu, ale znacznie większe od pszczoły czy nawet szerszenia. Miały mniej więcej obwód włoskiego orzecha tkwiącego jeszcze w zielonej łupinie. Skrzydła nie były ruchome jak skrzydła ptaków czy owadów, lecz otaczały ciało jak sztywna wypustka, pełniły więc raczej rolę powierzchni stabilizujących i nośnych.

Wielkość mniej rzucała się w oczy, niż można byłoby sądzić, ponieważ zwierzę było całkowicie przezroczyste. Wyobrażenie, jakie sobie o nim wyrobiłem, zawdzięczałem w zasadzie refleksom wywoływanym przez jego ruchy w słonecznym świetle. Kiedy, jak teraz właśnie, unosiło się przed kwiatem powoju, którego kielich nakłuwało ryjkiem w kształcie szklanej sondy, było prawie niewidoczne.

Widok ten zafascynował mnie do tego stopnia, że zapomniałem o miejscu i czasie. Podobne zdumienie ogarnia nas podczas prezentacji maszyny, w której kształcie i sposobie funkcjonowania znajduje wyraz nowa koncepcja. Gdyby człowiek z epoki biedermeierowskiej został cudownie przeniesiony na jedno z naszych skrzyżowań, ruch na nim wzbudziłby w nim uczucie monotonnego zamętu. Po chwili oszołomienia pojawiłoby się pewne zrozumienie, pojęcie o kategoriach. Odróżniłby motocykle od samochodów osobowych i ciężarówek.

Tak samo było ze mną, gdy pojąłem, że nie chodzi tu o nowy gatunek zwierząt, lecz o mechanizmy. Zapparoni, ten diabeł wcielony, raz jeszcze wmieszał się do spraw natury albo raczej poczynił przygotowania do tego, by poprawić jej niedoskonałości przez skrócenie i przyśpieszenie cyklu pracy. Pilnie kręciłem lornetką w prawo i w lewo, śledząc jego istoty, które przelatwały w przestrzeni niczym diamenty wystrzelone z potężnych proc. Słyszałem teraz również ich delikatne świstanie, które na chwilę załamywało się, gdy wyhamowywały tuż przed kwiatami. A z tyłu, przed ulami, które stały teraz w słońcu, sumowało się w przenikliwy i nieprzerwany gwizd. Unikanie zderzeń w miejscach, gdzie chmary automatów zlatywały się przed prześliźnięciem się przez otwory wlotowe, musiało kosztować wiele subtelnych rozważań.

Muszę przyznać, że proces ten wypełniał mnie zadowoleniem, jakie wzbudzają w nas rozwiązania techniczne. Zadowolenie to jest zarazem wśród wtajemniczonych równoznaczne z uznaniem, że oto zatriumfował duch z naszego ducha. Wzrosło ono jeszcze, gdy zauważyłem, że Zapparoni pracuje na kilku systemach. Spostrzegłem rozmaite modele, rozmaite roje automatów, które zbierały nektar z pól i krzewów. Szczególnie mocno zbudowane owady posiadały cały zestaw ryjków, które zanurzały w baldaszkach i kiściach kwiatów. Inne wyposażone były w chwytne ramiona, które niczym delikatne szczypcy obejmowały pęki kwiecica i wyciskały nektar. Jeszcze inne aparaty pozostawały dla mnie zagadką. Widocznie zakątek ten służył Zapparoniemu za pole doświadczalne dla błyskotliwych pomysłów.

Czas szybko mijał, gdy napawałem się tym widokiem. Stopniowo wnikałem również w budowę, w system działania instalacji. Ule ustawiono w długim szeregu pod murem. Po części miały tradycyjny kształt, a po części były przezroczyste i wydawały się zbudowane z tego samego materiału, co sztuczne pszczoły. Stare ule zamieszkane były przez naturalne owady. Prawdopodobnie roje te miały jedynie ukazywać miarę wielkości triumfu nad naturą. Zapparoni z pewnością kazał obliczyć, ile nektaru jeden rój

zbiera w ciągu dnia, godziny i sekundy. Teraz umieścił go na polu doświadczalnym obok automatów.

Miałem wrażenie, że wprawiał zwierzątka z ich przedpotopową ekonomią w zakłopotanie, bo często widziałem, jak jedno z nich zbliża się do kwiatu, którego dotknął szklany konkurent, i natychmiast znowu odlatuje. Natomiast gdy prawdziwa pszczoła jako pierwsza ssała z kielicha, to zawsze do dyspozycji pozostawał jeszcze deser. Wywnioskowałem stąd, że stworzenia Zapparonego postępują ekonomiczniej, to znaczy gruntowniej wysysają nektar. A może po dotknięciu szklaną sondą wysychała miododajna moc kwiatów i zamykały one swe kielichy?

Jakkolwiek by było, naoczny ogląd pouczał, że Zapparoni dokonał tu jednego ze swoich kapitalnych wynalazków. Obserwowałem teraz krzątanie przy szklanych ulach, którą cechował wysoki stopień metodyczności. Wydaje mi się, że trwało stulecia, aż po nasze czasy, zanim odkryto tajemnicę pszczół. Tymczasem o wynalazku Zapparonego już po mniej więcej godzinie obserwacji z mojego krzesła wyrobiłem sobie pewne wyobrażenie.

Szklane ule różniły się na pierwszy rzut oka od dawnych typów wielką ilością otworów wlotowych. Bardziej niż ul przypominały automatyczną centralę telefoniczną. Nie były to zresztą prawdziwe otwory wlotowe, bo pszczoły nie wchodziły do instalacji. Nie widziałem, gdzie odpoczywały albo były parkowane, czy też miały swoje garaże, bo przecież chyba nie pracowały cały czas. W każdym razie w ulu nie miały nic do roboty.

Otwory wlotowe pełniły raczej funkcję szczelin w automacie albo dziurek w gniazdku elektrycznym. Pszczoły zbliżały się do nich, magnetycznie przyciągane, wtykały do środka ryjki i opróżniały szklany brzuszek z nektaru, którym był wypełniony. Następnie były odpychane z siłą przypominającą wystrzał z broni palnej. To, że w tym rozgardiaszu pomimo wysokiej prędkości lotu nie dochodziło do zderzeń, było szczególnym majstersztykiem. Pomimo że w procesie tym brała udział wielka ilość jednostek, odbywał się on z doskonałą precyzją; musiała istnieć jakaś centrala albo centralna zasada, która nim sterowała.

Było oczywiste, że naturalny proces został w wielu miejscach uproszczony, skrócony i ustandaryzowany. Pominięte zostało na przykład wszystko, co miało związek z pozyskiwaniem wosku. Nie było ani małych, ani dużych komórek, ani jakichkolwiek instalacji, które miałyby coś wspólnego z różnicą płci, cała ta krzątanina promieniowała zresztą perfekcyjnym, lecz całkowicie nieerotycznym blaskiem. Nie było tam ani jaj, ani gniazd z poczwarkami, ani trutni, ani królowej. Gdybyście chcieli się koniecznie odwoływać do jakiejś analogii, to Zapparoni aprobował jedynie kastę bezpłciowej siły roboczej i doprowadził ją do świetności. Również pod tym względem uprościł naturę, która wszak już w mordzie na trutniu podejmuje próbę ekonomicznego podejścia. W jego planie od samego początku nie było ani samczyków, ani samiczek, ani matek, ani mamek.

Jeśli dobrze sobie przypominam, nektar, który pszczoły wysysają z kwiecica, jest przyrządzany w ich żołądku, gdzie ulega różnym przemianom. Również tego trudu Zapparoni zaoszczędził swoim stworzeniom, zastępując go centralnym procesem chemicznym. Widziałem, jak bezbarwny nektar, wtryskiwany w przyłącza, zbierał się w systemie szklanych rurek, w których stopniowo zmieniał barwę. Zmąciwszy się najpierw domieszką żółci, zabarwił się na słomkowo i opadł na dno we wspaniałym miodowym kolorze.

Dolna połowa ula służyła widocznie za zbiornik albo magazyn, który bardzo szybko zapełniał się lśniącym miodem. Mogłem śledzić jego przybór na podstawie podziałek wyrytych w szkłe. Kiedy wodziłem lornetką tu i ówdzie po zaroślach i łące, po czym ponownie kierowałem wzrok na ule, zasób wzrastał o kilka kresiek na skali.

Przypuszczalnie przybór i w ogóle cała krzątanina obserwowane były nie tylko przeze mnie. Rozróżniłem kolejny rodzaj automatów, które latały tam i z powrotem przed ulami albo też zatrzymywały się na chwilę, jak robią to brygadziści albo inżynierowie w warsztacie lub na placu budowy. Odcinały się na tle rojów swą dymnoszarą barwą.

Zaprzątnięty całym tym rozgardiaszem zupełnie zapomniałem, że czekam na Zapparonego. Był on jednak obecny jako niewidoczny szef. Wyczuwałem władzę, na której zasadzał się ten spektakl.

W głębszym obszarze techniki, gdzie staje się ona zauroczeniem, tym, co fascynuje, jest nie tyle jej aspekt ekonomiczny, a nawet nie cechująca ją potęga, lecz pewien rys zabawowy. Spostrzegamy wyraźnie, że jesteśmy uwikłani w grę, w taniec ducha, którego nie ogarnia żadna arytmetyka. Ostatecznie w naszej nauce rozstrzyga przecucie, zew losu, czysta gra kształtów.

Ten rys zabawowy objawia się wyraźniej w miniaturach niż w gigantycznych tworcach naszego świata. Prostackiemu obserwatorowi mogą zaimponować jedynie masy, zwłaszcza kiedy są w ruchu. A jednak w komarze kryje się nie mniej organów niż w lewianie.

To właśnie pochłaniało mnie bez reszty na polu doświadczalnym Zapparonego, tak że jak dziecko w szkole zapomniałem o miejscu i czasie. Nie myślałem również o tym, że może to być niebezpieczne, bo istoty te często przemykały z gwizdem obok mnie niczym pociski. Ich gromady rozlatywały się promieniście od strony uli, by po chwili opaść jak połyskująca tkanina na barwne kwiecie, a potem mknęły z powrotem, wyhamowały i zawisały w gęstym roju, z którego za pomocą niesłyszalnych nawoływań oraz niewidzialnych znaków jedna zbieraczka po drugiej wzywane były w szybkim następstwie, by odstawić swój zbiór – było to przedstawienie, które zarówno fascynowało, jak i hipnotyzowało, usypiało ducha. Nie wiedziałem, co bardziej mnie zdumiewa – kunsztowny wynalazek poszczególnych aparatów czy ich współdziałanie. Być może w najgłębszej istocie rzeczy zachwycała mnie taneczna siła tego widoku, bezcelowa potęga skoncentrowana w porządku wysokiego rzędu.

Kiedy już przez godzinę w wielkim napięciu obserwowałem te ewolucje, sądziłem, że rozumiem, wprawdzie nie techniczną tajemnicę, lecz jednak system działania instalacji. Ledwie to się stało, a już poddałem go krytyce i rozmyślałem o udoskonaleniach. Ten niepokój, to niezadowolenie jest osobliwe, chociaż należy do cech naszego charakteru. Gdybyśmy natknęli się, na przykład w Australii, na gatunek zwierząt, jakiego nigdy dotąd nie widzieliśmy, to wprawdzie również ogarnęłoby nas zdumienie, ale nie zaczęlibyśmy natychmiast rozmyślać nad tym, jak można go udoskonalic. Wskazuje to na różnicę między autorytetami stwórczymi.

Krytyczne podejście do spraw techniki ma dzisiaj każdy chłopiec, który dostaje w prezencie rower. Jeśli o mnie chodzi, to w okresie, gdy musiałem dokonywać odbioru technicznego czołgów, byłem do tego wdrażany. Zawsze należało coś wynegocjować i miałem w zakładach złą opinię kogoś, kto żąda niemożliwego. Podstawowa zasada w przypadku takich konstrukcji jest prosta – ich zadaniem jest korzystny podział potencjału na siłę ognia, mobilność i bezpieczeństwo. Każdy z tych elementów można poprawić jedynie kosztem pozostałych. Bezpieczeństwo znajduje się na ostatnim miejscu; koszty nie odgrywają żadnej roli, podobnie jak wygoda. W przypadku pojazdów drogowych rzecz przedstawia się inaczej; tutaj koszty, bezpieczeństwo i komfort mają najwyższą rangę. Wymagania są zbieżne jedynie w odniesieniu do prędkości. Jest ona jednym z pryncypiów naszych czasów. Dlatego składa się jej ofiary nie tylko na wojnie, lecz również w czasie pokoju.

Co się tyczy instalacji Zapparonego, to po początkowym zdumieniu nadsunęła mi się natychmiast kwestia kosztów. Szklane stworzenia sprawiały wrażenie luksusowych automatów – uważałem za możliwe, że każdy z nich kosztuje tyle, co dobry samochód albo nawet samolot. Z pewnością Zapparoni po ich przetestowaniu zamierzał je produkować seryjnie, podobnie jak wszystkie swoje wynalazki. Niewątpliwie za pomocą takiej kolonii, a nawet być może jednej szklanej pszczoły, mógł zebrać w wiosenny dzień więcej miodu niż naturalny rój w ciągu roku. Jego pszczoły mogły zapewne praco-

wać również podczas deszczu i w nocy. Cóż jednak takie zyski oznaczały w porównaniu z ogromnymi wydatkami?

Zgoda, miód jest wyborną potrawą, ale jeśli chciało się zwiększyć zbiory, to nie była to rzecz dla przemysłu robotycznego. Było to raczej zadanie chemii. Myślałem o laboratoriach, takich jakie widziałem w Prowansji, na przykład w Grasse, gdzie z milionów kwiatów ekstrahuje się substancję zapachową. Mają tam lasy gorzkich pomarańczy, pola pełne fiołków i tuberoz, zbocza porośnięte niebieską lawendą pośród makii. Dzięki podobnym procesom dałoby się zapewne również pozyskiwać miód. Można by eksploatować łąki tak jak nasze złoża węgla, z którego wydobywa się nie tylko paliwo, lecz również niezliczone chemikalia, esencje, barwniki, wszelkiego rodzaju lekarstwa, a także przedzę włókienniczą. Dziwiło mnie, że nikt jeszcze na to nie wpadł.

Oczywiście Zapparoni już dawno rozważył kwestię kosztów, bo inaczej byłby pierwszym miliarderem, który nie potrafił bardzo dobrze rachować. Niejeden już przekonał się ze szkodą dla siebie, jak dobrze bogacze znają się na wartości każdego grosza. Nie staliby się tacy bogaci, gdyby brakowało im tego talentu.

Można było zatem przypuszczać, że instalacja miała sens wykraczający poza normalną ekonomię. Mogło chodzić o zabawkę jakiegoś nababa, którą rozkoszował się on po powrocie z pola golfowego albo wędkowania. W technicznej epoce ludzie mają techniczne zabawki. Nawet milionerzy rujnowali się za sprawą takich bawidełek. Podczas zabawy nie trzyma się ręki na kieszeni.

Przypuszczenie to było jednak mało prawdopodobne, bo gdyby Zapparoni chciał trwonić czas i pieniądze na swoje *menus plaisirs*, to doskonałą sposobność po temu dawało mu kino. Jego wielką pasją była wytwórnia Zapparoni-Film. Ważył się tam na eksperymenty, które każdego innego zaprowadziłyby do przytułku dla ubogich. Pomysł, by w sztukach grały automaty, sam w sobie był oczywiście nienowy i często już wypróbowywany w dziejach kina. Wcześniej nigdy jednak nie pojawiały się żadne wątpliwości co do mechanicznego charakteru postaci i dlatego próby ograniczały się

do dziedziny bajek lub groteski oraz do podstawowych efektów teatru lalek lub dawnej *laterna magica*. Zapparoni chciał jednak powołać do istnienia automaty w dawnym znaczeniu tego słowa, automaty Alberta Wielkiego albo Regiomontana. Chciał stworzyć sztucznych ludzi naturalnej wielkości, figury o ludzkim wyglądem. Cały świat naigrawał się z tego pomysłu i oburzał się z jego powodu, uważał go za niesmaczny koncept ekscentryka.

A jednak wszyscy się mylili, ponieważ już pierwsza z tych sztuk zrobiła furorę. Był to wystawny spektakl lalkowy bez lalkarzy i bez drutów, premiera nie tylko nowego przedstawienia, lecz nowego gatunku sztuki. Figury różniły się wprawdzie jeszcze trochę od zwykłych ludzi, lecz na korzyść. Twarze były bardziej błyszczące, nieskazitelne, oczy o większym wykroju, podobne do kamieni szlachetnych, ruchy powolniejsze, bardziej wytworne, a w stanie wzburzenia również gwałtowniejsze, szybsze od znanych nam z doświadczenia. I także to, co brzydkie, nienormalne, przenoszone było w nowe, rozweselające albo przerażające, ale zawsze fascynujące regiony. Kaliban, Shylock, Dzwonnik z Notre Dame, jakimi przedstawiał ich Zapparoni, nie mogli zostać poczęci w żadnym łóżku, urodzić się z żadnej kobiety ludzkiej rasy, choćby w nie wiadomo jakiego dziwołoga się zapatrzyła. Mogły się wśród nich pojawiać istoty całkowicie fantastyczne, jakiś Goliat, Karzeł Długonos, archiwariusz Lindhorst, Anioł Zwiastowania, przez którego ciało i skrzydła prześwitywały przedmioty.

Widziało się, na wpół z konsternacją, na wpół ze zdumieniem, że figurki te nie naśladowały po prostu ludzkiej istoty, lecz wynosiły ją ponad jej możliwości i skalę. Głosy osiągały wysokość, która zawstydziała każdego słowika, oraz głębię, która wprawiała w zakłopotanie każdego basa; ruchy i ekspresja zdradzały, że studiowano i przewyższono naturę.

Wrażenie było nadzwyczajne. Publiczność podziwiała teraz bezgranicznie to, co poprzedniego wieczora wyśmiewała. Nie chcę powtarzać tego, co twierdzili chwalcy. Widzieli oni w teatrze marionetek nowy gatunek sztuki, prezentujący idealne typy. Oczywiście musiała tu odgrywać rolę naiwność ducha czasów, który pochwytywał śmiało wynalazki jak dziecko nową

lalkę. Gazety użalały się nad losem pewnego młodzieńca, który rzucił się do Tamizy. Uważał on heroinę Zapparonego za kobietę z krwi i kości i nie potrafił przeboleć zawodu. Kierownictwo zakładów wyraziło ubolewanie, dając do zrozumienia, iż wcale nie jest wykluczone, że piękna robocica wysłuchałaby młodzieńca. Postąpił pochopnie, nie pojął najnowszych możliwości techniki. Tak czy owak sukces był ogromny i z pewnością zrekompensował wydatki. Zapparoni zmieniał wszystko w złoto.

Nie, kto mógł bawić się sztucznymi ludźmi, ten miał wystarczająco dużo rozrywek. Nie potrzebował umilać sobie czasu szklanymi pszczołami. Nie znajdowałem się na placu zabaw. Istnieją jednak również inne pola, na których pieniądze stają się nieistotne.

Oczywiście to, że te szklane pszczoły zbierały tutaj miód, zakrawało na żart. Było to absurdalne zadanie dla dzieł sztuki. Jednakże z istotami, które to potrafiły, można było zrobić niemal wszystko. Takim automatom łatwiej było zbierać ziarenka złota i diamenty niż nektar, który czerpały z kwiatów. Ale nawet do najlepszego interesu wciąż były zbyt kosztowne. Absurdów ekonomicznych dokonuje się tylko tam, gdzie w grę wchodzi władza.

I rzeczywiście, kto rozporządzał takimi rojami, ten był potężnym człowiekiem. Być może potężniejszym niż ktoś, kto dysponował tą samą liczbą samolotów. Dawid był silniejszy, był inteligentniejszy od Goliata.

Tutaj ekonomia nie mogła odgrywać żadnej roli albo trzeba było wejść w kategorie innej ekonomii – tytanicznej. Tutaj należało wystawiać inny rachunek. Nie mogłem sobie pozwolić na żaden sąd odnośnie do ceny takiej pszczoły; lecz gdyby wynosiła jedynie tysiąc funtów, to z punktu widzenia pszczelarza byłaby horrendalna. Istnieją jednak jeszcze inne punkty widzenia. Krążownik stratosferyczny na przykład mógł kosztować milion funtów; to z punktu widzenia pszczelarza czy też lekkiego kawalerzysty było nie mniej horrendalne. Jeśli wziąć pod uwagę niesamowity ładunek, jaki taki krążownik miał dostarczyć na miejsce, cena rosła do fantastycznych rozmiarów. Stawała się natomiast minimalna, gdy uwzględniono się szkody, jakie za jego pomocą zamierzano wyrządzić. Miliardy wyparowywały tam w powietrze, nie mówiąc już o uszczerbku dla życia i zdrowia.

Gdyby więc można było taką pszczołkę przyczepić temu potworowi do skrzydeł i udaremnić jego misję, wówczas tysiąc funtów byłoby fraszką, błażostką. Trzeba przyznać, że na naszym świecie rachuje się z wielką dokładnością, nawet przy użyciu maszyn. Istnieją jednak wyjątki. Wówczas jest się hojnym, bardziej rozrzutnym niż August Mocny, niż minister Brühl. A jednak ma się z tego mniej niż oni.

Tak, bez wątpienia znajdowałem się na polu doświadczalnym zakładów Zapparonego, na lotnisku dla mikrorobotów. Moje przypuszczenie, że chodzi o broń, było zapewne trafne. To i zwykła użyteczność przychodzi nam najpierw do głowy. Sprowadzając swoje pszczoły do roli robotnic, Zapparoni nie pozbawił ich jednak żądła, wręcz przeciwnie.

Widok ten rozweselił mnie najpierw jako zabawa, a potem zachwyił jako kombinacja elementów. Teraz jednak pojąłem jego ogromne znaczenie i byłem odurzony jak poszukiwacz złota, który wszedł do krainy Ofir. Dlaczego stary udzielił mi prawa wstępu do tego ogrodu?

„Niech pan ma się na baczności przed pszczołami!” Wszystko, co mówił, miało jeszcze inny sens od tego, który się podejrzewało. Być może znaczyło to, że powinienem zachować zimną krew, i rzeczywiście czułem, że widowisko wstrząsnęło podstawami mojego umysłu. Prawdopodobnie mistrz wyznaczył mi to jako egzamin. Była to część praktyczna. Chciał wiedzieć, czy pojmuję doniosłość tego, co robi, czy dorastam do jego idei. Czy może w tym parku Carettiemu pomieszały się zmysły?

„Niech pan ma się na baczności przed pszczołami” – to mogło być również ostrzeżenie przed ciekawością. Być może chciał zobaczyć, jak zachowam się w obliczu wyjawionej tajemnicy. Ale ja nie ruszyłem się jeszcze ze swojego krzesła.

Byłem również zbyt zajęty, by rozmyślać o swoim zachowaniu; krzątani-na pszczoł całkowicie przykuwała moją uwagę. Kiedy w przeszłości dokonano jakiegoś wynalazku, był to szczęśliwy traf, z którego znaczenia sam wynalazca nie zdawał sobie w pełni sprawy. Konstrukcje, nędzne zestawy drążków i dźwigni w muzeach wywołują uśmiech na twarzy. Tu jednak nowa idea była nie tylko pojęta w swych konsekwencjach, lecz natychmiast zrealizowana na szerokim polu i w szczegółach. Stworzono model, który wykraczał poza praktyczne wymogi. To wskazywało na wielu współpracowników, wielu wtajemniczonych i pojmowałem troskę Zapparonego o dochowanie sekretu.

W trakcie popołudnia liczba latających obiektów znacznie wzrosła. W przeciągu dwóch, trzech godzin dokonał się proces podobny do tego,

w jakim uczestniczyłem wcześniej na przestrzeni całego życia – a mianowicie przemiana nadzwyczajnego zjawiska w typowe. Przeżyłem to z samochodami, z samolotami. Najpierw człowiek zdumiewa się występującym jednostkowo zjawiskiem, a w końcu widzi, jak całymi zastępami prze-myka ono z warkotem obok w połyskujących kolumnach. Nawet konie nie odwracają już głowy. Ten drugi widok jest bardziej zdumiewający, ale wkroczyliśmy w prawo serii, w przyzwyczajenie.

Zapparoni musiał prace nad tymi automatami posunąć już daleko na-przód, zacząć produkować je seryjnie, o ile było to możliwe w jego zakła-dach. Nie wyglądało jednak na to, by przygotowywał tutaj nowy towar – jedną z niespodzianek, jakie co roku serwował w swoich katalogach. To mogło się wydarzyć później jako efekt uboczny. Musiało to być całkowicie niezależne przedsięwzięcie; stało się to wyraźne, gdy krzątania nasiliła się w sposób przypominający rójkę lub godzinę szczytu w mieście. Rozga-łęziała się teraz pasmami również w inne części parku.

Z organizacyjnego punktu widzenia aktywność ta pozwalała na rozma-ite interpretacje. Trudno było zakładać, że istnieje centrum zasilania. To nie było w stylu Zapparoniego. Dla niego ranga automatu zależała od jego samodzielności. Jego światowy sukces zasadzał się na tym, że w domu, w ogrodzie, na najmniejszej przestrzeni stwarzał zamknięty obszar gospo-darczy; wypowiedział wojnę drutom, przewodom, rurom, szynom, przyłą-czom. Dalece odbiegało to od stylu przemysłowego XIX wieku i jego brzy-doty.

Myślałem już raczej o systemie rozdzielczym, o laboratoriach, akumula-torach i stacjach benzynowych. Dostarczane i przyjmowane mogły być ma-teriały, jak tutaj w pasiekach, do których nie tylko znoszono nektar, ale z których najwidoczniej pobierano również energię, bo widziałem, jak szklane istoty były dosłownie wystrzeliwane po opróżnieniu się.

Powietrze było teraz wypełnione głośnym, równomiernym gwizdem – gwizdem, który wprawdzie nie usypiał, lecz jednak hipnotycznie przytępił uwagę. Musiałem dokonywać wysiłku, by odróżniać sen od jawy i nie paść ofiarą wizji, które same z siebie snuły dalej temat Zapparoniego.

Jako się rzekło, zaobserwowałem rozmaite modele szklanych pszczół. Od pewnego czasu w ich wirze pojawiały się jeszcze inne aparaty. Były ogromnie zróżnicowane pod względem wielkości, kształtu oraz barwy i najwyraźniej nie miały już zupełnie nic wspólnego z pszczołami i pszczelarstwem. Te nowe twory musiałem przyjmować takimi, jakie były – nie nadążałem z interpretacją. Coś podobnego nam się przydarza, gdy z rafy przyglądamy się morskim zwierzętom: widzimy ryby i skorupiaki, rozpoznajemy również meduzy, potem jednak z głębin wypływają istoty, które stanowią dla nas nierozwiązywalne, budzące lęk zagadki. Byłem tutaj jak człowiek z minionej epoki, którego postawiono na skrzyżowaniu. Po chwili zdumienia z łatwością odgadnie, że samochody są nowym rodzajem powozów. Od czasu do czasu w konsternację wprawiają go jednak konstrukcje w stylu Callota.

Ledwie więc znalazłem się w obiekcie Zapparonego, wymyśliłem pewne ulepszenia. Jest to zgodne z duchem czasów. Jako że pojawiły się teraz nieprzezrocyste figury, zacząłem stawać się niespokojny i rozdrażniony; to również jest znamienne dla czasów, w których hierarchię określa panowanie nad techniczną aparaturą.

Co mogły oznaczać nowe aparaty, które wmieszały się w roje pszczół? Zawsze było tak samo: ledwie pojęto się nową technikę, a już wydawała ona z siebie swoją antytezę. W szklane strumienie włączały się barwne indywidua przypominające porcelanowe perły nanizane na szklany naszyjnik. Były szybsze, jak pojazdy pogotowia ratunkowego, straży pożarnej albo policji w kolumnie samochodów. Inne krążyły w górze ponad ogólnym ruchem. Musiały mieć większy obwód, lecz brakowało mi kryteriów do jego określenia. Szczególnie zaprzętały mnie szare aparaty, które oblatywały teren przed pasiekami, a teraz również zupełnie blisko mnie. Był wśród nich jeden jakby wyrzeźbiony z matowego rogu albo z dymnego kwarcu. Krążył ociężale na niewielkiej wysokości wokół altany, tak że niemal muskał tygrysie lilie, a od czasu do czasu zastygał nieruchomo w powietrzu. Kiedy czołgi rozdzielają się w terenie, obserwatorzy unoszą się nad nimi w podobny sposób. Być może był to nadzór albo komórka dowódcza. Szczególnie uważnie przypatrywałem się temu dymnoszaremu, usiłując ustalić, czy jego ruchom odpowiadają albo następują po nich zmiany w masie kłębiących się automatów.

Ocena stosunków wielkości była trudna, gdyż chodziło o obiekty, które leżały poza obrębem doświadczenia i dla których w świadomości nie istniała żadna norma. Bez doświadczenia nie ma miary. Gdy widzę jeźdźca, słonia, volkswagena, obojętnie z jakiej odległości, znam jego wymiary. Tutaj jednak zmysły były zdeorientowane.

W takich wypadkach odwołujemy się zwykle do doświadczenia, posługując się obiektami testowymi. Próbowałem zatem, kiedy dymnogłowy poruszał się w moim polu widzenia, pochwycić jednocześnie wzrokiem jakiś znany przedmiot, który dostarczał mi skali porównawczej. Nie było to trudne, gdyż szary aparat od kilku minut latał tam i z powrotem między mną a najbliższym bajorem. Te minuty, podczas których z oczami utkwionymi w kwarcu wolno poruszałem głową, działały szczególnie usypiająco. Nie potrafiłem powiedzieć, czy zmiany, jakie zdawałem się dostrzegać na powierzchni automatów, dokonują się w rzeczywistości, czy też nie. Widziałem zmianę barwy jak w sygnałach optycznych, to jest zblednięcie, a następnie nagły, krwistoczerwony rozbłysk. Potem ukazały się czarne wyrostki, które wysunęły się jak rogi ślimaka.

Przy tym wszystkim nie zapomniałem o szacowaniu wielkości, kiedy dymnogłowy zawracał w swym wahadłowym ruchu i na sekundę zawisał nad bajorem. Czy roje automatów odleciały, czy też nie widziałem ich, bo moją uwagę przykuwało to jedno? Tak czy owak w ogrodzie panowała zupełna cisza i nie było w nim żadnych cieni, jak dzieje się w snach.

„Szlifowany kwarc wielkości kaczego jaja” – do tego wniosku doszedłem, gdy porównałem dymnogłowego z kolbami tataraku, o które się niemal ocierał. Takie kolby znałem dobrze z dzieciństwa; nazywaliśmy je „szczotkami do butelek” i próbując je zerwać, rujnowaliśmy sobie w mule ubrania. Trzeba było czekać, aż woda zamarznie, ale i wówczas podchodzenie było niebezpieczne, gdyż lód przy kępach trzciny był kruchy i pełen kaczyczych otworów.

Idealnym obiektem testowym był komar, który zdołał liść rosiczki niczym wryta w rubinie miniatura. Również rosiczka była mi od dawna znana. Wykopywaliśmy ją podczas naszych wędrówek po moczarach i sadziliśmy w terrariach. Botanicy określają ją jako „mięsożerną roślinę” – ta barbarzyńska przesada wzbudziła w nas szacunek dla tego pełnego wdzięku ziółka. Kiedy dymnogłowy, który kursował teraz niżej, nieomal muskając skraj bajora, został przez moją lunetę uchwycony jednocześnie z rosicz-

ką, zobaczyłem, że w porównaniu z pszczołami jest istotnie znacznej wielkości.

Intensywna, jednostajna obserwacja niesie z sobą niebezpieczeństwo halucynacji, jak wie każdy, kto śledził wzrokiem jakiś obiekt w śniegu lub na pustyni albo jechał po niekończących się, prostych jak strzała drogach. Zaczynamy śnić; władzę nad nami uzyskują obrazy...

„Rosiczka jest więc jednak mięsożerną rośliną, kanibalistycznym zielenem”.

Dlaczego to pomyślałem? Wydało mi się, że widzę czerwone, okolone lepкими włoskami liście w ogromnym powiększeniu. Dozorca rzucał im karmę.

Przetarłem oczy. Senne widziadło zwiódło mnie w tym ogrodzie, w którym maleńkie stawało się wielkie. Ale jednocześnie usłyszałem sygnał w moim wnętrzu jak budzik, jak dzwonek alarmowy samochodu zbliżającego się z zatrważającą prędkością. Musiałem zobaczyć coś niedozwolonego, coś haniebnego, co mnie przeraziło.

To było złe miejsce. Z wielkim przestraszeniem zerwałem się na nogi, po raz pierwszy od czasu, gdy usiadłem, i skierowałem lornetkę na bajoro. Dymnoszary znowu się zbliżył; przestał latać tam i z powrotem i krążył wokół mnie z wysuniętymi czułkami. Nie zwracałem na niego uwagi. Byłem zafascynowany obrazem, na który skierował moje spojrzenie jak wyżeł na kuropatwy.

Rosiczka była maleńka jak przedtem. Już komar stanowił dla niej obfity posiłek. Lecz obok niej w wodzie leżał czerwony obsceniczny przedmiot. Wyostrzyłem jego obraz w lornetce. Byłem teraz zupełnie rozbudzony; nie mogło to być złudzenie.

Bajoro otaczały pędy sitowia i przez rozstępy między nimi widziałem brązową, bagnistą kałużę. Liście wodnych roślin tworzyły na niej mozaikę. Na jednym z nich leżał ów obsceniczny przedmiot, wyraźnie się od niego odcinając. Sprawdziłem raz jeszcze, ale nie mogło być wątpliwości: było to ludzkie ucho.

Nie wchodziła tu w grę pomyłka: odcięte ucho. I równie niezaprzeczalne było to, że jestem przy zdrowych zmysłach, a moja władza sądenia jest niezamącona. Ani nie piłem wcześniej wina, ani nie zażywałem narkotyków, nie paliłem nawet papierosa. Od dawna, już choćby z powodu pustki w kieszeniach, żyłem w stanie największej trzeźwości. Nie zaliczam się również do ludzi, którzy jak Caretti nagle widzą to lub owo.

Zacząłem teraz metodycznie i z rosnącym przerażeniem przeszukiwać wzrokiem bajoro: było usiane uszami! Rozróżniałem duże i małe, zgrabne i nieforemne uszy, a wszystkie były oddzielone od ciała ostrymi cięciami. Niektóre leżały na liściach wodnych roślin jak pierwsze, które odkryłem, śledząc lot dymnoszarego. Inne były w połowie zakryte liśćmi, a jeszcze inne prześwitywały niewyraźnie przez brązową bagienną wodę.

Na ten widok ogarnęła mnie fala mdłości niczym rozbitka, który niespodziewanie natknie się na pozostałości ogniska ludożerców. Uświadomiłem sobie prowokację, bezwstydną wyzwanie, jakie było w nim zawarte. Prowadził na niższy poziom rzeczywistości. Wydawało się, że aktywność automatów, która jeszcze przed chwilą tak bez reszty przykuwała moją uwagę, ustała; nie dostrzegałem jej już. Uważałem za możliwe, że była mirażem.

Jednocześnie owionął mnie lodowaty powiew, bliskość niebezpieczeństwa. Poczułem, że kolana robią mi się miękkie, i opadłem z powrotem na fotel. Czy może mój poprzednik w nim siedział, zanim zniknął? Być może do niego należało jedno z tych uszu? Poczułem gorące muśnięcie u nasady włosów. Teraz nie chodziło już o posadę. Teraz była to sprawa życia i śmierci i gdybym uszedł cały i zdrowy z tego ogrodu, mógłbym mówić o szczęściu.

Ten przypadek wymagał przemyślenia.

Właściwie entuzjazm, w jaki wpadłem na widok ogrodu Zapparonego, powinien był wzbudzić moją podejrzliwość; nie zapowiadał nic dobrego. Byłem nierozważny, a przecież miałem swoje doświadczenia. Ale któż ich nie ma?

Brutalny pokaz odciętych kawałków ciała przeraził mnie. Był jednak w tym kontekście stosownym motywem. Czy nie przynależał w konieczny sposób do technicznej perfekcji i towarzyszącego jej upojenia, któremu kładł kres? Czy w którymkolwiek okresie historii świata było tak wiele pokawałkowanych ciał, tak wiele urwanych członków jak w naszym? Od zarania dziejów ludzie prowadzą wojny, lecz z całej *Iliady* nie przypominam sobie ani jednego fragmentu, w którym byłyby mowa o utracie ramienia lub nogi. Pozbawienie członków mitologia rezerwowała dla potworów, okrutników pokroju Tantała czy Prokrusta.

Wystarczy stanąć na placu przed dworcem kolejowym, aby przekonać się, że u nas obowiązują inne reguły. Od czasów Larreya dokonaliśmy postępu, i to nie tylko w chirurgii. Do naszych złudzeń optycznych należy to, że przypisujemy te obrażenia wypadkowi. W rzeczywistości wypadki są następstwami obrażeń, do jakich doszło już u zarania naszego świata, a wzrost liczby amputacji jest jedną z oznak tego, że triumfuje wiwisekcyjny sposób myślenia. Strata nastąpiła, zanim ją jeszcze w sposób widoczny wzięto pod uwagę. Strzał został już dawno oddany i tam, gdzie jego skutki ukazują się później jako postęp nauki, choćby było to na księżycu, ziele wielka dziura.

Ludzka doskonałość i techniczna perfekcja są nie do pogodzenia. Jeśli chcemy osiągnąć jedną, musimy złożyć w ofierze drugą; wraz z rozstrzygnięciem stajemy na rozdrożu. Kto to sobie uświadomił, będzie czyściej pracował, w jeden albo drugi sposób.

Perfekcja dąży do obliczalnego, a doskonałość do nieobliczalnego. Dlatego też perfekcyjne mechanizmy opromienione są niesamowitym, lecz również fascynującym blaskiem. Wywołują lęk, lecz również tytaniczną dumę, której nie poskromi rozum, a jedynie katastrofa.

Lęk, lecz również entuzjazm, jaki wzbudza w nas widok perfekcyjnych mechanizmów, stanowi dokładne przeciwieństwo zadowolenia, jakim napawa nas widok doskonałego dzieła sztuki. Wyczuwamy atak na naszą nie-naruszalność, na naszą harmonię. To, że zagrożone są ręka i noga, nie jest jeszcze najgorsze.

Tyle, by dać do zrozumienia, że kolejność obrazów, a także nastrojów w ogrodzie Zapparonego była mniej bezsensowna, niż wydawała mi się w pierwszej chwili przerażenia. Po upojeniu, z jakim uczestniczyłem w demonstracji technicznego geniuszu, nastąpił ból głowy, kociokwik, a później oznaki potwornych okaleczeń. Jedno pociąga za sobą drugie.

Oczywiście przekazanie mi tej wiedzy nie mogło leżeć w planach Zapparonego. Miał inne zamiary. Bez wątpienia chciał wywołać przerażenie. W pełni mu się to udało i z pewnością triumfował już w swoim gabinecie z tego powodu, że wpadłem w sidła. Prawdopodobnie siedział tam wygodnie wśród swoich książek, od czasu do czasu śledząc na ekranie to, co wysyłał mu dymnoszary. Widziałby, jak się zachowuję. Na szczęście nie monologowałem. W tym względzie miałem doświadczenia. Głupie jednak było, że zerwałem się na nogi.

Wcześniej w takich przypadkach pierwszą, a także właściwą reakcją była myśl o złożeniu doniesienia. Postąpiłby tak każdy, kto podczas spaceru w lesie dokonał potwornego odkrycia; zadzwoniłby na najbliższy posterunek policji.

Tę myśl od razu wykluczyłem. Lata, w których miałem skłonność do brawurowych poczynań, bezpowrotnie minęły. Składać na Zapparonego doniesienie na policji oznaczało skarżyć Poncjusza przed Piłatem i łatwo mogłem przewidzieć, że to ja jeszcze tego wieczora zniknąłbym jako obcinacz uszu za kratkami. Byłby to nie lada kłasek dla nocnego wydania. Nie, to mógłby doradzić jedynie ktoś, kto strawił na marzeniach trzydzieści lat wojny domowej. Słowa zmieniły swoje znaczenie, również policja nie była już policją.

Zresztą, by wrócić do owego spacerowicza – zapewne jeszcze dzisiaj zgłosiłby znalezienie ucha. Co by się jednak stało, gdyby wszedł do części

lasu, gdzie wkoło w wielkiej ilości leżałyby uszy, jakby to były muchomory? Można by iść o zakład, że wycofałby się wtedy cichaczem. Być może jego najlepszy przyjaciel, a nawet żona nie dowiedzieliby się o znalezisku. Pod tym względem jesteśmy ostrożni.

„Nie ruszaj znaleziska” – to była zasada, wedle której należało tutaj postąpić. To jednak narażało mnie na inne niebezpieczeństwo. Zignorowałbym niegodziwość i zaniedbał narzucający się w sposób oczywisty obowiązek wobec bliźniego. Stąd do bestialstwa jest tylko krok. Może było to zamierzone. Chciano wciągnąć mnie w haniebną tajemnicę, najpierw jako współwiedzącego, a następnie jako współwinnego.

Położenie z pewnością było kłopotliwe, niezależnie od tego, czy odpowiedziałbym na nie działaniem czy jego brakiem. Najlepiej było postąpić wedle rady, jaką usłyszałem kiedyś w wiedeńskiej kawiarni. „Nie okazywać nawet braku zainteresowania” – taki był nakaz rozsądku.

Ale i wówczas widoki pozostawały nieprzyjemne. Zapparoni mógł doznać porażki, zbankrutować. Nie byłby pierwszym nadczłowiekiem, który zniknął w ten sposób. To, co widziałem w jego ogrodzie, bardziej przypominało próbną mobilizację niż pokaz modeli firmy o światowym zasięgu. Mogło się to źle skończyć, a wówczas podniosłaby się fala oburzenia, przy czym ci, którzy siedzieli dzisiaj w bezpiecznym kącie, walczyliby o lepsze z tymi, którzy wcześniej kadzili potężnemu Zapparoniemu. Pierwsi chcieliby sobie powetować, a drudzy wytłumaczyć się. Wszystkie te pingwiny byłyby jednak zgodne w swoim poglądzie na zdeprawowanego rotmistrza, uwikłanego w skandal z odciętymi uszami. „Nic nie widział, nic nie słyszał – klasyczny przypadek”, mówił przewodniczący, a głowy ławników potakiwały ponad białymi kamizelkami.

Tkwiałem w położeniu, w którym można jedynie popełniać błędy. Teraz szło już tylko o to, żeby wykoncypować najlepszy i choć po części wypłatać się z matni. Teresa czekała; nie mogłem zostawić jej samej. Dobrze się stało, że nie ruszyłem się jeszcze z miejsca. To, że się wcześniej zerwałem, nie znaczyło w końcu zbyt wiele; mogło się to stać również z powodu dymno-

głowego. Odwróciłem oczy od bajora i wsparłem głowę na dłoni, jakbym był zmęczony.

Chodziło teraz o to, by wydostać się z parku bez szwanku, co najwyraźniej nie udało się Carettiemu. Mogli sobie tutaj obcinać tyle uszu, ile chcieli, mnie nie powinny nachodzić z tego powodu moralne skrupuły. To nie one plątały mi myśli, lecz coś innego, co zbierało się w przeponie: fizyczne mdłości.

Usiłowałem odpędzić to uczucie; znałem je od dziecka. Leżało poniżej sfery moralnej i nie było w nim żadnej zasługi, podobnie jak awersja do pewnych dań nie jest czymś, czym można się szczycić. Są ludzie, którym nie służy spożywanie, a nawet sam widok truskawek lub raków, i w ogóle czerwonych potraw. Inni, jak ja na przykład, nie mogą patrzeć na obcięte uszy.

Przy tym w moich dobrych czasach nie miałem nic przeciwko aktom przemocy. Sprawiały mi jednak przyjemność jedynie między w przybliżeniu choćby równymi sobie przeciwnikami; musiała panować równowaga. Gdyby na przykład podczas walki na szable ktoś stracił ucho, poruszyłoby mnie to wprawdzie również jako rzecz nieprzyjemna, ale nie w tym stopniu odrażająca. Są to niuanse, między którymi już się właściwie nie rozróżnia, ale które, jak to często z niuansami bywa, niemal o wszystkim stanowią.

Jeśli nie było równości, górę zaczynało brać to, co odrażające. Brak równowagi wywoływał uczucie choroby morskiej. Przeciwnik musiał być uzbrojony albo nie był już przeciwnikiem. Uwielbiałem polowanie i unikałem rzeźni. Moją namiętnością było łowienie ryb; obrzydło mi ono, kiedy usłyszałem, że można z potoków i stawów wyłowić wszystko do ostatniego ciernika za pomocą prądu elektrycznego. Nagi fakt, zwykła pogłoska wystarczyły; od tamtego czasu nie wziąłem już wędki do ręki. Zimny cień padł na bystrza z pstrągami i na starorzecza, w których śnią omszałe karpie i sumy, i odarł je z ich czaru.

Nie cnota, lecz czyste obrzydzenie wywracało mi wnętrze, gdy widziałem, jak wielu rzuca się na jednego, duży na małego albo nawet dog na

miniaturowego szpica. Była to wczesna odmiana mego defetyzmu, a potem anachroniczna cecha charakteru, która w naszym świecie jedynie mi szkodziła. Często też ją sobie wyrzucałem, mówiąc do siebie, że skoro człowiek przesiadł się już z konia do czołgu, musi również nauczyć się nowego sposobu myślenia. Chodzi tu jednak o rzeczy, z którymi myśli trudno jest się uporać.

Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one, bo inaczej spotykają cię nieprzyjemne rzeczy. Po raz pierwszy nauczył mnie tego Atje Hanebut, i to w dobitny sposób. Jako że ten pierwszy raz ukazał już całą perfidię mojej psiej gwiazdy, należy do tematu i powinien tu zostać wspomniany jako przykład wszystkich następnych.

Gdy przypominamy sobie naszych mistrzów, natrafiamy również na tych, którzy wyprowadzili nas z dzieciństwa w okres nazywany szczenięcymi latami. W moim przypadku, a także innych chłopców z sąsiedztwa, rolę tę odegrał Atje Hanebut. Mógł mieć wtedy szesnaście albo siedemnaście lat i sprawował nieograniczoną władzę nad bandą dwunastolatków. Wpoił nam nowe pojęcie autorytetu, podziw dla przywódcy, za którym skoczy się w ogień i wodę. Ktoś taki nie tylko wypełnia nasze codzienne myśli i dążenia, lecz również śnimy o nim. Panowanie rozciągające się na świat snów jest niezawodnym znakiem. Człowiek zostaje pochwycony, gdy tylko zacznie o kimś śnić, niezależnie od tego, czy będą to dobre czy złe sny. Również od dobrego autora należy wymagać, aby się o nim śniło. Tam zaczyna się jego władza.

Mieszkaliśmy na obrzeżu miasta, przy ulicy Winnej, gdzie każdy dom stał w dużym ogrodzie. Ogrody te wychodziły na rozległą łąkę, którą co roku zatapiano do jazdy na łyżwach. Gdy zima przychodziła wcześniej, niektóre kawałki łąki pozostawały nieskoszone. Widziałem wtedy pod powierzchnią lodu kwiaty, zamrożone lato. Matka uskarżała się na to zatapianie, bo jesienią zapędzało ono do domu niezliczone myszy.

Za stawem leśniczego łąka prowadziła na moczary Uhlenhorst, a do jej długiego boku przylegała kolonia działkowiczów nazywanych przez nas Kozakami. Naszym sąsiadem był radca dworu Meding, znany lekarz starej szkoły, który prowadził wielkopańskie życie. Oprócz innej służby trzymał

kucharza i stangreta. W jego gabinecie stała mahoniowa sekretera, na której zawsze leżały recepty; były przygniecione złotymi monetami. Biednych pacjentów leczył za Bóg zapłać.

Mogliśmy się bawić w jego przypominającym park ogrodzie, który był bardzo zapuszczony. Naturalnie główną atrakcją stanowiły konie. Znaliśmy każdy zakątek stajni, wozowni i spichlerza; również w mieszkaniu stangreta czuliśmy się jak w domu. Mieliśmy szczęście, że Wilhelm Bindseil, syn stangreta, był naszym przyjacielem.

W rodzinie Bindseilów konie od dawna odgrywały wielką rolę. Stary Bindseil był tyłzyckim dragonem; można go było jeszcze odnaleźć z szykownym wąsem na wiszącej w salonie fotografii jego szwadronu. Pod nią widniała dewiza: „Litewscy dragoni nie oszczędzają nikogo i sami nie chcą być oszczędzani”. Kiedy widziało się starego Bindseila, trudno było to sobie wyobrazić. Mówił bełkotliwie i jeśli czegoś nie oszczędzał, to była to gorzałka.

Jego brat, stryj Wilhelma, był portierem w szkole jeździeckiej. Nosił krzyż żelazny pierwszej klasy i uczestniczył przed laty w szarży kawalerii pod Mars-la-Tour. Wilhelm czasami zabierał nas ze sobą i podziwialiśmy z oddali tego wielkiego człowieka. Mój ojciec patrzył na to życzliwym okiem; dawał nam w prezencie książki, które zachęcały nas do podążania w tym kierunku. Czytaliśmy *Życie niemieckiego kawalerzysty*, *Wspomnienia jeogra z korpusu Lützowa*, *Wielkiego króla i jego rekruta*.

Już wówczas rozciągaliśmy nasze wędrówki aż po moczary. Zawsze jednak było to ryzykowne przedsięwzięcie i po historii z polową stodołą nie wypuszczaliśmy się poza ogrody. Rozpaliliśmy małe ognisko na grobli przez moczary. Mój braciszek Hermann roznosił tu i tam żarzące się gałązki, którymi wzniecał ogień. Nagle zobaczyliśmy, jak wysokim płomieniem bucha suchy pas sitowia. Zaraz potem zajęło się wrzosowisko. Z początku próbowaliśmy stłumić ogień gałęziami, ale już wgryzł się w moczary, które były suche jak słoma; i kiedy byliśmy już bardzo zmęczeni gaszeniem i żarem, a podeszwy butów parzyły nas w stopy, języki ognia zaczęły lizać polową stodołę.

Wtedy upuściliśmy gałęzie i popędziliśmy do miasta, jakby gonił nas sam diabeł. Ale również tam nie uspokoiliśmy się, świadomość niecnego uczynku nie dawała nam usiedzieć na miejscu. W końcu sprawdziliśmy stan naszych kieszeni i wspięliśmy się na gotycką wieżę miejskiego kościoła, wysoką na mniej więcej sto metrów. Jedno wejście na górę kosztowało dziesięć fenigów. Mogliśmy za to podziwiać z lotu ptaka przerażające widowisko pożaru moczarów, do którego gaszenia wyruszyły trzy wozy strażackie. Po pokonaniu niezliczonych schodów trzęsły się nam już kolana, a kiedy usłyszeliśmy z oddali odgłos trąbek strażackich i ujrzeliśmy czerwoną łunę na niebie, zrobiło się nam tak słabo, że ledwie trzymaliśmy się na nogach. Chwiejnym krokiem zeszliśmy na dół, przemknęliśmy chyłkiem ulicami starego miasta do domu i zaszyliśmy się w łóżkach. Na szczęście nie padło na nas żadne podejrzenie. Długi czas dręczyły mnie jednak koszmary z ogniem, nocą zrywałem się z krzykiem ze snu, aż w końcu wezwano radcę dworu Medinga, który uspokoił rodziców i przepisał mi krople walerianowe. Stwierdził, że jest to objaw dojrzewania.

To należało jeszcze całkowicie do świata dzieciństwa. Kilka miesięcy później, kiedy Atje Hanebut rozpoczął swoje panowanie, mógłby on może nawet uznać to za bohaterski wyczyn. Przywiązywał wielką wagę do przebiegłości, która nie pozostawia za sobą śladów, i dawał nam zadania mające nas tego nauczyć. Tak na przykład wkrótce po zawarciu przez nas znajomości dowiedział się, że inny chłopak z sąsiedztwa, Clamor Boddsiek, ukradł rodzicom talara, którego musiał gdzieś ukryć, by trochę czasu minęło od jego występku. Atje zlecił nam zbadanie tej sprawy. Jeszcze dzisiaj mnie dziwi, że dzięki przemyślnym dedukcjom odkryliśmy skrytkę Clamora Boddsieka; przyniosłoby to chlubę jasnowidzowi. Podzieliliśmy obszar, w jakim się poruszał, na małe kwadraty, które przeszukiwaliśmy. Wsadził monetę do donicy w ogródku przed domem rodziców. Wzięliśmy ją stamtąd i oddaliśmy Atjemu. Postępek ten może dać pojęcie o tym, z jaką gorliwością zabiegaliśmy o jego względy. Z moralnego punktu widzenia było to oczywiście gorsze od całego pożaru moczarów, lecz odczuwaliśmy jedynie radość z powodu naszego sprytu godnego tropicieli śladów, widząc, jak Boddsiek jeszcze przez wiele dni na próżno grzebie w donicach.

Stangreci radcy dworu Medinga często się zmieniali; służba była wyczerpująca. Musieli długo czekać pod gołym niebem, kiedy radca odwiedzał swoich pacjentów, i szczególnie w zimie pociągali z butelki, aż w końcu ich pan miał tego dosyć. Doznawali wówczas degradacji z posady pańskiego stangreta do pozycji dorożkarza i w lakierowanym cylindrze czekali przed dworcem na podróżnych. W ten sposób stary Hanebut zastąpił ojca Wilhelma Bindseila. Również stary Hanebut utrzymał się zaledwie przez rok, bo radca dworu wpadł w złość, kiedy zauważył, że koniom zapadają się boki. Z tego, że jego stangreci są pijanicami, nie robił tragedii, ale zwierzęta powinny dostawać, co im się należy.

Matka Hanebut była stroskaną kobietą, która usługiwała radcy dworu. Ojciec prawie nie dbał o dyscyplinę w domu. Albo woził doktora na wizyty, albo był zajęty w stajni; pozostały czas spędzał w knajpie. Radca dworu kazał go stamtąd sprowadzać, kiedy działo się coś pilnego.

Syn sam był sobie panem i władcą. Przyjmował drobne, często zmieniające się prace, roznosił teczki z czasopismami na zlecenie księgarzy i książki na zlecenie biblioteki. Jesienią towarzyszył chłopom, którzy przyjeżdżali do miasta z wozami pełnymi torfu albo krzykiem zachęcali do kupna „bieluńskiego piasku”. Chłopcy, którzy zabiegali o jego względy, byli gimnazjalistami, należeli więc do innej warstwy niż on. Nie przeszkadzało mu to ich tyranizować.

Mój ojciec, który wcześniej przychylnym okiem patrzył na to, że trzymaliśmy się Wilhelma Bindseila, był niezbyt zadowolony z tej nowej znajomości. Usłyszałem kiedyś, jak mówi do matki w sąsiednim pokoju:

– Ten Atje nowego stangreta to złe towarzystwo – uczy chłopca istic proletariackich manier.

Miał przez to prawdopodobnie na myśli buty z cholewami, które nosił Atje Hanebut i z powodu których my, naśladowujący go pod każdym względem, tak długo zameczaliśmy nasze matki, aż w końcu nam je kupowały. To były buty, w których można było przejść przez dobre i złe czasy, przez bagno i gęstwiny, nieodzowne dla tropicieli śladów.

Określenie to wprowadził wśród nas do użycia Atje Hanebut; rozumiał pod nim zresztą nie tyle białych, ile czerwonych tropicieli śladów. Kiedy jednak zobaczył, że biegamy do szkoły jeździeckiej, nie ukrywał swej niechęci do żołnierzy.

– Oni muszą stać na baczność. Tropiciel śladów nigdy nie stoi na baczność, chyba że przy męczeńskim palu.

Powiedział także:

– Żołnierze muszą kłaść się na ziemi. Tropiciel śladów kładzie się na ziemi tylko wtedy, gdy chce się do kogoś podkraść, a nie na komendę. Tropiciel śladów w ogóle nie przyjmuje rozkazów.

W ten sposób zostaliśmy wprowadzeni do życia w dziczy. Traf chciał, że wkrótce potem na festynie strzeleckim pokazywano Indian. Zaprezentował ich w namiocie impresario, który zwracał się do nich po imieniu i wychwalał ich zasługi, przede wszystkim liczbę zdobytych skalpów. Powiedział takim głosem, jakby miał kłuskę w ustach:

– Czarny Mustang, zastępca wodza. On także jest bardzo bystrym facetem i oskalpował już siedmiu białych.

Wojownicy wystawiali się na spojrzenia, nie zwracając uwagi na publiczność. Nosili barwy wojenne i mieli na głowach pióropusze. Atje Hanebut nas tam zaprowadził. To było oczywiście coś innego niż szkoła jeździecka i stryj Bindseil – tym bardziej że Indianie świetnie radzili sobie również na koniach. Jednym z ulubionych tematów naszych rozmów było, czy mogliby pod tym względem dorównać Meksykanom i innym białym. Byliśmy o tym przekonani i te długie rozmowy miały jedynie na celu potwierdzenie ich wyższości wbrew wszelkiemu możliwemu sprzeciwowi. Dodatkowym skutkiem naszego entuzjazmu było to, że zmieniliśmy lektury.

Po kolacji zbieraliśmy się w siodlarni, która mieściła się nad stajnią, i siadaliśmy na stojakach do siodeł albo na stercie końskich derek stanowiących legowisko Atjego. Tam czytał nam na głos *Syna Łowcy Niedźwiedzi*. To była książka! Pachniało tam na górze końmi, sianem i skórą, a zimą buzował żelazny piec, bo radca dworu miał drewna pod dostatkiem. Atje sie-

dział z książką przed stajenną lampą, a my przysłuchiwaliśmy się mu w napięciu. Otwierał się przed nami nowy świat. Siedzieliśmy półnaczy w kucki w przegrzanym pomieszczeniu, ubrani jedynie w krótkie spodnie i buty z cholewami, i czasem Atje polecał nam przebiec okrażenie w lodowatym parku, żeby nas zahartować.

Latem przebywaliśmy teraz zawsze na moczarach w Uhlenhorst. Znaliśmy tam już każdy zakątek, każde torfowisko, każdą transzeję. Potrafiliśmy również rozpalać ogniska niewydzielające dymu. W parne dni polowaliśmy na żmije zygzakowate, których połów stanowił jedno ze źródeł dochodu naszego szefa. Burmistrz Uhlenhorst płacił trzy grosze za sztukę. Atje Hanebut łączył to ze swoimi próbami na odwagę.

Zwierzęta wychodziły z ukrycia w określonych porach i leżały wyciągnięte albo zwinięte na groblach przez moczary. Trzeba było mieć wprawne oko, żeby je dostrzec. Musieliśmy je najpierw upolować, przygniatając je do ziemi rozwidlonym prętem wierzbowym i zabijając uderzeniami szpicruty. Następny stopień wtajemniczenia polegał na tym, by pochwycić je żywe i trzymać za miejsce za głową do czasu, aż Atje pozwolił im się wśliznąć do małego worka. Były to okazy do terrariów; lepiej za nie płacono. Potem musieliśmy uciekające zwierzę chwytać za koniec ogona i trzymać wysoko w wyciągniętej ręce. Był to bezpieczny uchwyt; swobodnie zwisająca żmija mogła się unieść jedynie na jedną trzecią swej długości i w tej pozycji była oceniana przez Atjego Hanebuta. Jeśli była okazem do terrarium, a więc wyróżniała się wielkością lub ubarwieniem, wędrowała do worka, w przeciwnym razie rzucano ją na ziemię i masakrowano. Zdarzały się całkowicie czarne sztuki, „piekielne żmije”, u których zygzakowate pręgi zlewały się z barwą reszty ciała. Były one szczególnie poszukiwane przez amatorów.

Kto przez jakiś czas brał udział w tych wypadach na moczary i został przez Atjego Hanebuta uznany za godnego, mógł przystąpić do wielkiej próby odwagi. Atje wiedział to, co wiedzą wszyscy łowcy węzów: że wąż, którego opuszcza się na trzymaną niżej dłoń, układa się na niej jak na każdym innym podłożu, pod warunkiem że zachowa się spokoj. Zwierzę nie uważa ręki za wrogi obiekt.

Chodziło więc o to, by zmię wskazaną przez szefa – a wybierał do tego jedynie najdorodniejsze sztuki – podnieść i prawą ręką powoli opuścić na płaską lewą dłoń, do której zwierzę przywierało. To cud, że nikt nie został przy tym ukąszony, choć, jak powiedziałem, Atje nie dopuszczał do tej próby każdego. Wiedział, czego można się po kimś spodziewać.

Co się mnie tyczy, to wspominał to jako jeden z najbardziej nieprzyjemnych momentów mojego bogatego w takie chwile życia, gdyż zwierzęta te budziły we mnie odrazę i ukazywały mi się w przerażających snach. Uczucie unicestwienia przeszywało mnie niczym ostrze miecza, gdy poczułem na dłoni chłodną, trójkątną głowę. Stałem jednak nieruchomo jak posąg. Tak wielkie było moje pragnienie, by zastosować się do woli szefa, wywołać na jego twarzy uśmiech, wyróżnić się w jego oczach. Po tej próbie mogliśmy nazywać go jego wojennym imieniem, które przysięgaliśmy zataić przed wszystkimi innymi, sami również otrzymywaliśmy imiona i należeliśmy do grona jego nieodstępnych towarzyszy. Już jako chłopiec wiedział, jak zdobywa się władzę nad ludźmi.

Hanebut odziedziczył zatargi z Kozakami. Utrzymywały się one od pokoleń, być może nawet od zamierzchłych czasów, gdy rozmaite plemiona osiedlały się na obu brzegach trzęsawiska. Atje uczynił się naszym przywódcą, chociaż właściwie lepiej pasowałby po przeciwnej stronie. Znajdowała się tam zrosnięta w jedną całość gmatwanina chat, altan, ogrodów owocowo-warzywnych i małych gospodarstw rolnych, w którą jako gimnazjaliści nie mogliśmy się zapuścić bez narażenia się na baty. Odplacaliśmy za to Kozakom na ulicy Winnej. Z powodu naszych czerwonych czapek byliśmy przez nich nazywani gilami. Nikt z obydwu obozów nie odważyłby się wejść samotnie na wrogie terytorium. Do starć dochodziło zwykle podczas jazdy na łyżwach albo też wczesną jesienią, kiedy puszczałyśmy latawce.

Włączywszy się w nasze zwady, Atje Hanebut wprowadził udoskonalenia. Należała do nich służba rozpoznawcza tropicieli śladów oraz, jako broń, wykonana z rozwidlonej gałęzi proca, z której strzelało się za pomocą gumki. Używaliśmy do tego śruciny albo szklanych kulek. Jak to zwykle

z takimi ulepszeniami bywa, proca pojawiła się wkrótce również u Kozaków, którzy po prostu strzelali kamieniami. Prowadziło to do ciągłych potyczek.

Tego rodzaju zwady znajdują zwykle zwieńczenie w ekscesach, które również kładą im kres, wywołując interwencję neutralnych mocarstw. Tak samo było i tutaj. Któregoś przedpołudnia rozeszła się pogłoska, że pewnemu uczniowi czwartej klasy, a dokładniej owemu Clamorowi Boddsekowi, któremu przydarzyła się historia z talarem, w drodze do szkoły wybito z procy oko. Okazało się później, że obrażenie było mniej poważne, niż początkowo pod wpływem emocji sądzono. Tamtego dnia jednak wszyscy byli niezwykle wzburzeni.

Zebraliśmy się zaraz po posiłku u Atjego Hanebuta, który niezwłocznie zarządził ekspedycję karną. Moja matka obchodziła akurat urodziny i miał się odbyć uroczysty podwieczorek z kawą, otrzymałem również wcześniej od rodziców nowy garnitur; ale po przełknięciu z trudem ostatniego kęsa, bez przebierania się, wciągnąłem jak wszyscy pozostali buty z cholewami i włożyłem do kieszeni procę. Sprawa z okiem zaprzętała mnie bez reszty. Po prostu do niczego innego nie miałem głowy.

Kiedy wszyscy się zgromadzili, opuściliśmy przez uszkodzony żywopłot park radcy dworu, podążając gęsiego za Atje Hanebutem. Był to gorący dzień, a my gotowaliśmy się z gniewu, Atje być może najmniej.

Do parceli radcy dworu przylegał od strony łąki ogród pewnego prywatnego docenta. Uczony ten miał zwyczaj w upalne dni oddawać się studiom w swojej oranżerii, która wbijała się w ogród i której drzwi trzymał z obu stron otwarte. Ponieważ śpieszyliśmy się, a prosta droga jest najkrótsza, Atje Hanebut wpadł do pracowni docenta. Zanim przerażony naukowiec, który zerwał się z miejsca, by ratować swoje fruujące papiery, pojął, co się dzieje, Atje wyleciał już przez drugie drzwi, a za nim tuzin chłopców w butach z cholewami. Następnie przedarliśmy się przez żywopłot przylegający do wielkiej łąki, pokonaliśmy płaski teren i wtargnęliśmy do obozu Kozaków.

Drogi między żywopłotami i ogrodzeniami leżały w południowym świetle. Znajdowaliśmy się na zakazanym terenie. Nasza grupa rozdzieliła się. Ja wciąż jeszcze biegłem z trzema lub czterema innymi za Atje Hanebutem. Wybiegając zza zakrętu, ujrzeliśmy Kozaka idącego w naszą stronę. Był to pojedynczy uczeń z tornistrem na plecach. Prawdopodobnie musiał odsiadywać po lekcjach; jeśli tak, to miał tego dnia pecha.

Gdy tylko nas rozpoznał, odwrócił się i popędził jak łasica z powrotem tą samą drogą. Rzuciliśmy się za nim w pościg. Z pewnością by uciekł, gdyby z bocznej ścieżki nie wypadła inna grupa, odcinając mu drogę. Był osaczony. Jeden schwycił go za tornister, a pozostali podbiegli z obu stron i posypał się na niego grad ciosów.

Z początku wydawało mi się całkowicie w porządku, że pokutuje on za oko Clamora Boddsieka, i to z nawiązką. Był to drobny chłopiec, który się prawie nie bronił i najpierw stracił tornister, a potem czapkę. Zaczął też krwawić z nosa, choć niezbyt mocno. Zresztą nie ja pierwszy to zauważyłem, ale inny chłopiec, który nie zdał wcześniej próby odwagi, a nawet nie chciał jej zdawać, lecz raczej przez przypadek do nas dołączył. Nazywał się Weigand, nosił okulary i właściwie nie pasował do nas. Właśnie ów Weigand najpierw to zauważył; słyszałem, jak woła: „Przecież już krwawi”.

Teraz ja również to dostrzegłem i scena nappełniła mnie odrazą; siły były zbyt nierówno rozłożone. Zobaczyłem, że nasz szef bierze zamach do kolejnego ciosu; Kozak stał teraz oparty plecami o płot ogrodu. Naprawdę miał dosyć. Uwiesiłem się Atjemu na ramieniu i powtórzyłem: „Przecież już krwawi”.

Do tego gestu nie skłoniła mnie niesubordynacja. Sądziłem po prostu, że Atje nie zauważył jeszcze, jak Kozak krwawi, i chciałem mu to uświadomić. Dlatego nie schwyciłem go za ramię i nie wypowiedziałem tych słów jak ktoś, kto chce drugiemu przeszkodzić, lecz jak ktoś, kto chce mu zwrócić uwagę na pomyłkę. Weigand jako pierwszy spostrzegł nadużycie, a ja przekazałem jego wiadomość szefowi. O tym, że chodzi o nadużycie i że nie ma co do tego dwóch zdań, byłem przekonany. Sądziłem, że Atje położy mu kres.

Myliłem się jednak. Atje odepchnął mnie i spojrzał na mnie z najwyższym zdumieniem. Najwyraźniej nie uważał za wynik nadużycia, lecz za rzecz najzupełniej w porządku, że Kozak krwawi. Potem ponownie się zamachnął i uderzył mnie w twarz. Jednocześnie usłyszałem, jak krzyczy: „Dowalcie mu”, i wszyscy rzucili się na mnie. Byli to moi najlepsi przyjaciele, którzy znali mnie znacznie dłużej niż Atjego Hanebuta. Wystarczyło jedno jego słowo, by potraktowali mnie jako wroga. Tylko Weigand się powstrzymał. Ale nie stanął również po mojej stronie. Ulotnił się; zapłaciłem za jego wielkoduszność.

Moje przerażenie było tak wielkie, że dostrzegałem wprawdzie spadające na mnie razy, ale ich nie czułem. Również mój nowy garnitur został mocno sponiewierany. Ale podarte ubranie należało do programu.

Tymczasem Kozak szybko podniósł czapkę i tornister i kiedy oni zajmowali się mną, dał drapaką. W końcu zostawili mnie w spokoju i odeszli. Pozostałem na miejscu, oparty o płot, z sercem tłukącym jak oszalałe. Słońce świeciło na zarośla oślepiającym blaskiem; wydawało mi się, jakby jego promienie barwiły na czarno zielone listowie. Miałem gorzki smak w ustach.

Długo stałem przy płocie, usiłując zaczerpnąć tchu, po czym dźwignąłem się i podążyłem w stronę ulicy Winnej. Trwało jakiś czas, zanim znalazłem wyjście z gmatwaniny ogrodów, w których nigdy wcześniej nie byłem. W końcu dotarłem do drogi granicznej.

W swoim oszołomieniu miałem uczucie, że tamci wracają. Słyszałem tupot podkutych żelazem butów i pośpieszne okrzyki.

– Tam jest, głupi gil, to był on, on to zrobił.

I zanim jeszcze dobrze pojąłem, co się dzieje, rzucili się na mnie rozjuszeni naszym wtargnięciem Kozacy. W mig mnie dopadli. Usłyszałem dryblasę, który był ich przywódcą:

– Świnie, w dwunastu napadać na chorego chłopaka. Oduczmy was tego.

Tym razem czułem uderzenia, a także kopniaki, kiedy leżałem na ziemi. Jeśli zachodziła przy tym jakaś sprzyjająca okoliczność, to co najwyżej ta,

że w zapamiętaniu przeszkadzali sobie nawzajem.

Osobliwe w takich razach jest to, z jaką ostrością spostrzegamy szczegóły. Zauważyłem na przykład, że w ścisku wokół mnie jeden chłopiec nie mógł się do mnie dopchać. Był wciąż na nowo odrzucany do tyłu; raz jego twarz bardzo się do mnie zbliżyła, między nogami pozostałych. Był to chłopiec, któremu wcześniej krew leciała z nosa; rozpoznałem go. Próbował kilkakrotnie dźgnąć mnie rylcem do pisania, który wyjął z tornistra, ale miał za krótkie ramię.

Rzecz niewątpliwie źle by się skończyła, gdyż byli całkowicie przekonani o swojej racji. Słysząc było, jak jeszcze inni śpiesznie przybywają z psami. Na szczęście drogą graniczną nadjechał wóz piwny i z kozła nieśpiesznie zsiadło dwóch woźniców odzianych w skórzane fartuchy. Uderzali długim batem w kotłowaną, zmieniając się przy tym. W ten sposób przywrócili porządek, a przy okazji mieli uciechę. Również mnie trafiło jedno bolesne uderzenie w małżowinę uszną. Gromada rozpierzchła się, a ja, bardziej martwy niż żywy, poszedłem chwiejnym krokiem do domu.

Kiedy skradałem się przez sień na schody, z bawialni wyszedł akurat ojciec. Uroczystość urodzinowa dawno się skończyła. Stałem przed nim w swoim ubraniu, w którym nic nie było całe poza wysokimi butami, z rozczochranymi włosami i zabrudzoną, trudną do rozpoznania twarzą. Musiał przypuszczać, że tego świątecznego dnia znowu biłem się w orszaku syna stangreta, i był to całkiem słuszny wniosek. Nie tylko zepsułem matce święto, ale również już pierwszego dnia podarłem na strzępy drogi garnitur, który jeszcze w południe sprawił mu taką przyjemność. Poza tym poskarżył się już prywatny docent.

Mój ojciec był spokojnym, dobrodusznym człowiekiem. Do tamtego czasu chyba nigdy mnie nie uderzył, chociaż często miałby do tego powód. Tym razem jednak oczy wyszły mu na wierzch i zrobił się czerwony na twarzy. Wymierzył mi dwa mocne policzki.

Tych uderzeń znowu nie poczułem, bo moje zaskoczenie było zbyt wielkie. Byłem bardziej wystraszony niż zraniony. Ojciec musiał to natych-

miast spostrzec, bo odwrócił się rozgniewany i odesłał mnie bez kolacji do łóżka.

Była to pierwsza noc, podczas której czułem się samotny. Potem miałem ich jeszcze wiele. Słowo „samotny” nabrało dla mnie nowego znaczenia. Nasze czasy nadają się do tego, by zapewnić właśnie to doświadczenie, i poczyniło je wielu, choć tak trudno jest je opisać.

Stary musiał później dowiedzieć się czegoś o tamtych zdarzeniach, bo po kilku dniach spróbował rozładować żartem atmosferę między nami, cytując strofę:

Trzykroć pod gradem kul
Szturmowaliśmy gorącą górę...

Pochodziło to z wiersza, którego musieliśmy się uczyć na pamięć i który był poświęcony dawno już zapomnianej bitwie, a mianowicie szturmowi na wzgórze Spichenen. Rzeczywiście trzykrotnie uczestniczyłem w potyczkach, nie licząc nawet rozwozicieli piwa.

Znowu dobrze układało się między nami, aczkolwiek jest osobliwe, że takiego uderzenia nie sposób zapomnieć, nawet wówczas, gdy obie strony niczego sobie bardziej nie życzą, jak tego właśnie. Cieleśny kontakt stwarza nowy stan rzeczy. Trzeba się z tym pogodzić.

Poświęciłem temu przeżyciu tak wiele miejsca dlatego, że obejmuje ono więcej niż jeden epizod. Powracało tak, jak w naszym życiu powracać może kobieta, wróg albo nieszczęśliwy wypadek. Powracało, chociaż w innym przebraniu, ale za to z tą samą obsadą. Kiedy zaczęły się asturyjskie sprawy, wiedzieliśmy, że tym razem skończą się żarty, chociaż do wielu rzeczy byliśmy przyzwyczajeni. W pierwszym mieście, do którego wkroczyliśmy, splądrowano wcześniej klasztor, rozbito w kryptach trumny i ustawiono zwłoki w groteskowych grupach na ulicach. Wiedzieliśmy wtedy, że przybyliśmy do kraju, w którym nie można liczyć na pobłażliwość. Przechodziliśmy obok sklepu rzeźnika, w którym na hakach powieszono ciała mni-

chów, z tablicą „Hoy matado”, co znaczy „świeżo zarżnięty”. Widziałem to na własne oczy.

Tego dnia ogarnął mnie wielki smutek; miałem pewność, że przeminęło wszystko, co się szanowało, co się czcilo. Słowa takie jak „honor” i „godność” stały się śmieszne. Słowo „samotny” znowu majaczyło w nocy nade mną. Haniebny czyn izoluje serca, jakby planeta zagrożona była wymarciem. Leżałem w gorączce i myślałem o Monteronie. Co on by powiedział, wkraczając w takie krajobrazy? Ale czas Monterona przeminął, a poza tym mężowie tacy jak Monteron nie przekroczyliby nawet progu. Padają już przed bramą, bo „Są raz na zawsze rzeczy, których nie chcę wiedzieć”.

Powtórzył się wówczas mój dzień ze Spicheren z tą samą obsadą, tyle że szef, którego powstrzymywałem, nie nazywał się już Hanebut. Nie chodziło już także o zwykły krwawiący nos. W grę wchodziły już bardziej uszy. Ci, którym pomogłem jak wtedy Kozakowi, i tym razem nie poczuwali się wobec mnie do wdzięczności, przeciwnie. Również Weigand pojawił się znowu; dbał teraz o moralne oblicze gazety o światowym zasięgu. Nikt nie wiedział tak dobrze, co należało wówczas zrobić, jak on, którego przy tym nie było.

Pierwszego Weiganda zapytałem zresztą później na dziedzińcu szkolnym, gdzie się podział, kiedy zaczęło się naparzenie. Przypomniało mu się, że nie odrobił lekcji. Potem powiedział jeszcze: „To było obrzydliwe, jak wszyscy się na niego rzuciliście”. Z przebiegu zdarzenia wykroił sobie dokładnie ten kawałek, który pasował do jego celów. *Così fan tutte* – trzymał się tego również i później.

Wszystko to przyszło mi do głowy, kiedy po moim nieprzyjemnym odkryciu coraz bardziej nieodparcie ogarniała mnie słabość. Choroba morska, z którą walczyłem, nie zapowiadała niczego dobrego; przeczuwałem, że powtórzy się to, co wycierpiałem po powstrzymaniu Atjego Hanebuta. U Zapparonego nie wywinąłbym się tak tanim kosztem. Próbowałem więc dodać sobie otuchy jak choremu dziecku. Mówiłem na przykład: „Odcięte uszy leżą na każdej autostradzie”. Albo: „Widziałeś już przecież nie takie rzeczy, a te nie dotyczą ciebie w najmniejszym stopniu. Teraz pożegnasz się po angielsku”.

Potem spróbowałem przywołać na pamięć epizody z *Wojny żydowskiej* Józefa Flawiusza, który od dawna należał do moich ulubionych historyków. W tamtych czasach jednak wszystko odbywało się inaczej. Z jakim niezłomnym przekonaniem, z jaką pewnością wyższego mandatu i odpowiednio do tego nieobciążonym sumieniem występowali partnerzy, Rzymianie, Żydzi w swych rozmaitych odłamach, ludy pomocnicze, załogi górskich twierdz, które broniły się do ostatniego mężczyzny, ostatniej kobiety. Nie było jeszcze dekadencjonalnej gadaniny, jak sto lat później u Tertuliana. Tytus wydawał okrutne rozkazy, lecz czynił to ze wzniosłym spokojem, jakby z jego ust przemawiało przeznaczenie. W historii musiały raz po raz wydarzać się okresy, w których działanie i świadomość prawa całkowicie się pokrywały, i to w powszechnym odczuciu, wśród wszystkich występujących przeciwników i stron. Być może Zapparoni znajdował się już znowu w takim okresie. Dzisiaj należało działać zgodnie z planem, wówczas nie liczyły się ofiary. Im ściślej trzymano się planu, tym mniejsze miały one znaczenie. Ludzie, którzy działali zgodnie z planem albo jedynie sądzili, że działają zgodnie z nim, przetaczali się przez miliony, a masy wiwatowały na ich cześć. Spieszony kawalerzysta, człowiek, który nigdy nie podniósł broni jak

tylko przeciw zbrojnym, wydawał się natomiast podejrzaną figurą. To musiało się skończyć. Trzeba było się również duchowo przesiąść do czołgu.

Miałem zresztą w kieszeni resztkę funtów Twinningsa; pomyślałem, że pójdę dzisiaj wieczorem z Teresą na kolację. Zaprowadzę ją do gospody Pod Starym Gamratem i będę dla niej miły. Z powodu swoich zmartwień zaniedbywałem ją. Powiem jej, że z Zapparanim nie wyszło, są jednak widoki na coś lepszego. Pójdę jutro do Twinningsa i porozmawiam z nim o tamtych posadach, o których jeszcze nie wspomniał, ponieważ uważał, że są poniżej moich oczekiwań. Mogłem przyjąć nadzór nad stołem gry. Człowiek wikłał się przy tym z pewnością w skandale, które źle się kończyły, jeśli nie było się śliskim jak piskorz. Trzeba było przyjmować napiwki. Starzy towarzysze, którzy wciąż jeszcze trochę grali, czego nauczyli się w lekkiej kawalerii, byliby z początku zdumieni, potem jednak podsuwaliby mi okrągły albo nawet graniasty żeton, kiedy by mieli dobrą passę. Przyzwyczaiałbym się do tego. Wiedziałem przecież, dla kogo to robię. I robiłem to chętnie, robiłbym jeszcze inne rzeczy. Zataiłbym to przed Teresą i mówiłbym jej, że chodzę do biura.

Rozwazałem to na wszystkie strony, lecz nie znajdowałem ukojenia. Cały statek kołysał się aż po czubek masztu. Myśli wciąż wędrowały do bajora, chociaż skrzętnie unikałem spoglądania w jego kierunku. Nadal trzymałem głowę wspartą na dłoni. Dymnoszary kreślił przed moim krzesłem szerokie ósemki.

Sytuacja ta była z pewnością zamierzona. Można to było wywnioskować już choćby z tego, że pan domu wciąż się nie zjawiał. Najwyraźniej czekał na jakiś rezultat albo kazał go wyczekiwać. Jakże jednak mogłoby być sensowne zakończenie? Nie miałem nigdy wyjść z parku. Czy powinienem wstać i wrócić na taras? Zachowywać się tam, jakby nic się nie stało? Niestety okazałem chyba zbyt wielkie emocje, dokonawszy odkrycia.

Jeśli jednak sytuacja była zaaranżowana, i to jako trudny do rozwikłania dylemat, to wiele zależało od tego, w jakiej mierze zdołam przejrzeć reżyserię; mogłem dostosować do tego moje zachowanie. Mogłem wprowadzić wyprzeczyć się tego, że widziałem obiekt, lecz być może korzystniej było odpowiedzieć na prowokację, jak tego ode mnie oczekiwano. To, że teraz trwałem w zadumie, nie mogło zaszkodzić, gdyż zapewne przewidziano, że poważnie potraktuję odkrycie i że wzbudzi ono we mnie przestrasz. Musiałem raz jeszcze przemyśleć ten przypadek, musiałem wysilić głowę.

Możliwość, że natrafiłem na gniazdo lemurów, jak sądziłem w początkowej konsternacji, wykluczyłem teraz nie tylko jako mało prawdopodobną, lecz z całą stanowczością. Takie roztargnienie, taki błąd reżyserii były nie do pomyślenia w obszarze Zapparonego. Tu nie działo się nic niezgodnego z planem i pomimo całego pozornego nieporządku dawało się odczuć, że wszystkie molekuly podlegają kontroli. Poczułem to zaraz po wejściu do parku. Kto zresztą z czystego roztargnienia pozwala, by w pobliżu jego mieszkania porozrzucane leżały uszy?

Jeśli więc sprawy przedstawiały się tak, że ten potworny widok był zaaranżowany, musiało to mieć związek z moją obecnością. Musiało to zostać włączone jako wykalkulowane capriccio do parady automatów. Wielkim panom zawsze zależało na wzbudzaniu podziwu i strachu. Wydane musiały zostać dyspozycje inscenizacyjne. A kto załatwił rekwizyty?

Trudno było sobie wyobrazić, by w zakładach Zapparonego, choć niemożliwe było w nich możliwe, trzymano na składzie uszy. Gdziekolwiek takie rzeczy się dzieją, choćby utrzymywano je w wielkiej tajemnicy, nieuchronnie rozchodzą się plotki. Wszyscy wiedzą to, czego nie wie nikt. Duch poliszynela krąży po okolicy.

Słyszało się przecież o niejednym, co działo się za kulisami u dobrego dziadka Zapparonego i – jak zniknięcie Carettiego – nie było rozgłaszane na cały świat. Mieściło się to jednak w granicach normalności. Ta rzecz nie pasowała do stylu Zapparonego. A w końcu przerastała również moje znaczenie. Czyż byłem bowiem kimś, na czyją cześć obcina się dwa albo trzy tuziny uszu? Nie przysłoby to do głowy nawet komuś o najbardziej wybujałej wyobraźni. A jako dowcip było poniżej smaku sułtana Dahomeju. Widziałem urządzenie domu Zapparonego, jego twarz, jego dłonie. Musiałem się pomylić, musiałem paść ofiarą przywidzenia. Powietrze w tym ogrodzie było parne, niemal zaczarowane, a kotłowanina automatów odurzyła mnie.

Znowu przyłożyłem więc do oczu lornetkę i skierowałem ją na bajoro. Słońce stało teraz na zachodzie i wszystkie czerwone oraz żółte odcienie stały się wyraźniejsze. Zważywszy wysoką jakość lornetki i bliskość obiektu, nie mogło teraz ulegać wątpliwości: musiały to być uszy, ludzkie uszy.

Czy jednak musiały to być *prawdziwe* uszy? A jeśli chodziło o atrapy, kunsztownie wykonane mamidła? Gdy tylko myśl ta przemknęła mi przez głowę, wydała mi się prawdopodobna. Wydatek był minimalny, a zamierzony efekt badania pozostawał w mocy. Słyszałem, że wolnomularze wkładają nawet woskowe zwłoki, do których nowy adept zostaje przyprowadzony przy niewyraźnym świetle i na polecenie członków starszyny musi wbić w nie nóż.

Tak, było możliwe, a nawet prawdopodobne, że zaserwowali mi łami-główkę. Dlaczego tam, gdzie latały szklane pszczoły, nie miałyby być wyło-żone woskowe uszy? Po chwili grozy przychodzi nagle rozwiązanie i weso-łość, niemal uczucie wybawienia. Było to nawet dowcipne posunięcie, choć dokonane moim kosztem – być może chciano mi dać do zrozumienia, że w przyszłości będę miał do czynienia z figlarzami.

Postanowiłem, że podejmę teraz grę i będę udawał głupca, zachowywał się tak, jakbym nie przejrzał pułapki. Znowu skryłem twarz w dłoni, lecz tym razem po to, by zataić narastającą we mnie wesołość. Potem raz jesz-cze wziąłem do ręki lornetkę. Obiekty były diabelnie dobrze wykonane – chciałyby się niemal powiedzieć, że przewyższały rzeczywistość. Ale ja nie zamierzałem dać się na nie nabrać. Zapparoni przyzwyczał nas wszak do takich rzeczy.

Teraz jednak ujrzałem coś, co wzbudziło moją nieufność i sprawiło, że ponownie wezbrało we mnie obrzydzenie. Na jednym z tych obiektów przysiadła wielka niebieska mucha, taka, jakie widywało się kiedyś przed sklepami rzeźnickimi. Choć widok ten był koszmarny, nie zachwiał jednak moim optymizmem. Jeśli dobrze oceniłem Zapparonię – czego bynaj-mniej nie śmiałem sobie przypisywać, lecz w odniesieniu do tej jego cechy gotów byłem pójść o każdy zakład – to nie mogło być inaczej. Orzeł albo reszka: Zapparoni albo król Dahomeju.

Jesteśmy przywiązani do swoich teorii i dopasowujemy do nich zjawi-ska. Co się tyczy muchy, cudeńko to było tak udane, że nie tylko moje oko, lecz również owady dawały się oszukać. Wiadomo przecież, że ptaki dzio-bały winne grona namalowane przez Zeuksisa. A kiedyś zauważyłem, jak mucha kwiatowa lata wokół sztucznego fiołka w mojej butonierce.

Poza tym kto zechciałby w tym parku stwierdzić pod przysięgą, co jest naturalne, a co sztuczne? Gdyby przeszedł obok mnie jakiś człowiek albo para zakochanych pogrążonych w intymnej pogawędce, nie dałbym sobie uciąć ręki, że są oni z krwi i kości. Zupełnie niedawno podziwiałem Romea i Julię na ekranie telewizora i mogłem się przekonać, że wraz z automata-mi Zapparonię rozpoczęła się nowa i piękniejsza epoka sztuki aktor-

skiej. Jakże wszyscy byli zmęczeni uszminkowanymi indywiduami, które z dziesięciolecia na dziesięciolecie coraz bardziej traciły na znaczeniu i którym tak bardzo nie do twarzy było z heroicznymi czynami i klasyczną prozą, nie mówiąc już o poezji. W końcu nie wiedziało się już, czym jest ciało, czym namiętność i śpiew, jeśli nie sprowadziło się Murzynów z Konga. Marionetki Zapparonego należały do innej kategorii. Nie potrzebowały szminki ani konkursów piękności, w których mierzy się biusty i biodra, lecz były wykonywane na miarę.

Nie zamierzam oczywiście twierdzić, że przewyższały ludzi – byłoby to absurdalne po tym wszystkim, co powiedziałem o koniach i jeźdźcach. Sądzę natomiast, że wyznaczały człowiekowi nową miarę. Kiedyś obrazy i posągi wpływały nie tylko na modę, lecz również na człowieka. Jestem przekonany, że Botticelli stworzył nową rasę. Tragedia grecka podwyższyła ludzką postać. To, że Zapparoni próbował czegoś podobnego ze swoimi automatami, zdradzało, że wzniósł się wysoko ponad środki techniczne, używając ich jak artysta i w celu tworzenia dzieł sztuki.

Dla czarodziejów, jakich Zapparoni zatrudniał w swoich pracowniach i laboratoriach, mucha była drobnostką. Tam, gdzie do inwentarza należą sztuczne pszczoły i sztuczne uszy, każdy uzna również możliwość istnienia sztucznej muchy. Widok ten nie powinien był mnie zatem oszołomić, chociaż był obrzydliwy i stanowił niepotrzebnie realistyczny rys.

Ponadto utraciłem przy tym wytężonym badaniu i obserwacji zdolność rozróżniania między tym, co naturalne, a tym, co sztuczne. W odniesieniu do pojedynczych obiektów rodziło to sceptycyzm, zaś w odniesieniu do postrzegania w ogólności miało ten skutek, że niedoskonale rozdzielało ono to, co było na zewnątrz i wewnątrz, co było pejzażem, a co wyobrażeniem. Warstwy nakładały się gęsto na siebie, mieniły się, mieszały swoją zawartość, swój sens.

Po tym, co wcześniej przeżyłem, wydawało się to przyjemne. Pocięjące było, że sprawa z uszami utraciła swój wewnętrzny ciężar. Niepotrzebnie się zdenerwowałem. Były one naturalnie sztuczne albo sztucznie naturalne, a w przypadku marionetek ból jest nieistotny. Nie sposób temu za-

przeczyć, pobudza to nawet do okrutnych żartów. Rzecz nie ma znaczenia, dopóki wiemy, że lalka, której wrywamy ramię, jest ze skóry, a Murzyn, do którego celujemy – z masy papierowej. Chętnie mierzymy do obiektów przypominających człowieka.

Tutaj jednak świat marionetek stał się bardzo potężny, wytworzył nawet swoją własną subtelną, przemyślaną grę. Upodobił się do świata ludzi i ożył. Możliwe stały się skoki, żarty, capriccia, o których rzadko się wcześniej myślało. Tutaj nie było już miejsca na defetyzm. Ujrzałem wejście do świata pozbawionego bólu. Nad tym, kto przekroczył jego próg, czas nie miał władzy. Nie przejmowała go zgroza. Wszedłby jak Tytus do zburzonej świątyni, wypalonego sanktuarium. Czas trzymał dla niego w zanadrzu swoje nagrody, swoje wieńce.

W tym przypadku, czułem to, czekała mnie u Zapparonego wielka kariera. Musiałem zatem dać do zrozumienia, że przypadło mi do gustu pokazowe danie, jakie tam wystawił – że zaostrzyło mój apetyt. W tym przypadku pojmowałem je jako symbol panowania, jako coś w rodzaju różg i toporów, które przysługiwały rzymskiemu konsulowi. Jednakowoż – jeśli udało mi się przemóc samego siebie i przewyciężyć swój defetyzm, to nie musiałem kroczyć jako mały liktor przed Zapparonom. Mogłem spokojnie konkurować z Fillmorem.

Często już jednak dochodziłem do tego punktu, gdy moje porażki unieszczęśliwiały mnie. Na ogół trwonilem wtedy czas w kłopotliwym położeniu tak jak tutaj i cofałem się przed jakąś brutalnością, choć są one dzisiaj zupełnie nieodzowne. Również tutaj można było iść o zakład, że choć roztrząsałem idee miejskiego tyrana, nie byłbym nawet w stanie dotknąć jednego z tych uszu, niezależnie od tego, czy były sztuczne, czy też nie. To już było śmieszne.

Co by Zapparoni pomyślał, gdybym dotknął któregoś z uszu? Ostrzegał mnie tylko przed pszczołami. Prawdopodobnie szukał właśnie kogoś, kto jest w stanie dotykać uszu. Wziąłem więc jeden z podbieraków, które stały oparte o altanę, i udałem się z nim do bajora. Tam wybrałem jedno z uszu i wyłowilem je. Było to duże i piękne ucho, ucho, jakie noszą dorośli mężczyźni, i wspaniale podrobione. Żałowałem, że nie mam lupy, ale mój wzrok był wystarczająco ostry.

Położyłem moje trofeum na ogrodowym stole i spokojnie dotknąłem go ręką. Musiałem przyznać, że imitacja jest doskonała. Artysta posunął naturalizm tak daleko, że pomyślał nawet o kępce włosów, jakie charakteryzują męskie ucho w dojrzalszym wieku i które zwykle przycina się żyłką. Zauważył również małą bliznę – był to romantyczny rys. Zauważało się wy-

rażnie, że u Zapparonego ludzie pracują nie tylko dla pieniędzy. Byli to artyści odznaczający się ponadnaturalną dokładnością.

Dymnoglowy znowu podleciał bardzo blisko i unosił się w powietrzu z wysuniętymi ślimaczymi rogami niemal bez ruchu, nieznacznie tylko drżąc. Nie poświęcałem mu uwagi, ponieważ oczy miałem utkwione w moim obiekcie; odcinał się ostro od zielonego blatu stołu.

Uczymy się już w szkole, że przedmiot, któremu przyglądamy się przez dłuższy czas, ukazuje nam się na nowo jako rodzaj wizji, gdy odwrócimy od niego wzrok. Widzimy go na ścianie, na którą patrzymy, albo we wnętrzu oka, gdy przymkniemy powieki. Często zarysowuje się on z wielką ostrością, ukazując nawet szczegóły, których świadomie nie dostrzegamy. Zmienia się jedynie barwa powidoku, który pojawia się na dnie oka w nowym świetle. W ten sposób również ucho, gdy podczas obserwacji na krótko ogarnęła mnie słabość, unosiło się przed moim okiem w łagodnie zielonym blasku, podczas gdy blat stołu miał kolor krwistej czerwieni.

Podobnie istnieje duchowy powidok przedmiotów, które nas zafascynowały, intuicyjny przeciwobraz ukazujący ową część spostrzeżenia, którą stłumiliśmy. Takie stłumienie występuje przy każdym spostrzeżeniu. Postrzegać znaczy pomijać.

Przyglądając się wcześniej uchu, odczuwałem pragnienie, aby to był fantom, dzieło sztuki, ucho manekina, które nigdy nie zaznało bólu. Teraz jednak ukazało mi się jako powidok i ujawniło wewnętrznemu oku, że od początku i przez cały czas, od kiedy je ujrzałem, uważałem je za punkt ogniskowy tego ogrodu i że jego widok uformował we mnie słowo „słuchaj”. Wówczas w Asturii wywlekali zwłoki z grobów, aby wziąć rozbrat z człowieczeństwem. Wiedzieliśmy, że po takim przyjęciu może nas czekać jedynie zło – że weszliśmy w bramy krainy umarłych.

Tutaj jednak działał duch negujący obraz wolnego i nienaruszonego człowieka. To on wymyślił tę obelgę. Chciał posługiwać się w swych obliczeniach „ludźmi mechanicznymi”, jak już od dawna posługiwał się mechanicznymi końmi. Chciał jednostek, które są równe i podzielne. Aby to się stało, człowieka należało zniszczyć, tak jak przed nim zniszczono ko-

nia. Dlatego przy bramach wejściowych jaśnieć musiały takie znaki. Kto je apróbował lub choćby nie potrafił właściwie ocenić ich znaczenia, ten mógł być przydatny.

To był haniebny znak, bilet wstępu. W podobny sposób stręczyciele chcący nas zaprowadzić w podejrzone miejsca wciskają nam do ręki obsceniczny obrazek. Mój demon ostrzegł mnie wcześniej.

Kiedy przejrzałem intrygę, ogarnęła mnie ślepa wściekłość. Stary wojak, lekki kawalerzysta i uczeń Monterona, antyszambrował przed sklepem, w którym na pokaz wystawiono obcięte uszy, podczas gdy w głębi rozlegał się chichot. Dotychczas walczyłem jeszcze dobrą bronią i odszedłem ze służby, zanim obrzydliwi szalbierze wykoncypowali swe mordercze pozoگی. Tutaj przygotowywano nowe cudeńka, w lilipucim stylu. Jak zawsze podstawowa troska dotyczyła zasłon, by niespodzianka mogła dojrzeć. Nie musieli się obawiać o brak policjantów; istniały już wszak kraje, w których każdy inwigilował każdego i denuncjował samego siebie, jeśli to nie wystarczało. To nie był interes dla mnie. Zobaczyłem dosyć i wolałem kasyno.

Przewróciłem stół i stopą zepchnąłem ucho z drogi. Dymnogłowy bardzo się teraz ożywił, wznosił się i opadał jak zwiadowca, który chce obejrzeć jakieś zdarzenie z każdej perspektywy. Sięgnąłem po torbę golfową i wyszarpnąłem z niej jeden z mocniejszych kijów, którym szeroko się zamachnąłem. Gdy ustawiłem się w pozycji, rozległo się krótkie ostrzeżenie, takie, jakie słyszy się w schronach przeciwlotniczych. Nie dałem się jednak zbić z tropu, lecz okręciwszy się wokół swojej osi, trafiłem dymnogłowego płaską częścią kija i roztrzaskałem go. Zobaczyłem, jak z brzucha wyskakuje spirala. Po tym nastąpiła seria rozbłysków, jakby eksplodowała mała petarda, i znad kija uniósł się czerwonobrunatny obłok. Znowu usłyszałem głos: „Zamknąć oczy!”. Trafił mnie bryzg czegoś, wypalając dziurę w rękawie mojej marynarki. Kolejny głos zawołał, że maść do skóry jest w pawilonie. Znalazłem ją w czymś w rodzaju torby z zestawem przeciwlotniczym, którą – jak sobie przypomniałem – widziałem już wcześniej. Ramię nie no-

siło śladów urazu. Również eksplozja nie wzbudziła we mnie poczucia zagrożenia.

Okrzyki brzmiały syntetycznie, jakby pochodziły z mechanicznego słownika. Działały otrzeźwiająco jak znaki drogowe. Dałem się ponieść emocjom, nie radząc się głowy. Był to mój stary błąd, który popełniałem w obliczu prowokacji. Musiałem się go wyzbyć. W kasynie na przykład zamierzałem znieść nawet zniewagi i wierzyłem, że jestem w stanie to zrobić. Przede wszystkim nasuwało się jednak pytanie, jak się stąd wydostać, bo to, że o posadzie nie może już być mowy, było oczywiste.

Straciłem również całkowicie ochotę na dalsze zajmowanie się prywatnymi zamięłowaniami Zapparonego. Prawdopodobnie za dużo już ich widziałem.

Słońce chyliło się teraz ku zachodowi, lecz wciąż jeszcze rzucało ciepły blask na ścieżki i w parku znowu było spokojnie, a nawet zacisznie. Wokół kwiatów brzęczały jeszcze pszczoły, prawdziwe pszczoły, podczas gdy upiorne automaty zniknęły. Przypuszczalnie szklane istoty miały dzisiaj swój wielki dzień, manewry.

Dzień był długi i gorący; stałem oszołomiony przed altaną i wpatrywałem się w drogę. Zobaczyłem, jak na zakręcie pojawia się Zapparoni i idzie w moją stronę. Jak to się stało, że na jego widok ogarnął mnie lęk? Nie mam na myśli owej trwogi, jaką budzi władca, kiedy widzimy go zbliżającego się ku nam. Oczekiwałem go raczej z nieokreślonym poczuciem winy i nieczystego sumienia. Tak samo stałem w poszarpanym garniturze i ze spoconą twarzą, gdy ojciec wszedł do sieni. I dlaczego próbowałem wsunąć stopą ucho pod przewrócony stół, tak by nie padło na nie jego spojrzenie? Robiłem to nie tyle po to, by ukryć swoją ciekawość, ile z powodu uczucia, że nie jest to widok dla niego.

Wolnym krokiem szedł drogą w moją stronę. Potem zatrzymał się przede mną i spojrzał na mnie swoimi bursztynowymi oczami. Były teraz ciemnobrązowe, z jasnymi inkluzjami. Jego milczenie przytłaczało mnie. W końcu usłyszałem jego głos.

– Mówiłem panu przecież, żeby miał się pan na baczności przed pszczołami.

Wziął do ręki kij golfowy i przyjrzał się nadzartej kwasem metalowej główce. Wciąż jeszcze pieniała się ona. Jego spojrzenie przemknęło również po dymnoszarych odłamkach i zatrzymało się na rękawie mojej marynarki. Miałem uczucie, że nic nie umyka jego uwadze. Potem powiedział:

– Trafił pan jeszcze jedną z nieszkodliwych.

Nie zabrzmiało to nieprzyjaźnie. Nie miałem pojęcia o cenie takiego robota. Prawdopodobnie przewyższała ona znacznie sumę wszystkich poborów, do jakich miałbym prawo, gdybym uzyskał zatrudnienie, zwłaszcza że chodziło zapewne o prototyp. To cacko musiało być wyładowane aparaturą.

– Był pan lekkomyślny. Takie mechanizmy nie są piłkami golfowymi.

To również zabrzmiało życzliwie, jakby nie bardzo potępiał moje golfowe uderzenie. Nie mogłem nawet przysiąc, że dymnogłowy chciał zrobić coś złego. Puściły mi nerwy, jak to się mówi. Jego unoszenie się w powietrzu, gdy poddawałem badaniu ucho, rozgniewało mnie. Lecz samo ucho czy raczej uszy były wystarczającym powodem. Na taki widok większość ludzi traci humor. Ale nie chciałem się bronić. Byłoby najlepiej, gdyby wcale go nie dostrzegł.

On już je jednak wypatrzył. Poruszył je lekko kijem golfowym, po czym odwrócił stopą, czubkiem pantofla, kręcąc przy tym głową. Miał teraz zupełnie wyraz twarzy rozdrażnionej papugi. Oczy rozjaśniły się, uzyskując czysto żółtą barwę, i zniknęły z nich inkluzje.

– Oto ma pan przykład towarzystwa, jakim mnie pokarało. W szpitalu dla wariatów można ich przynajmniej trzymać pod kluczem.

Kiedy ustawiłem stół i usiadłem obok niego, opowiedział historię uszu. Musiały znowu przejść transformację w moim umyśle. Były rzeczywiście odcięte, lecz bezboleśnie, i również moja obecność tutaj miała coś wspólnego z tym okaleczeniem.

Trzeba mi ponadto wiedzieć, wyjaśnił Zapparoni, że wspaniałe wrażenie czynione przez marionetki naturalnej wielkości w rodzaju tych, jakie podziwiałem w rolach Romea i Julii, polega nie tyle na wiernej imitacji ciała, ile na przemyślanych odstępstwach. Co się tyczy twarzy, uszy odgrywają w niej niemalże większą rolę niż oczy, których kształt i ruch, nie mówiąc już o barwie, można udoskonalić. U szlachetnych typów usiłuje się pomniejszyć uszy, upiększyć ich budowę, barwę i sposób osadzenia, a także zapewnić im pewną mobilność podkreślającą mimikę. Ta mobilność daje się jeszcze zauważyć u zwierząt i prymitywnych ras, podczas gdy u ludów cywilizowanych zanikła ona zupełnie. Uszy muszą również odbiegać nieco

od siebie z punktu widzenia symetrii. Dla artysty jedno ucho nie jest takie samo jak drugie. Publiczność należało wyedukować w tym względzie. Należało nauczyć ją wyższej anatomii. To mogło się dokonać tylko na długą metę. Nie można było oszczędzić czasu ani wysiłku. Dziesięciolecia mogły na to nie wystarczyć.

Ale dość już tego, nie chciał odbiegać od tematu. Co się tyczyło wspomnianych przed chwilą i jeszcze innych detali, to wykonywał je dla marionetek signor Damico, będący niedościgłym modelatorem uszu. Signor Damico był z urodzenia neapolitańczykiem.

Oczywiście takie uszy nie są po prostu przymocowywane albo wykonywane na obiekcie, jak robi to snycerz, rzeźbiarz czy odlewacz wosku. Muszą raczej być łączone z ciałem organicznie, w sposób należący do tajników nowego typu marionetek.

Trudność pracy przy marionetkach powiększa jeszcze i to, że przy każdym egzemplarzu zatrudnionych jest wiele rąk. Prowadzi to do sporów i scen zazdrości między artystami, którzy nie cierpią pracy zespołowej. W ten sposób signor Damico poróżnił się ze wszystkimi pozostałymi, i to z powodu niewartych wspomnienia błahostek. Krótko mówiąc, nie chciał mieć z nimi więcej do czynienia. Aby zaś nie skorzystali również z jego pracy, wszystkim marionetkom, przy których razem pracowali, obciął brzytwą uszy. Potem ulotnił się i można było mieć obawy, że gdzie indziej uprawia swoją sztukę. Od czasu, gdy nowe filmy odniosły sukces, również inni próbowali swych sił w budowie marionetek.

Co można było zrobić? Gdy składano na niego doniesienie, powoływał się na prawo autorskie. Ośmieszano się tylko. Rzucano prasie smakowity kąsek. A marionetkom tej klasy ponownie przymocować uszy było równie trudno jak prawdziwemu człowiekowi, a może nawet jeszcze trudniej.

Za sprawą tego zdarzenia Zapparoni uświadomił sobie znowu swą niešťczęsną zależność. Gdyby signor Damico wrócił, wybaczyłby mu. Człowiek ten był niezastąpiony, bo uszu nie robi się tak łatwo, jak robi się dzieci. Wypadek ten pokazał poza tym, że nadzór pozostawia wiele do życze-

nia. Skłoniło to Zapparonego do zwrócenia się do Twinningsa. Ten zaś wysłał do niego mnie.

Nawiasem mówiąc, Zapparoni rzeczywiście z mojego powodu kazał wrzucić uszy do bajora i obserwował mnie. Była to praktyczna część mojej prezentacji. Co się zaś tyczy wyniku, to nie zdałem; nie nadawałem się na przewidziane przez niego stanowisko, o którego charakterze nie udzielił więcej informacji. Było to stanowisko dla ludzi, którzy, cokolwiek by się działo, zachowują chłodną głowę i nie oburzają się pochopnie. Oburzanie się oznaczało złożenie broni. Powinienem był na pierwszy rzut oka rozpoznać w uszach zabawki, czerwona barwa dowodziła ich sztuczności. Również Caretti się nie nadawał; siedział teraz w domu wariatów w Szwecji. Nie można go było wypuścić. Dobrze jeszcze, że lekarze uważali jego paplaninę za czystą fantazję, za bajdurzenie człowieka dręczonego przez halucynacje.

Mogłem zatem jechać do domu. Czułem, że będę wracał myślą do tego dnia. Spadł mi z serca kamień, chociaż myślałem o Teresie; wiedziałem, że będzie smutna.

Tymczasem raz jeszcze poproszono mnie, bym usiadł. Zapparoni przygotował dla mnie niespodziankę. Zdawało się, że w opinii o białych flagach, jakiej zażądał ode mnie w bibliotece, znalazł jednak pewne zalety, aczkolwiek z innych punktów widzenia niż te, na których mu zależało. Stwierdził, że mam pewne wyczucie parytetu, równowagi, tego, co przysługuje częściom jakiejś całości, i że być może oprócz psiej gwiazdy mam w horoskopie Wagę. Wiedział również, że w latach, gdy pracowałem przy odbiorze technicznym czołgów, miałem dobre oko do wynalazków, chociaż znajdowałem się tam na czarnej liście.

Otóż w jego zakładach codziennie zgłaszane są wynalazki, proponowane modyfikacje, planowane usprawnienia. Z pracownikami wprowadzić trudno sobie poradzić i często są oni utyskiwaczami pokroju tego neapolitańczyka, lecz są to genialni faceci i trzeba się pogodzić z ich słabościami, traktując je jako ujemną stronę ich zalet. Mogę sobie wyobrazić, że przy tych dwoistych predyspozycjach nie brakuje ani dobrych projektów, ani

wszystkich tych kłótni i sprzeczek, jakie kwitną między artystami. Każdy uważa swoje rozwiązanie za najlepsze i każdy twierdzi, że to on pierwszy wpadł na dobry pomysł. Nie można z tym iść do sądu; brakuje tutaj wewnętrznego arbitrażu. Przydałby się człowiek, który łączyłby w sobie bystre oko do spraw technicznych z umiejętnością wyważania racji, co rzadko występuje w połączeniu. Mógłby nawet być nieco staroświecki w swoich wyobrażeniach.

– Rotmistrzu Richard, czy pan by się tego podjął? Dobrze, zatem zapowiem pana w biurze. Mam nadzieję, że nie urazi pana również zaliczka.

W ten sposób Twinnings otrzymał jednak swoją prowizję, przynajmniej od Zapparonego; bo starymi towarzyszami opiekował się nieodpłatnie.

Mógłbym teraz zakończyć jak w powieściach, w których wszystko prze do szczęśliwego finału.

Tutaj obowiązują inne zasady. Dzisiaj żyć może tylko ten, kto nie wierzy już w happy end, kto świadomie zeń zrezygnował. Nie istnieje szczęśliwe stulecie, ale istnieje chwila szczęścia i istnieje wolność w chwili. Nawet Lorenz, gdy zawisł w nicości, miał jeszcze chwilę wolności; mógł zmienić świat. Mówi się przecież, że podczas takiego upadku całe życie raz jeszcze przesuwa się przed oczami. To jedna z tajemnic czasu. Chwila zostaje poświęcona wieczności.

Być może wkrótce wyjaśnię szczegółowo, jak rzecz się miała z tą posadą sędziego rozejmczego i co przydarzyło mi się we włościach Zapparonego. Dzisiaj weszliśmy zaledwie do przeddomowych ogrodów. Tylko ten, kto nie zna mocy przeznaczenia, będzie sądził, że zgasła tym samym moja psia gwiazda. Nie jesteśmy w stanie wyrwać się z naszych ograniczeń, z naszego najgłębszego wnętrza. Dlatego również się nie zmieniamy. Oczywiście przeobrażamy się, ale jedynie w obrębie naszych ograniczeń, w wytyczonym kręgu.

To, że u Zapparonego nie będzie brakowało niespodzianek, wynika chyba z tej relacji. Był zagadkowym człowiekiem, mistrzem masek przybyłym z pierwotnej puszczy. Kiedy zbliżał się do mnie w ogrodzie, ogarnęła mnie nawet głęboka cześć dla niego, jakby kroczyli przed nim liktorzy. Jego ślady zacierały się za nim. Wyczuwałem głębię, na której się wspierał. Niemal wszyscy są dzisiaj niewolnikami materialnych środków. Dla niego była to gra. Oczarował dzieci, śniły o nim. Za fajerwerkami reklamy, peanami opłaconych pismaków stało coś innego. Również jako szarlatan był wielki. Każdy zna tych południowców, nad których kołyską stał Jowisz w dobrym aspekcie. Często zmieniają oni świat.

Tak czy inaczej, zapłaciłem mu frycowe. Kiedy mnie sprawdzał, a potem umieszczał na posadzie, czułem, jak budzi się we mnie miłość. To piękne, kiedy ktoś przychodzi i mówi do nas: „Rozegramy partię – ja ją przygotuję”, i kiedy uważamy, że jest w stanie to zrobić. To zdejmuje z nas duży ciężar. To piękne, kiedy ktoś, choćby nawet był to ktoś zły, potrafi jeszcze wejść w rolę ojca.

Były tam komnaty, do których jeszcze nie zaglądałem, i wielkie pokusy, aż w końcu moja psia gwiazda również tutaj zwyciężyła. Kto jednak wie, czy moja psia gwiazda nie jest moją szczęśliwą gwiazdą? Dopiero koniec to pokaże.

Tego wieczora jednak, gdy jechałem kolejką podziemną z powrotem do zakładu, wierzyłem mocno, że zgasła ona. Jeden z samochodów, które podziwiałem rano, zawiózł mnie do miasta. Tak się złożyło, że tu i ówdzie otwarte były jeszcze sklepy; mogłem sprawić sobie nową marynarkę. Kupiłem także piękną letnią sukienkę dla Teresy, w czerwone paski, przypominającą tamtą, którą miała na sobie, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy. Pasowała jak ulał; dokładnie znałem jej wymiary. Dzielili ze mną wiele godzin, zwłaszcza tych gorzkich.

Poszliśmy coś zjeść; był to jeden z dni, których się nie zapomina. Już wkrótce zaczęło się zacierać to, co spotkało mnie w ogrodzie Zapparonego. W technice jest wiele iluzji. Wiernie zapamiętałem jednak słowa, które Teresa mi powiedziała, zapamiętałem uśmiech, jaki im towarzyszył. Był to uśmiech mocniejszy od wszystkich automatów, promyk rzeczywistości.

EPILOG

Seminarium historyczne jest jedną z podsekcji kursu powtórkowego. Odbywało się w opuszczonym klasztorze, który ciągnął się wzdłuż rzeki, pozlepiany z budynków wzniesionych w rozmaitych stylach. Stan ogólnego zniszczenia łagodził ich galimatias. Lata stąpały po nim jak goście po dywanie i przyciemniły wzór.

Wykłady były obowiązkowe; musiałem uczestniczyć w nich trzy razy w tygodniu. Rozpoczynały się w godzinach wieczornych i kończyły przeważnie dopiero po północy. Wciąż często widzę w snach, jak błąkam się po ogromnym gmachu i w półmroku odcyfrowuję wywieszki na drzwiach podające tematy zajęć. Pismo było trudne do odczytania w porze, gdy korytarzami fruwały już nietoperze. Bywało, że się myliłem i trafiałem do osobliwych kręgów.

Również na seminarium historycznym panował irytujący zwyczaj serii. Jakiś redaktor, kierownik kursu, rektor akademii, mający niewiele albo nic do powiedzenia, chce zapewnić sobie poważanie, upychając szereg tematów w jedne ramy i nadając w ten sposób nowy wymiar nudzie. To niewiarogodne, jak wiele indywiduów zarabia w ten sposób na życie.

Trafiłem na serię wykładów jednego z tych wyrobników, kiedy raz jeszcze byłem w niedoczasy. Odczytywałem właśnie przy gasnącym świetle następujący napis:

Oddział Biograficzny
Problemy świata automatów
Część 12.
Rotmistrz Richard:
Przejdźcie do perfekcji,

kiedy zegar na wieży wybił ósmą godzinę. Na wszystkich korytarzach powtórzyły ją gongi. To osobliwe, jak skrupulatnie wśród takiego materialnego zniszczenia przestrzegano punktualności. To była ostatnia chwila; wśliżnąłem się między słuchaczy i poprosiłem o odnotowanie mojej obecności. Rad nierad musiałem teraz odsiedzieć cztery albo pięć godzin.

Można by sądzić, że Sekcja Biograficzna była bardziej zajmująca niż inne, zwłaszcza że chodziło przeważnie o autobiograficzne prezentacje, o naoczne relacje uczestników, którzy albo zajmowali dobre miejsce podczas wydarzeń, albo mieli na ich temat szczególne przemyślenia. Parafrazując znane powiedzenie, można było sobie zatem obiecywać „zakamarek historii widziany poprzez temperament”.

Tego rodzaju zachęt nie wyczuwało się tam wiele, przeciwnie. Z czystego dziania się, z samego doświadczenia niewiele można się nauczyć, jeśli nie będzie to wsparte zdolnością do pogłębionej refleksji. Być może niewyrażony zamysł kursu polegał na przekazaniu tej prawdy. Dochodziło do męczących powtórzeń, jakby duchy zebrały się na rumowisku, by rozprawić o rzeczach dawno minionych.

W Sekcji Biograficznej słuchało się albo takich, którzy, jak to się mówi, tworzyli historię, albo takich, po których przetoczyło się jej koło. W pierwszym przypadku człowiek pozbawiany był złudzeń i musiał zdumiewać się wraz z Oxenstierną, że państwa rządzone są z tak niewielką dozą rozumu. W drugim przypadku człowiek musiał wysłuchiwać niekończących się wykretów i wymówek. Ludzie, którzy zawiedli w działaniu, prawili teraz innym morały. Tymczasem bez względu na to, jak wielką ilością czasu mogliby rozporządzać, nie nadrobiliby w wieczności tego, co zaniedbali „tutaj i teraz”.

Jeśli w obliczu retrospektyw, w których zmuszony byłem uczestniczyć, rodziło się we mnie jakieś przekonanie, to było ono takie, że w historii, cokolwiek można by zarzucić jej obrazom i postaciom, panuje konieczność. Jak w starych zegarach wprowadza je herold, który nieodwołalnie obwieszcza, jaka wybiła godzina. Cóż pomoże, że zamykamy oczy, zatykamy uszy? Wszyscy ci, którzy dowodzą poniewczasie, co należało lepiej zrobić, mogą

być mądrzejsi, sprawiedliwsi, szlachetniejsi od tych, którzy otrzymali możliwość działania, lecz znajdowali się w stanie niższej konieczności. Z tym trzeba się pogodzić. Również nasze oczy widzą niedoskonale, gdyż w każdej dziejowej budowlę wpisany jest opór. Czym byłaby historia bez bólu?

Długie wieczory ukazywały wyraźnie, że tematów takich nie da się ogarnąć ani od strony historii naturalnej, ani historii sztuki, ani historii ducha. Każda jętka jednodniówka, każda muszelka sercówki jest misterniej uformowana i trwalsza niż wielki Babilon. Tutaj stwórca przemówił bezpośrednio. Każdy wielki obraz, każdy udany wiersz jest sam w sobie lepiej wyważony i doskonalszy niż zagmatwany kobierzec, w który splatają się wydarzenia wieku. Jeśli ojcowie i ich czyny mają się rzeczywiście wydawać wielkie, muszą stać się przedmiotem sztuki, pieśni. O tym, że moralność nie ma z tym wszystkim ostatecznie nic wspólnego i jak łatwo dobrzy padają ofiarą zła, wie każde dziecko.

Z pewnością, nie brakuje wielkich i śmiałych rysów, lecz jakże rzadko przebijają się one przez zacięty opór mas, nikczemną, złośliwą krytykę. Sztuka rządu państwem nie wydaje dzieł sztuki. Działa w niewdzięcznym materiale. Niedoskonałe twory niedoskonałych istot – takie wrażenie pozostawia to stawanie się i przemijanie. I nawet gdy spogląda się wstecz, jednym z wielkich, ognistych cierpień pozostaje śledzenie, jak koła wbrew wszelkiemu dostrzegalnemu rozsądkowi rozpoczynały swój zgubny bieg. Jest to jeden z kręgów czyścica, gdyż ból podczas działania jest krótki i przemija wraz z życiem.

Pozostaje pocieszające przypuszczenie, że w historii i ponad nią panuje sens, którego nie da się określić za pomocą dostępnych nam środków. Nie wiemy i nie możemy wiedzieć, czym historia jest w swej istocie, w absoluście, poza czasem. Przeczujemy, lecz nie znamy wyroku na sądzie umarłych. Może się tam wędrczyć niespodziewany blask i obalić mury.

Na Seminarium Historycznym nie podawano rozwiązań, a kiedy próbowano je znaleźć, nie mogły one zadowolić. Wołałem również takie wykłady jak ten rotmistrza Richarda, w których wyczuwało się jeszcze konflikty, nie były one jeszcze wygasłe. Richard nie znał zaskakujących zmian, które

sprawiły, że jego temat przestał budzić gorące zainteresowanie, jakim cieszył się przez szereg długich lat. Nic nie zmienia się bardziej niezawodnie niż to, co aktualne, zwłaszcza gdy jest na ustach wszystkich. Można to uznać za regułę.

Richard nie traktował swojego tematu jako materiału, który stał się historyczny i z którym można się zaznajamiać w archiwach i bibliotekach. Jego przeżycia były dla niego jeszcze niesfermentowanym winem. Wynikało to również z jego niepokoju, który czasami nasilał się, przechodząc we wzburzenie. Rezygnuję z narysowania jego portretu, ponieważ w czytelniku takich osobistych relacji tworzy się zwykle wizerunek, który jest często wierniejszy niż powierzchowność, jaką obdarza nas natura. Być może przy sposobności wrócę do niego i jego doświadczeń.

Co się tyczy tekstu, to trzyma się on nagrania. Skróciłem go, zwłaszcza o miejsca, w których przeważała polemika, i po raz drugi skracam, dokonując rewizji. Również opis asturyjskich awantur był zbyt obszerny. Uwolnienie prozy od powtórzeń i osobliwości stylu, które są typowe dla słowa mówionego, uważałem za dopuszczalne. Niechaj czytelnik osądzi, na ile się to powiodło.

Wojciech Kunicki

Szklane pszczoły. Nanotechnologia czy królestwo szatana?

Wydane po raz pierwszy w 1957 roku opowiadanie *Szklane pszczoły* Ernsta Jüngera (1895–1998) jest oznaką zakończonym sukcesem powrotu twórczości autora *W stalowych burzach* do literatury niemieckiej^[1]. Nie dziwi w kontekście autostrategii publikacyjnych Jüngera, że nie ograniczył się wyłącznie do publiczności niemieckiej, ale też starał się zainteresować swoim tekstem opinię publiczną we Francji. Pierwszą wersję opowiadania ukończył w lipcu 1957 roku^[2], jeszcze w sierpniu wysłał szczołki korektorskie do Armina Mohlera, który przebywał wówczas w Paryżu jako korespondent, z nadzieją na szybki przekład na język francuski. Książka od razu znalazła się w centrum zainteresowania krytyki, i to w obydwu krajach: Karl Epting odczytał ją jako negację *Robotnika*, podczas gdy Jünger widział tu raczej „jego poszerzenie”^[3]; „Figaro littéraire” zamierzało przedrukować fragmenty jeszcze przed ukazaniem się całości^[4]. Mohler w liście z 17 października 1957 roku, napisanym już po lekturze *Szklanych pszczoł*, uznał je za „jedną z najmocniejszych Pana prac od 1945 roku”, za negację tezy głoszonej przez pewne odłamy krytyki, że Jünger zdolny jest tylko do pisania „miłutkich dzienników”, nie będąc w stanie stworzyć niczego, co poruszyłoby współczesnych^[5]. Maurice Noël, redaktor naczelny „Figaro littéraire”, nie tylko zabiegał o druk fragmentu (po czym Mohler poprosił belgijskiego germanistę Henriego Plarda o szybkie jego przetłumaczenie), ale zamierzał zorganizować kolację na cześć Jüngera w uznaniu jego zasług dla porozumienia francusko-niemieckiego^[6]. Jünger poprosił o publikację pierw-

szego rozdziału, już przetłumaczonego przez Henriego Plarda, domagał się, aby przy *table ronde* organizowanym na jego cześć zasiedli: Ernst Klett, Jean Schlumberger, Joseph Breitbach, Armin Mohler, a także Mircea Eliade, Hélène Bouvard, Marguerite Yourcenar, Suzanne Lilar, Julien Gracq i Henri Plard^[7]. Do spotkania i kolacji (właściwie śniadania – *déjeuner*) doszło w redakcji „Figaro littéraire” w węższym gronie na początku grudnia. Masowe wydania *Szklanych pszczoł* po roku 1960 spowodowały utrwalenie ważnej pozycji Jüngera jako autora Republiki Federalnej. Tej pozycji nie zdołały zagrozić następstwa rewolucji 1968 roku.

Wersje

Pierwsze wydanie *Szklanych pszczoł* ukazało się w roku 1957. Do wydania francuskiego w 1959 roku autor dołączył epilog (nosił on nazwę *Note du narrateur*), a ponadto dokonał przeróbek tekstu, usuwając poniżej przytoczone fragmenty. Opowiadanie zredagowane na nowo ukazało się po raz pierwszy w wydaniu zbiorowym *Werke* z 1960 roku^[8]. Zyskało ono ostateczny kształt i stanowi tak zwane wydanie ostatniej ręki. *Note du narrateur* zyskało wówczas niemiecki tytuł *Epilog*. Wedle tego właśnie wydania tłumacz dokonał przekładu na język polski^[9]. Jest ono identyczne z wszystkimi późniejszymi wydaniem utworu.

Nie miejsce tu na filologiczną interpretację poszczególnych (w tym rękopiśmiennych) wersji opowiadania, odniosę się jedynie do siedemnastego rozdziału *Szklanych pszczoł* w kontekście ironicznej oceny Carla Schmitta, który fragmenty usunięte przez Jüngera w wydaniu z roku 1960, a obecne jeszcze w wydaniu pierwszym, uznał za świadectwo rozpatrywania techniki z perspektywy kłęski. Autoocena głównego bohatera – najpierw kawalerzysty, a potem czołgisty – była samooceną pokolenia Jüngera, doświadczonego w ciągu trzydziestu lat „powszechnej wojny domowej”:

Jako że moja psia gwiazda wiodła mnie ku pokonanym, dość często dostawałem taką nauczkę – nawet za sprawą tych, co latami i jeszcze w przededniu katastrofy

gościli przy moim stole. Teraz w zniszczonym domu ojcowskim usługiwali zwycięzcom w trakcie uroczystej uczyty w białej kamizelce lokaja.

Jeśli o mnie chodzi, to wolałbym raczej zachować moją starą kamizelkę; przyzwyczaiłem się do niej. Polubiłem ją, choć wytarła się nieco podczas długich marszów i w gorące dni, gdy słońce paliło nam głowy, a wokół głów świszczwały kule, szczęśliwie nic nam nie czyniąc. Swoje ślady odcisnęły na niej błoto okopów, kurz barykad, była też podziurawiona. Dziury te były głębsze niż materiał kamizelki, głębsze niż skóra. Nie była to biała kamizelka, choć dobra i sprawdzona; przeżyła monarchie i republiki. W tej kamizelce niech mnie poniosą do grobu i oszczędzą swojej gadaniny.

Chętnie wyobrażam sobie własny pogrzeb; była to moja słabość. Umrę najprawdopodobniej bez rozgłosu i w biedzie, ale przypuszczalnie dwu, trzech lekkich jeźdźców stanie przy grobie u boku Teresy. Wieczorem wychylą szklaneczkę. Prawdopodobnie Tommy Gilbert znów się upije. Już dawno zauważyłem, że wystarczy kilka kropel, dlatego wciąż mnie dziwiło, czemu nie miał pieniędzy. Wciąż był lekko wstawiony – oto rozwiązanie zagadki. To był jego normalny stan. Już w Prusach Wschodnich jadł śniadanie, popijając je ćwiartką wódki, zanim poszedł do lodowatego, oświetlonego migotliwymi latarniami maneżu, gdzie dostrzec można było oddechy koni i ludzi, jakby wyrzucane ze srebrnych trąb. Starczała szklaneczka, żeby Tommy Gilbert stawał się sentymentalny. Dowcipkowaliśmy z niego. Opowie zapewne, gdzie tu czy ówdzie się szwendaliśmy, gdyż znał mnie dobrze. Uczyni to, bo chętnie opowiadał anegdoty, także po to, by nieco rozweselić Teresę, i rzeczywiście uśmiech rozpromieni jej rysy jak promień słońca w pochmurny dzień. Coś takiego byłoby dla mnie miłsze niż mowa jakiegoś superintendenta. Nie ścierpiałbym, gdyby Teresa szła w ciemnej sukni. Z pewnością dzień będzie piękny^[10].

Niewykluczone, że Jünger w wydaniu ostatniej ręki skreślił te ustępy pod wpływem ironicznej krytyki Carla Schmitta, którego podczas pisania tych słów miał być może na myśli. Z kolei fragment należący pierwotnie do osiemnastego rozdziału (do słów „Chodzi tu jednak o rzeczy, z którymi myśli trudno jest się uporać”) przesunął do rozdziału siedemnastego. Tam też usunął w końcówce przedostatniego akapitu (o łowieniu ryb) zgryźliwą uwagę: „To była z pewnością sprawka jednego z naszych matematycznych kretynów, którzy nie potrafią odróżnić walki od mordu. Z pewnością wlepiono mu za to bardzo wielki order”^[11].

Stosunek do dawnych „towarzyszy broni”, a przede wszystkim towarzyszy walk politycznych z lat 1918–1933, był w połowie lat pięćdziesiątych na-

cechowany znacznie silniejszym resentymentem niż w latach sześćdziesiątych, kiedy powstało wydanie ostatniej ręki będące podstawą niniejszego przekładu. Dołączany od 1959 roku epilog ustanawia dodatkową płaszczyzną narracji, realizowaną przez słuchacza kursów Richarda, który na podstawie nagrań wykładów „zredagował” jego wypowiedzi. W ten sposób Jünger wewnątrztekstowo uzasadnił swoje interwencje w kształt pierwszego wydania:

Co się tyczy tekstu, to trzyma się on nagrania. Skróciłem go, zwłaszcza o miejsca, w których przeważała polemika, i po raz drugi skracam, dokonując rewizji. Również opis asturyjskich awantur był zbyt obszerny. Uwolnienie prozy od powtórzeń i osobliwości stylu, które są typowe dla słowa mówionego, uważałem za dopuszczalne. Niechaj czytelnik osądzi, na ile się to powiodło” (s. 174)^[12].

O ile pierwszą intencję można zrekonstruować na podstawie kilku powyższych uwag dotyczących siedemnastego rozdziału, o tyle drugi ze wspomnianych zamiarów należałoby zrekonstruować na podstawie manuskryptów należących do spuścizny pisarza i przechowywanych w Deutsches Literaturarchiv Marbach. W osobnych wydaniach *Szklanych pszczoł* od 1960 roku Jünger prezentował zrewidowany tekst z epilogiem^[13].

Konteksty biograficzne

Ernst Jünger, żołnierz zdolny w wyjątkowy sposób opisać grozę wojny materialowej w kredowych okopach Szampanii i nad Sommą, diagnostyk nowoczesności, teoretyk totalnej mobilizacji, autor emigracji wewnętrznej i okupant Paryża współpracujący z elitami francuskimi oraz grupami oficerów przygotowującymi zamach na Hitlera, samemu będąc zdecydowanym frankofilem, przeżywa w czasie drugiej wojny światowej podwójny szok: dostrzega negatywny wymiar świata technicznego (technika służy w rękach nihilistów do mordu), a następnie widzi rozprzestrzeniający się nihilizm, któremu zapobiec może jedynie znajomość rzeczy oraz ich miar, „nowa teologia moralna” postulowana w pierwszej powojennej powieści

Heliopolis (1949). Rozpoczęta w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny, całościowa lektura Biblii przynosi owoce. Jünger uprawia dwa nurty prozy fabularnej. Pierwszy z nich ma charakter autobiograficzny: poczynając od opisu przeżyć i wydarzeń frontowych w książce *W stalowych burzach* (pierwsza wersja – 1920), poprzez autobiograficzną powieść o ucieczce do Legii Cudzoziemskiej w wieku 18 lat (*Gry afrykańskie*, 1936), aż po powieść szkolną *Proca* (1973), w której schodzi jeszcze głębiej w obszary autobiografii. Swoistą konstrukcją historiozoficzną ubraną w szaty kryminału, a jednocześnie hołdem złożonym ulubionym pisarzom i Paryżowi jest powieść *Niebezpieczne spotkanie*, której fabuła sięga roku 1888. Roku, kiedy stawia się już rusztowania pierwszych kondygnacji wieży Eiffla. Roku, który na niemieckim tronie widział krótko po sobie trzech kolejnych cesarzy, wraz z ostatnim – Wilhelmem II. Zainicjował on epokę nazwaną od jego imienia, która wyleciała w powietrze wraz z ówczesną Europą w gradzie eksplozji I wojny światowej. Roku, kiedy spełniły się proroctwa Nietzschego o nihilizmie europejskim – Nietzschego, który właśnie wtedy w Turynie popadał w obłąd.

O ile „powieści realistyczne” schodzą sukcesywnie w głąb czasu, o tyle powieści fantastyczne mają charakter prospekcyjny: wybiegają w coraz dalszą przyszłość. U ich początku stoi senna wizja *Na marmurowych skałach* (1939), opowieść o zagładzie starej kultury przez moce anarchii i nihilizmu. Po wojnie autor kreuje w *Heliopolis* (1949) opowieść o przyszłości, w której rozgrywa się minione, ale zawsze powracające. W *Szklanych pszczołach* konstruuje dystopię o szatańskich rysach, by w *Eumeswil* (1977) snuć narrację o medializacji świata posthistorycznego. W każdej z tych powieści centralną rolę odgrywają wynalazki, o których w momencie ich publikacji technicy jedynie marzyli. W *Heliopolis* jest to „fonofor”, prekursor telefonu komórkowego. W *Szklanych pszczołach* są to instrumenty związane z nanotechniką, mikroskopijne urządzenia, maszyny wnikaające do najodleglejszych miejsc ciała ludzkiego. W *Eumeswil* wreszcie jest to „luminar”, rodzaj monitora komputerowego, a zatem coś znacznie potężniejszego niż telewizor: za jego pomocą można nie tylko „odgrywać” i unaocznić, ale przede wszystkim kształtować historię. Kodą zamykającą cykl fantastyczny

Jüngera jest opublikowany w 1983 roku *Problem Aladyna*, opowiadanie o jedynie ważnym i istotnym problemie ludzkości: władzy w obliczu śmierci. W każdym wypadku wysoko zaawansowana technika (która w *Eumeswil* osiągnęła kres swojego rozwoju) konfrontowana jest z pierwotną naturą żywiołów uobecniających się w człowieku: w *Heliopolis* jest to heroizm jednostkowego wyboru w trakcie ratowania prześladowanych, w *Szklanych pszczołach* zdrowy i ugruntowany teologicznie odruch zniszczenia precyzyjnego instrumentu, w *Eumeswil* postawa „anarchy” w świecie zidiocenia polityczną (p)oprawnością – postawa, która w kontekście ponownej lektury *Jedynego i jego własności* Maxa Stirnera gruntuje w człowieku poczucie niezależności wobec ataku chamstwa i przemocy. W bohaterach tych powieści, choćby tak biednych i „wykluczonych” społecznie jak rotmistrz Richard ze *Szklanych pszczoł*, istnieje swoista dostojność, o której Jünger pisał w *Awanturniczym sercu II*.

Bohater

Opowiadanie podzielone jest na dwadzieścia cztery rozdziały (nie licząc epilogu), a zatem zachowuje niejako godzinowy rytm dnia. Pierwszy z tych rozdziałów stanowi swoistą uverturę, wprowadzenie w akcję, prezentację bohaterów. Rotmistrz Richard na początku służył w lekkiej jeździe, ale w trakcie walk przesiadł się z koni na czołgi (widziane przez Jüngera po raz pierwszy w czasie bitwy nad Sommą w 1916 roku), potem pracował przy ich odbiorze, by w końcu jako bezrobotny znaleźć się na bruku. W jego życiorysie można odnaleźć elementy autobiograficzne. Tak jak Richard jest ofiarą postępu w zbrojeniach jako żołnierz niepotrzebny na nowym polu walki, które zamiast jednolitej linii frontu posiada rozproszone, wyposażone w aparaturę techniczną gniazda ataku lub oporu, tak Jünger – ustalający nowy regulamin piechoty dla Reichswehry i dostosowujący go do nowych możliwości technicznego pola walki – opuszcza w 1922 roku armię z powodu sporów z przełożonymi. Z drugiej strony figura bezrobotnego żołnierza nie jest wcale odosobniona w literaturze powszechnej: by wspomnieć ko-

medię Lessinga *Minna von Barnhelm* i występującego w niej majora Tellheima, który walczy z biurokracją królewską o swój honor i o miłość Minny, a z literatury współczesnej – powieść amerykańskiego autora Kevina Powersa *The Yellow Birds* (*Żółte ptaki*, 2012) o żołnierzu powracającym do normalności po wojnie irackiej. Na drugim biegunie skali społecznej stoi Giacomo Zapparoni: producent wymyślnych maszyn, które zapewniają luksus (jako „selektory” oczyszczające otoczenie z brudu i pyłków) i rozrywkę (jako zabawki), ale też służą jako miniaturowe maszyny inwigilacji i kontroli.

Przestrzenie i czasy

W sensie chronologicznym narracja konstruuje dwie nowoczesności. Z jednej strony jest to tak zwana nowoczesność klasyczna, jeszcze z konnymi tramwajami i dorożkami, a jednocześnie z rozwiniętymi już kolejami i strukturami urbanistycznymi. Nowoczesność ta kreowana jest jako przestrzeń wielkomiejska. Wielkie miasto przypominające Berlin (z aluzyjnym Tiergarten, gdzie „się spacerowało”), z wyraźnie zlokalizowanymi przestrzeniami grzechu i występku, restauracjami, lokalami, spelunkami, nie dysponuje jeszcze nowoczesnymi środkami komunikacji. Regulatywem tej nowoczesności są w dalszym ciągu moce feudalne: wojsko i policja kierujące się dyrektywą „wierności królowi”. Takim konserwatywno-feudalnym nadzorcą powstającej nowoczesności jest nauczyciel w szkole kadetów – Monteron. To symptomatyczne, że ginie on w pierwszych dniach wielkiej wojny, katastrofy, która stworzyła przestrzenie nihilistyczne, zrównała z ziemią pola kultury, stwarzając obszar dla nieokiełznanego rozwoju techniki. Technika ta w kolejnej fazie swego rozwoju obchodzi się już bez tradycyjnych instancji kontrolnych. „Ogołoczone mieszkanie” (s. 22) Richarda jest wynikiem nie tylko jego bezrobocia i niezaradności życiowej, ale wynika też z faktu, że dom „od dawna stał się [...] czymś w rodzaju namiotu, z tą różnicą, że jego mieszkaniem nie cieszy się wolnością nomady” (s. 46). Dom stał się zatem przestrzenią przechodnią, nietrwałą, nie-miejscem przegna-

czonym do chwilowego pobytu, jak hala dworca czy hotel. Odpowiada temu nietrwałość i brzydota architektury mieszkalnej tworzącej szybko prowizoryczne „namioty”. Na tym drugim biegunie stoi przestrzeń przemysłowa, obszar robotnika. Nie są to jednak dymiące krajobrazy klasycznej nowoczesności początków wieku XX, ale „niskie białe wieże i liczne pracownie o płaskich dachach, bez masztów i kominów” (s. 34). Ta twierdza nowoczesności, w której powstawały nowe modele i niespodzianki Zapparonego, otoczona jest nie fosą, ale „ulicą, tak szeroką, że przypominała raczej przedpole” (s. 35). Skojarzenie z twierdzą maskowaną barwnymi plakatami narrator przywołuje w następnym zdaniu opisu. Unoszący się nad ogromnym kompleksem balon służy – podobnie jak na frontach pierwszej wojny światowej – celom obserwacyjnym. Wystarczy spojrzeć na dzisiejsze kompleksy przemysłowe, jak choćby zakłady LG pod Wrocławiem, żeby przekonać się o uderzającej trafności futurystycznych wizji Jüngera z lat pięćdziesiątych. Do centrum kompleksu przedostać się można czymś w rodzaju windy, która porusza się poziomo^[14], a w tymże centrum stoi budynek dawnego klasztoru cystersów, w którym Zapparoni urządził sobie rezydencję. Wspaniałą siedzibę wiejską, bez jakichkolwiek śladów nowoczesności z jej luksusami. Ba, Richard widzi w oddali chłopca orzącego ziemię, interpretując ten widok jako wyraz przebiegłości Zapparonego:

Trzeba być niezwykle bogatym, jeśli chce się dzisiaj uniknąć zatrucia. Ten Zapparoni był niewątpliwie przebiegłym lisem, potrafiącym żyć w swej kryjówce, i to na koszt głupców, niczym aptekarz, który każe sobie płacić złotem za swoje medykamenty i cudowne specyfiki, podczas gdy sam utrzymuje siebie i swoich bliskich w zdrowiu sposobami ojców (s. 49–50).

Jeśli pozostaniemy przy obrazie twierdzy jako przestrzeni otoczonej strumieniami ruchu, wieżami i laboratoriami „fabrycznymi”, to w jej centrum znajduje się, jak w oku cyklonu, strefa spokoju, tradycji, kontemplacji, jednym słowem – przestrzeń *humanum* nieopanowana przez automaty. Podsumowując: przestrzenie techniczne i pozatechniczne (a zatem sfera moralna, wartości, kultury) trwają w ścisłej zależności, przy czym, co charak-

terystyczne, nie chodzi jedynie o ukazanie destruktywnego wpływu techniki na cielesność i duchowość ludzi późnej nowoczesności, ale problem wzajemnego przenikania się morfologicznych form, kształtów, które wypełniają przestrzeń dziejów. Richard manifestuje się w piątym rozdziale jako czytelnik Oswalda Spenglera, który rozwijał aksjologię „upadku świata Zachodu”. Morfologia dziejów ustala przede wszystkim perspektywę narracyjną protagonisty, który skupia w sobie właściwości narratora.

Narracja

Zacząłem wtedy zajmować się historią. Byłem ciekaw, czy już kiedyś wydarzyło się coś podobnego. Wśród postaci historycznych wrażenie zrobił na mnie młodszy Kanton, któremu podobała się nie zwycięska, lecz przegrana sprawa. Mnie również w wielkim fresku świata cienie wydawały się bardziej przejmujące i głębokie, a smutek jawił mi się jako właściwe uświęcenie kontemplacji – Hektor i Hannibal, Indianie i Burowie, Montezuma i Maksymilian z Meksyku. Z pewnością leżała tu również jedna z przyczyn mego niepowodzenia; nieszczęście jest zaraźliwe (s. 57).

Poczucie klęski, ustalające podwalinę emocjonalną narracji, nie dominowało już w momencie wielkiego powrotu Jüngera właśnie w połowie lat pięćdziesiątych, choć Carl Schmitt formułował owo poczucie znacznie dobitniej niż Richard:

Jestem winny Panu słowo podziękowania za *Szklane pszczoły*. Myślałem początkowo, że scena na stronach 60–62 byłaby właściwym zakończeniem^[15], rozumiem teraz jednak, że oceniałem ją za bardzo jako finał, to znaczy w gruncie rzeczy retorycznie. Za stroną 140 i niemal mitycznie prawdziwą opowieść ze strony 142 i n.^[16] jestem zobowiązany do największych podziękowań, ponieważ każdemu z nas pomagają w realizacji jedyne go zadania, jakie nam pozostało: w postępie przy świadomości klęski. Jest to wymagający rodzaj postępu, nie tak gładki jak słynny postęp ze świadomością wolności^[17].

Świat jawił się Richardowi jako rzeczywistość przed Akcjum, a zatem obszar powszechnej wojny domowej, która kulminowała w dwóch (a właściwie jednej – dla Richarda trwała ona trzydzieści lat) wielkich katastrofach

XX stulecia, opasując po ich zakończeniu świat wieńcem małych i większych konfliktów, pochłaniających więcej ofiar niż dwie wojny światowe. Gest narracyjny Richarda wyraża przede wszystkim niepewność co do przyczyn i skutków działalności technicznej człowieka. Pragnie on ustalić swoją „sytuację”, wedle Schmittiańskiej maksymy „Rozpoznaj sytuację” pragnie wiedzieć, „jaki sens mają ofiary, które każe nam się składać przed zasłoniętymi posągami” (s. 80). Do przesilenia narracyjnego dochodzi dokładnie w połowie tekstu, w rozdziale dwunastym, kiedy Richard rozpoznaje w rzekomych pszczołach przemysłne automaty, co napawa go przyjemnością i przerażeniem. O ile w dotychczasowych powieściach i opowiadaniach Jünger stosował narrację trzecioosobową, o tyle w *Szklanych pszczołach* występuje narracja spersonalizowana, a zatem ograniczająca pole widzenia przez wspomniane „poczucie klęski”. W epilogu dołączonym do wydania francuskiego autor wprowadza jeszcze jedną instancję narracyjną – słuchacza wykładów Richarda, który je nagrał, a następnie „zredagował”. W ten oto sposób Jünger „ujawnił” z jednej strony ukrytego, z drugiej jawnego, auktorialnego „redaktora” własnego tekstu, sytuując opowieść o dokonywaniu korekt w obrębie wewnątrztekstowej narracji, a nie w odautor-skim komentarzu. Oraz co bardzo ważne: skonstruował opowieść nie spisana, ale nagrywaną, demonstrując wtargnięcie świata technicznego w proces twórczy.

Technika i jej obrazy w *Szklanych pszczołach*

W tym miejscu chciałbym zwięźle zapoznać Czytelnika z pomysłami interpretatorów Jüngera dotyczącymi jego obrazów techniki. Najlepsza, bo najbardziej zróżnicowana oraz oddająca specyfikę estetyczną obrazów techniki, jest interpretacja Harro Segeberga^[18]. Uczony podejmuje cztery zagadnienia: zastanawia się, jakie były interpretacje techniki w latach pięćdziesiątych, a zatem dokonuje historycznej kontekstualizacji tych wizji, następnie bada, jakie problemy stawia Jünger w odniesieniu do techniki w *Szklanych pszczołach*, co daje mu – po trzecie – asumpt do analizy literac-

kiego wymiaru tekstu (zbadania Jüngerowskiej estetyki) oraz – po czwarte – pyta o współczesne świadectwa recepcyjne powieści. Dyskusje wokół techniki w latach pięćdziesiątych rozwijały się niejako wokół dwu modeli: pierwszy był metafizyczny i odnosił się do rzeczywistości ponadempirycznej organizującej świat nowoczesnej techniki, jak w Heideggera koncepcji rusztowania (*Gestell*) lub Jüngera formy bytu (*Gestalt*). Odpowiednio krytyczne modele postrzegania techniki, jak w traktacie Friedricha Geорга Jüngera *Perfekcja techniki*, łączyły nowoczesny rozwój świata technicznego z negatywnymi skutkami we wszystkich sferach życia: od filozofii i religii poprzez język aż po całościowo pojętą kulturę^[19]. Inne koncepcje rozwijane są w tym samym czasie przez teoretyków szkoły frankfurckiej, Theodora W. Adorna i Maxa Horkheimera, w przykładowym dla tego nurtu eseju *Dialektik der Aufklärung* (*Dialektyka oświecenia*): „W niej może oświecenie [...] odnaleźć drogę powrotną do samego siebie nie jako metafizyka, ale jako krytyka własnej metamorfozy w metafizykę”^[20]. Podobnie dyskutowali problem techniki inni pisarze z najrozmaitszych obozów światopoglądowych: Bertolt Brecht, domagając się w *Życiu Galileusza* swoistej przysięgi Hipokratesa, że ludzie nauki będą pracować dla dobra ludzkości, Arno Schmidt z goryczą rozważający w opowiadaniu *Schwarze Spiegel* (1951) możliwości samozagłady człowieka, podobnie Gottfried Benn utrzymujący, że współczesna ludzkość nie jest końcem, ale początkiem ewolucji rodzaju ludzkiego. W podobnie antymetafizycznym kierunku zmierzają teksty formułowane z użyciem strategii narracyjnych i poetyckich właściwych pozycjom techników: najlepszym przykładem jest *Homo Faber* (1956) Maxa Frischa lub poezja konkretna, np. Eugena Gomringera^[21].

Narrator *Szklanych pszczoł* dysponuje metahistoryczną pozycją, stosując „rekwizyty edukowanej pogardy dla nowoczesności i techniki”^[22], co nie dziwi w kontekście agrarnego konserwatyzmu literatury zachodnioniemieckiej lat pięćdziesiątych. Krytyka dostrzegła wprawdzie, że nowoczesna technika jest obserwowana przez człowieka „starej daty”, ale przeoczyła fakt, że sam Richard określa swoje poglądy jako „przedpotopowe” (s. 23), dzięki czemu Jünger stosuje formę narracji autoironicznej. Niezależnie od

tego sam bohater, który z koni przesiadł się na czołgi, by następnie pracować przy ich odbiorze, a zatem dysponował rozległą wiedzą techniczną, zaakceptował w ostateczności świat automatów Zapparonego, a zatem odnalazł się w nanotechnicznej rzeczywistości^[23]. Zreasumujmy. Z jednej strony Jünger dokonuje z konserwatywnego punktu widzenia krytyki technicznego rozwoju. Powoduje on rozproszenie osobowościowe, robotyzacja może przyczynić się także do „skrócenia życia”: „W sumie zakłady Zapparonego przypominały świątynię Janusa z jedną kolorową i jedną czarną bramą, i kiedy niebo się chmurzyło, z ciemnej bramy wypływał strumień wymyślnych narzędzi mordy, odznaczających się odrażającym sposobem wykonania” (s. 77–78). Jünger trwa również przy konserwatywnym rozróżnieniu między perfekcją techniki a doskonałością natury: „Ludzka doskonałość i techniczna perfekcja są nie do pogodzenia. Jeśli chcemy osiągnąć jedną, musimy złożyć w ofierze drugą; wraz z rozstrzygnięciem stajemy na rozdrożu” (s. 126). Znajduje to również odniesienie w języku, zwłaszcza w opisie szklanych pszczół: chodzi o roboty, automaty, uproszczenie, normowanie, miniaturyzację. Z drugiej strony istnieje sfera akceptacji: wynalazki Zapparonego ciężą w stronę magii oraz czystej przyjemności; szczególnie jego pomysły w sferze medialnej (kino ze sztucznymi aktorami)^[24] fascynują swoim „rysem zabawowym” nie tylko dzieci.

Inny model interpretacyjny proponuje Niels Werber w artykule *Jüngers Bienen*^[25]. Werber potraktował serio entomologiczne pasje i entomologiczną wiedzę pisarza, motywując nią jego zainteresowanie owadami społecznymi, a zatem także pszczołami czy mrówkami. Wskazał, że inspiracje Jüngera płynąć mogły nie tyle ze strony konserwatywnej krytyki kultury, ile rozwijanych w latach pięćdziesiątych koncepcji cybernetycznych Norberta Wienera i Williama Mortona Wheelera. Pierwsze sukcesy techniki robotycznej świętowały „szklane żółwie” zaprojektowane przez neurofizjologa Williama Greya Waltera w 1949 roku w Bristolu i udoskonalone przez cybernetyka Heinza Zemanka w 1957 roku w Wiedniu^[26]. Richard widzi w miniaturowych zabawkach Zapparonego rodzaj „inteligentnych mrówek”, co znów legitymuje Jüngera „jako znawcę zaawansowanych badań”,

bowiem mrówkami interesowała się w latach pięćdziesiątych nie tylko entomologia, ale także socjologia, psychologia, fizjologia oraz cybernetyka^[27]. Problem postawiony przez amerykańskiego entomologa Williama Mortona Wheelera sprowadzał się do kwestii: czy inteligencja owadów ma charakter osobniczy, jednostkowy, czy też należy traktować inteligencję roju jako swego rodzaju program cybernetyczny, regulujący zachowania nie indywidualne, ale kolektywne. Tym samym rozstrzygnięcie Richarda wiąże się z amerykańskim pojmowaniem *decision making*, które nie różnicuje zachowań ludzkich (negując wraz z behawiorystami teorie wolności woli), zachowań insektów oraz maszyn. „W ogniskowej badań zainteresowanych komunikacją nie stoi pojedynczy człowiek czy pojedynczy owad, ale społeczeństwo czy rój”^[28]. Taka postawa poznawcza ma swoje implikacje społeczne i filozoficzne:

Dziesiątki lat przed Gilles'em Deleuze'em zgłębia protagonista Ernsta Jüngera, Richard, zależności między „cybernetyką”, „komputerem” i „kontrolowanym społeczeństwem” i długo przed Michelelem Foucaultem przenosi berło „panoptyzmu” z państwa do gospodarki prywatnej, a dokładniej rzecz ujmując, do „neoliberalnej mentalności zarządzania”^[29].

Z kolei trzeci model interpretacji koncentruje się na motywie „roju” występującym w literaturze i filmach *science fiction*^[30], nawiązując neokonserwatywnie do śmiertelnego zagrożenia inteligencji przez ewoluujący rój maszyn, jak w opublikowanej w 1964 powieści Stanisława Lema *Niezwyciężony*. W tym sensie ogród Zapparonego – będący centrum absolutnej władzy prywatnego przedsiębiorcy – zmieniając swą jakość z *locus amoenus* na *locus horribilis*, jawi się jako „nekrosfera” (Lem). Badania tego rodzaju, konstruujące zależność między „rojem”, kolektywem a jednostką, zyskują w ostatnich latach na znaczeniu. Wizualizacja roju jest jednocześnie obrazem lęku przed tym, co bezkształtne: „Rój jest nie-kształtem, a ten nie-kształt legitymuje go jako wroga”^[31].

Subteksty i tradycje

Richard w swoich „przedpotopowych” – w oryginale określa swoje idee jako „skamieliny” (*fossile Urteile*) – refleksjach formułuje, co wielokrotnie stwierdzono, skargę na anihilację wartości, wyrażającą się przede wszystkim w zmianie znaczenia słów i pojęć. „Słowa utraciły swoje znaczenie, również wojna nie była już wojną. Monteron przewróciłby się w grobie, gdyby się dowiedział, co dzisiaj określano mianem wojny. Zresztą pokój również nie był już pokojem” (s. 50). Wkrótce przekonał się, że „żołnierze nie są już żołnierzami” (s. 51). Mimo powszechnej desemantyzacji narrator posługuje się subtelnymi chwytami, ukrytymi w języku aluzjami odsyłającymi do trwałych bloków tradycji: pierwszy z nich to tradycja biblijna, drugi to tradycja romantyczna, zwłaszcza opowieści E.T.A. Hoffmanna oraz słynny esej *O teatrze marionetek* Heinricha von Kleista. Te odniesienia wyrażają – w paradoksalny sposób, ale opowiadanie Jüngera jest paradoksem – ufność w siłę i trwałość języka, nawet tam, gdzie jak w wypadku autorów wczesnej nowoczesności (Hoffmanna i Kleista) język ten obrazuje rozpad i wynikającą z niego grozę braku oparcia. Czujność wzbudza samo nazwisko Zapparonego przypominające demonicznych wynalazców, np. Coppeliusa czy Coppoli z *Piaskuna* E.T.A. Hoffmanna, którego specjalnością jest „panoptyzm” wyrażający się w produkcji subtelnych szkieł i narzędzi optycznych. Udało mu się stworzyć twór, Olimpię, o jakim marzył Zapparoni: „Zapparoni chciał jednak powołać do istnienia automaty w dawnym znaczeniu tego słowa, automaty Alberta Wielkiego albo Regiomontana. Chciał stworzyć sztucznych ludzi naturalnej wielkości, figury o ludzkim wyglądzie” (s. 112–113)^[32]. O ile jednak Hoffmann swoimi wizjami ujawniał dla Friedricha Georga Jüngera świat mechanicznej grozy, której sprostać mógł jedynie człowiek reprezentujący nową formę bytu – robotnika, o tyle dla Richarda, którego marzeniem jest w gruncie rzeczy filisterska, ale zachowująca przynajmniej pozory dawnej heroicznego egzystencja, jest on przedmiotem subtelnych aluzji jako mistrz gry, baśniowości i... miniaturyzacji. Dość wskazać na uzdolnienia wynalazców Zapparonego, będących w stanie dopasować pchłom podkowy (s. 11), by skojarzyć to z baśnią Hoffmanna *Mistrz Pchła*, której tematem jest między innymi wizualizacja społeczności tych maleńkich i nieprzyjemnych owadów, przypominająca wyścigi

„molekularnych samochodów”, niedawno przeprowadzone na torze z polewanego złota^[33]. Tradycja Kleista wyraża paradoks: ten klasyk nowoczesnej literatury niemieckiej zapoczątkował osobowościowym „kryzysem na skutek lektury Kanta” (tzw. *Kantkrise*) epokę desemantyzacji i rozpadu dotychczasowych – mogłoby się wydawać: wiecznych – opowieści scalających kulturę chrześcijańską. Jego rzeczywistości oscylują między snem a jawą, pytanie Piłata „A cóż to jest prawda?” organizuje niepewność materii dzieł tego wybitnego pisarza. Drugi aspekt lektury Kleista został dostrzeżony w literaturze przedmiotu jako odniesienie do słynnego eseju Kleista *O teatrze marionetek*, gdzie autor twierdzi, że aby odzyskać „naiwność” (czytaj: tożsamość człowieka i natury), należy rozwijać samoświadomość. Postęp jest gwarancją powrotu do sfery niewyalienowania, skąd człowiek raz jeszcze zjeść musi owoc z drzewa poznania złego i dobrego. Richard odpowiada też na pytanie, dlaczego marionetka, android, sztuczny człowiek tak fascynują naszą cywilizację: są one „naturalnie sztuczne albo sztucznie naturalne, a w przypadku marionetek ból jest nieistotny” (s. 155). W wypadku sztucznego człowieka odpada zatem kryterium bólu decydujące o naszej wartości, dokonuje się całkowita anihilacja sfery metafizycznej poprzez wirtualizację i „panoptyzm”, wszechwidzialność, wszechobecność i wszechobserwowalność, kulminujące w tak zwanej wirtualnej rzeczywistości gier komputerowych.

Jakby zgodnie z przytaczaną często przez Jüngera maksymą Bossueta, „*Dieu se retire*”, żyją w opowieści Richarda odniesienia biblijne. Biblia jest wspomniana wprawdzie tylko raz, kiedy mowa o gościach, którzy, „jak jest powiedziane w Biblii, chełpili się swymi występkami” (s. 13), niemniej jednak aluzje są wyraźne: gdy Richard mówi o przyjemnościach, jakie wzbudzają wynalazki Zapparonego, posługuje się sformułowaniem, że jest to triumf ducha z naszego ducha^[34]; opowiadając o śmierci Lorenza i charakteryzując kręgi konserwatywno-rewolucyjnych nihilistów, nie omieszka tego zbiorowiska duchów określić jako sabatu demonów, nawiązując do *Biesów* Dostojewskiego i do ich motta z Ewangelii św. Jana o wypędzeniu złych duchów przez Jezusa. Pojawia się też szatan w nieprzetłumaczalnym

niestety przysłowiu: „*In der Not frisst der Teufel Fliegen*”. Tłumacz oddaje to jako: „Na bezrybiu i rak ryba”, co z kolei koresponduje z chrystologiczną metaforą połowu ryb w rozdziale siedemnastym^[35].

Przypisy

[1] H. Segeberg, *Ernst Jüngers „Gläserne Bienen“ als Frage nach der Technik*, [w:] *Titan Technik. Ernst und Friedrich Georg Jünger über das technische Zeitalter*, Hrsg. F. Strack, Würzburg 2000, s. 211–224; B. Bühler, *Lebende Körper. Biologisches und anthropologisches Wissen bei Rilke, Döblin und Jünger*, Würzburg 2004, s. 271–274 [tytuł rozdziału: *Pferde, Panzer und Gläserne Bienen*]; N. Werber, *Jüngers Bienen*, „Zeitschrift für deutsche Philologie” 2011, Bd. 130, s. 245–261; J. Wörner, *Figurenspiel und Verdichtung. Jüngers Konzeption von Autorschaft und die Gläsernen Bienen*, [w:] *Ernst Jünger und die Bundesrepublik. Ästhetik – Politik – Zeitgeschichte*, Hrsg. M. Schöning, I. Stöckmann, Berlin–Boston 2012, s. 89–118; B. Stiegler, *Technische Innovation und literarische Imagination. Ernst Jüngers narrative Technikversionen in „Heliopolis”, „Eumeswil” und „Gläserne Bienen”*, [w:] *Ernst Jünger und die Bundesrepublik*, dz. cyt., s. 295–308; L. Bluhm, *„Seien Sie mit den Bienen vorsichtig!” Technik und Vorbehalt in Ernst Jüngers „Gläserne Bienen”*, [w:] *Künstliche Menschen. Transgressionen zwischen Körper, Kultur und Technik*, Hrsg. W. A. Liebert u.a., Würzburg 2014, s. 231–240; T. Gann, *„Gläserne Bienen” (1957)*, [w:] *Ernst Jünger – Handbuch. Leben – Werk – Wirkung*, Hrsg. M. Schöning, Stuttgart–Weimar 2014, s. 207–211.

[2] List E. Jüngera do A. Mohlera, Wilflingen, 27 lipca 1957, [w:] A. Mohler, *Lieber Chef. Briefe an Ernst Jünger 1947–1961*, Hrsg. E. Lehnert, Schnellroda 2016, s. 420. Wszystkie tłumaczenia cytatów w posłowiu, o ile nie zaznaczono inaczej, są mojego autorstwa.

[3] List E. Jüngera do A. Mohlera, Wilflingen, 9 października 1957, [w:] tamże, s. 431.

[4] List A. Mohlera do E. Jüngera, Paris, 16 października 1957, [w:] tamże, s. 435.

[5] List A. Mohlera do E. Jüngera, Paris, 17 października 1957, [w:] tamże, s. 436.

[6] List A. Mohlera do E. Jüngera, Paris, 29 października 1957, [w:] tamże, s. 438.

[7] List E. Jüngera do A. Mohlera, Wilflingen, 1 listopada 1957, [w:] tamże, s. 440.

[8] E. Jünger, *Werke*, Bd. 9, *Erzählende Schriften I*, Stuttgart 1960.

[9] Wersja ostateczna ukazywała się także w wydaniach osobnych od 1960, np. w paperbackowym wydaniu E. Jünger, *Gläserne Bienen*, Reinbek 1960.

[10] E. Jünger, *Gläserne Bienen*, Stuttgart 1957, s. 140–141.

[11] Tamże, s. 143.

[12] Ten i następne cytaty ze *Szklanych pszczoł* pochodzą z niniejszego wydania, za każdym razem podaję tylko numery stron.

[13] U. Böhme, *Fassungen bei Ernst Jünger*, Meisenheim am Glan 1972, s. 93 i nn.; H. Mühleisen, *Bibliographie der Werke Ernst Jüngers*, begründet von H.P. des Coudres, Stuttgart 1995.

[14] Aktualnie ThyssenKrupp pracuje w Rottweil nad takimi windami. Zob. <http://test-turm.thyssenkrupp-elevator.com>.

[15] Chodzi o epizod z samobójstwem Lorenza, który wyskoczył przez okno.

[16] Chodzi o fragment zacytowany powyżej, usunięty z siedemnastego rozdziału w wydaniu ostatniej ręki będącym podstawą niniejszego tłumaczenia.

[17] List C. Schmitta do E. Jüngera, Plettenberg, 14 stycznia 1958, [w:] C. Schmitt, E. Jünger, *Briefwechsel*, Hrsg. H. Kiesel, Stuttgart 1999, s. 348.

[18] H. Segeberg, *Ernst Jüngers „Gläserne Bienen”...*, dz. cyt. Niech mi będzie wolno w tym miejscu z wdzięcznością wspomnieć Harro Segeberga, w którego seminarium poświęconym obrazom techniki u Heideggera i Jüngera miałem okazję uczestniczyć w latach 1990–1991. Zmarły w roku 2016 germanista był najlepszym znawcą tego zagadnienia.

[19] Główny impuls krytyczny sformułował Max Bense w zarzucie, że Friedrich Georg Jünger konstruuje mit perfekcji techniki, nie dyskutując kompleksowości samego zjawiska techniki i jego skutków na wszystkich obszarach życia.

[20] Cyt. za: tamże, s. 214.

[21] Takie przykłady podaje H. Segeberg. Zob. tamże, s. 216–218.

[22] Tamże, s. 217.

[23] Tamże, s. 216–219.

[24] Co jest dziś standardową rzeczywistością, jeśli wziąć pod uwagę techniki animacji komputerowej.

[25] N. Werber, *Jüngers Bienen*, dz. cyt., s. 245–261.

[26] Tamże, s. 246–247.

[27] Tamże, s. 247.

[28] Tamże, s. 248.

[29] Tamże.

[30] T. Gann, *„Gläserne Bienen” (1957)*, dz. cyt.

[31] E. Horn, *Das Leben ein Schwarm. Emergenz und Evolution in moderner Science Fiction*, [w:] E. Horn, L.M. Gisi, *Schwärme. Kollektive ohne Zentrum. Eine Wissensgeschichte zwischen Leben und Information*, Bielefeld 2009, s. 101–124. Lokalizacja przytoczonego cytatu: s. 103.

[32] Te Hoffmannowskie odniesienia (zob. T. Glann, „*Gläserne Bienen*” (1957), dz. cyt., s. 208), dostrzegane w literaturze przedmiotu, nie doczekały się jeszcze głębszej interpretacji, oczywiście poza fundamentalną analizą Karla Heinza Bohrera (*Die Ästhetik des Schreckens. Die pessimistische Romantik und das Ernst Jüngers Frühwerk*, München–Wien 1978), odnoszącą się jednak do wczesnego dzieła pisarza. Nie chodzi tu bowiem jedynie o tradycje nowelistyczne XIX stulecia, ale o przewartościowanie konserwatywno-rewolucyjnych odczytań Hoffmanna w obliczu faktycznej robotyzacji. Wizje Hoffmanna to nie prorocтва, ale rzeczywistość.

[33] D. Castelvecchi, *Drivers gear up for world's first nanocar race*, „Nature” 2017, Vol. 544. Artykuł dostępny online: <http://www.nature.com/news/drivers-gear-up-for-world-s-first-nanocar-race-1.21845> [dostęp: 30 sierpnia 2017].

[34] Zob. np. List św. Pawła do Rzymian 8,16.

[35] Zapparoni określany jest jako *Teufelskerl* (w niniejszym przekładzie: „diabeł wcielony”), w osiemnastym rozdziale chłopcy biegli do miasta, „jakby gonił [ich] sam diabeł” (s. 133).